

**Herta Muller**

**Dziś wolałabym siebie  
nie spotkać**

**Przełożyła Katarzyna Leszczyńska**

**Tytuł oryginału niemieckiego**

**HEUTE WAR ICH MIR LIEBER NICHT BEGEGNET**

HERTA MÜLLER, urodzona w 1953 r. w Nitzkydorf w Rumunii, studiowała w latach 1972 – 1976 germanistykę i romanistykę na Uniwersytecie w Timisoarze. Początkowo pracowała jako tłumaczka i nauczycielka języka niemieckiego. Po odmowie współpracy z tajnymi służbami (Securitate) została zwolniona z posady w szkole. Od 1984 r. poświęciła się twórczości literackiej, mimo że obowiązywał ją zakaz podejmowania pracy i publikowania, wydany przez władze państwowe. W 1987 r. emigrowała do Republiki Federalnej Niemiec; obecnie mieszka w Berlinie. Herta Müller należy do czołowych postaci współczesnej literatury niemieckiej; jest członkiem Niemieckiej Akademii Języka i Poezji.

Uznanie przyniosła jej wydana w 1993 r. powieść *Niederungen (Niziny)*, swego rodzaju antydylla, w poetycki i zjadliwy sposób opisująca życie na wsi. Powstała dwa lata po przeprowadzce do Berlina Zachodniego powieść *Reisende auf einem Bein (Podróżując na jednej nodze)* to krytyczne spojrzenie na współczesne społeczeństwo niemieckie, uwikłane w postmodernistyczny labirynt miejskiego życia. Kolejne książki — *Herztier (Sercątko, 1994)*, *Heute war ich mir lieber nicht begegnet (Dziś wolałabym siebie nie spotkać, 1997)* oraz *Der Fremde Blick oder das Leben ist ein Furz in der Laterne (Obce spojrzenie albo życie jest jak pierdnięcie w latarni, 1999)* — podejmują problematykę życia i stosunków międzyludzkich w państwie totalitarnym. Ostatnio Müller opublikowała kolaże *Im Haarknoten wohnt eine Dame (W koku mieszka dama, 2000)* i *Der König verneigt sich und tötet (Król kłania się i zabija — nakładem Czarnego ukaże się w 2005)*.

Proza zrodzona z doświadczeń politycznych represji, jakie dotknęły Hertę Müller w Rumunii, odznacza się wyjątkową siłą wyrazu, ekspresyjnym, bezpośrednim i poetyckim językiem. Pisarka zdobyła wiele prestiżowych nagród literackich, m.in. Nagrodę im. Kleista (1994), Europejską Nagrodę Literacką Aristeion (1995), International IMPAC Dublin Literary Award (1998), Nagrodę im. Kafki (1999) oraz Nagrodę Fundacji im. Konrada Adenauera w dziedzinie literatury (2004); jej książki zostały przetłumaczone na ponad dwadzieścia języków.

Zostałam wezwana. Czwartek, punkt dziesiąta.

Jestem wzywana coraz częściej: wtorek punkt dziesiąta, sobota punkt dziesiąta, środa albo poniedziałek. Jakby lata były tygodniem; zaczyna mnie już dziwić, że po późnym lecie tak prędko nadchodzi zima.

Po drodze do tramwaju znowu zwisają przez płoty krzaki z białymi jagodami. Jak guziki z masy perłowej, przyszyte od spodu, być może aż do głębi ziemi, albo jak kulki z chleba. Albo jak białe głowy ptaków z wykręconymi dziobami, choć na to jagody są o wiele za małe. Mimo to nie mogę przestać myśleć o białych głowach ptaków. Robi się od tego słabo. Chętniej myślę o cętkach śniegu w trawie, ale to grozi zagubieniem, a myślenie o kredzie sennością.

Tramwaj nie ma stałego rozkładu jazdy.

Wydaje mi się, że to on szumi, jeżeli nie są to twardolistne topole. Już nadjeżdża, dzisiaj chce mnie zabrać od razu. Postanowiłam przepuścić przy wsiadaniu starego mężczyznę w kapeluszu. Kiedy przyszłam, stał już na przystanku, kto wie jak długo. Nie jest wprawdzie niedołężny, ale chudy jak własny cień, przygarbiony i szary. W spodniach nie ma tyłka, bioder, tylko kolana są wypchane. Ale skoro musi spluwać na ziemię właśnie teraz, kiedy otwierają się drzwi, wsiądę jednak przed nim. Prawie wszystkie miejsca są wolne, on przebiega po nich oczyma i nie siada. Że też tacy starzy ludzie nie są zmęczeni i nie poczekają ze staniem, aż nie będzie można usiąść. Czasem słyszy się, jak mówią: jeszcze sobie poleżę na cmentarzu. Przy tym wcale nie myślą o umieraniu, i mają rację. Przecież nigdy nie odbywało się to po kolei, również młodzi umierają. Ja siadam zawsze, jeżeli tylko nie muszę stać. Siedzieć w jadącym tramwaju to tak jakby iść, siedząc. Mężczyzna mierzy mnie wzrokiem, w tym pustym wagonie czuję to od razu. Nie mam głowy do rozmów, w przeciwnym razie spytałabym, co takiego jest we mnie do oglądania. Nie obchodzi go, że przeszkadza mi, kiedy się tak na mnie gapi. Na zewnątrz, za oknem, przesuwa się pół miasta, drzewa na przemian z domami. Mówi się, że tacy starzy ludzie wyczuwają więcej niż młodzi. Może nawet to, że mam dzisiaj w torebce mały ręcznik, pastę do zębów i szczoteczkę. Chusteczki nie mam, ponieważ nie chcę płakać. Paul nie wyczuł, jak bardzo się boję, że Albu mógłby mnie dzisiaj zaprowadzić do celi pod swoim biurem. Nic mu nie powiedziałam; jeżeli tak się stanie, dowie się o tym wystarczająco szybko. Tramwaj jedzie powoli. Słomkowy kapelusz starego ma poplamioną taśmę, prawdopodobnie od potu albo od deszczu. Na powitanie Albu jak zawsze złoży mi na rękę pocałunek mokry od śliny.

Major Albu unosi moją rękę za opuszki palców i ściska mi paznokcie tak, że mam ochotę krzyknąć. Dolną wargą całuje palce, górną trzyma w pogotowiu, żeby móc mówić. Pocałunek składa zawsze w ten sam sposób, ale kiedy mówi, zawsze ma coś innego do powiedzenia:

— No, no, masz dzisiaj zaczerwienione oczy.

— Wydaje mi się, że rosną ci wąsy, trochę za wcześnie jak na twój wiek.

— Ach, rączka jest dzisiaj zimna jak lód, miejmy nadzieję, że to nie krążenie.

— Ojej, twoje dziąsła kurczą się, jakbyś była własną babką.

— Moja babcia nie zestarzała się — mówię — nie miała czasu stracić zębów.

Albu wie, jak to było z zębami mojej babci, dlatego je wspomina.

Jako kobieta wiem, jak dzisiaj wyglądam. I że pocałunek w rękę po pierwsze nie boli, po drugie nie jest mokry, po trzecie jego miejsce jest na grzbiecie dłoni. Jak powinien wyglądać pocałunek w rękę, mężczyźni wiedzą lepiej niż kobiety, Albu z pewnością też. Cała jego głowa pachnie „Avril”, francuskimi perfumami, jakich używał również mój teść, perfumowany komunista. Nikt inny ze znanych mi ludzi nie kupiłby ich. Na czarnym rynku kosztują więcej niż garnitur w sklepie. A może nazywają się „Wrzesień”, wszędzie jednak rozpoznam ten gorzki zapach, nasycony dymem płonącego listowia.

Kiedy siadam przy małym stoliku, Albu widzi, że pocieram palcami o spódnicę, nie tylko po to, aby je znowu poczuć, lecz także aby wytrzeć ślinę. Przekręca swój sygnet i uśmiecha się zjadliwie. A jeśli nawet, ślinę można wytrzeć, wyschnie nawet sama i nie jest trująca. Ślinę ma każdy w ustach. Inni plują na chodnik i rozcierają plwocinę butem, ponieważ nawet na chodniku nie wypada jej zostawić. Albu z pewnością nie pluje na chodnik, w mieście, gdzie go nikt nie zna, odgrywa wytwornego pana. Bolał mnie paznokcie, ale nigdy jeszcze nie ścisnął ich tak, żeby posiniały. Znowu zaczynają tajać, jakby lodowate ręce znalazły się nagle w ciepłe. Mam wrażenie, że mózg przesuwają mi się do przodu, na twarz, to działa jak trucizna. Upokorzenie, jak inaczej można nazwać stan, któremu towarzyszy uczucie, jakby się było bosym na całym ciele. Tylko co z tego, jeśli słowem niewiele można powiedzieć, jeśli najlepsze słowo jest złe.

Dziś od trzeciej nad ranem nasłuchiwałam, jak tyka budzik: wezwana, wezwana, wezwana... Paul kopie we śnie w poprzek łóżka i wzdryga się nerwowo, tak gwałtownie, że sam jest tym przestraszony, chociaż się nie budzi. To przyzwyczajenie. Koniec ze spaniem. Leżę, czuwając, i wiem, że musiałabym zamknąć oczy, żeby znowu zasnąć. Ale nie zamykam ich. Już wielokrotnie oduczałam się spania. Potem na nowo musiałam się tego uczyć. To przychodzi bardzo łatwo albo wcale. Wszystko śpi nad ranem, nawet koty i psy tylko przez pół nocy wałęsają się po śmietnikach. Jeżeli wiadomo, że nie da się zasnąć, łatwiej pomyśleć w ciemnym pokoju o czymś jasnym, niż nadaremnie zaciskać powieki. O śniegu, pobielonych pniach drzew, białych pokojach, piasku — częściej, niżbym chciała, spędzałam tak czas, aż zaczynało świtać. Dzisiaj rano mogłam pomyśleć o słonecznikach, co też zrobiłam, ale zapomnieć o tym, że jestem wezwana na punkt dziesiątą, nie potrafiłam. Odkąd budzik tykał: wezwana, wezwana, wezwana, musiałam myśleć o majorze Albu, zanim jeszcze pomyślałam o mnie i o Paulu. Dzisiaj, kiedy Paul wzdrygnął się nerwowo, nie spałam już. Gdy tylko okno zrobiło się szare, zobaczyłam na suficie wielkie usta Albu, różowy koniec języka za dolnym rzędem zębów i usłyszałam drwiący głos:

— Po co tracić nerwy, dopiero zaczynamy.

Jeśli przez dwa, trzy tygodnie nie jestem wzywana, to budzą mnie nogi Paula. Wtedy czuję radość: spałam, znowu się tego nauczyłam.

Gdy znowu potrafię spać i pytam rano Paula, co mu się śniło, on nie może sobie niczego przypomnieć. Pokazuję mu, jak wierzga z rozczapierzonymi palcami, potem szybko cofa nogi i podkula palce. Odciągam krzesło od stołu na środek kuchni, siadam na nim, trzymam nogi w powietrzu i prezentuję, jak to było. Paul śmieje się przy tym, a ja mówię:

— Śmiesz się z siebie.

— No cóż, może jechałem we śnie na motorze i wziąłem cię ze sobą — mówi.

To wzdrygnięcie się jest jak szarża i w połowie niej ucieczka, wbiłam sobie w głowę, że to od picia. Ale nie mówię tego. Ani tego, że noc zabiera chwiejność z nóg Paula. Tak właśnie musi się to odbywać, łapie ją

w kolanach, ciągnie najpierw do palców u nóg, potem do pokoju, w którym jest ciemno jak w worku. A nad ranem, gdy miasto jest pogrążone w swoim własnym śnie, na zewnątrz w czerń ulicy. Gdyby tak nie było, Paul nie mógłby stać prosto po obudzeniu. Jeżeli noc od każdego zabiera alkoholowe zamroczenie, musi być nad ranem zalana aż po gwiazdy. Tak wielu pije w tym mieście.

Tuż po czwartej na ulicę ze sklepami przyjechały samochody dostawcze. Rozrywają ciszę, warkotu przy tym wiele, a towaru mało, kilka skrzynek z chlebem, mlekiem, warzywami i dużo z wódką. Kiedy tam na dole skończy się jedzenie, kobiety i dzieci muszą się z tym pogodzić, kolejki się rozchodzą, drogi prowadzą do domu. Ale kiedy skończą się butelki, mężczyźni przeklinają swoje życie i wyciągają noże. Sprzedawcy przemawiają im do rozsądku, ale pomaga to tylko tak długo, dopóki nie znajdą się na zewnątrz. Udadają się na poszukiwanie, włóczą się po mieście. Do pierwszych bijatyk dochodzi, gdyż nie znajdują wódki, do następnych — ponieważ są zalani w trupa.

Wódka rośnie na pogórzcu, między Karpatami a suchą równiną. Rosną tam takie śliwy, że prawie nie widać malutkich wiosek między nimi. Całe lasy późnym latem skąpane w granacie, gałęzie wygięte pod ciężarem. Wódka nazywa się tak jak pogórze, jednak nikt nie używa nazwy z etykiетки. Nie potrzebowałyby zresztą żadnych nazw, ponieważ w kraju jest tylko jedna wódka i ludzie nazywają ją od obrazka na etykiecie: „Dwie śliwki”. Obie śliwki z opartymi o siebie policzkami są mężczyznom tak bliskie jak etykiecie święta Maryja z dzieciątkiem. Mówi się, że śliwki pokazują miłość między pijakiem a butelką. Według mnie śliwki z opartymi o siebie policzkami bardziej przypominają zdjęcia ślubne niż Maryję z dzieciątkiem. Na żadnym obrazie w kościele głowa dziecka nie jest na wysokości głowy matki. Dziecko opiera czoło o policzek świętej, swój policzek o jej szyję, a brodę na jej piersi. Poza tym z pijakiem i butelką jest raczej tak jak z parami ze zdjęć ślubnych, niszczą się nawzajem, ale nie pozwalają sobie odejść.

Na moim zdjęciu ślubnym z Paulem nie trzymam kwiatów, nie mam welonu. Miłość lśni mi nowym blaskiem w oczach, a przecież na tym zdjęciu już po raz drugi wychodzę za mąż. Nasze policzki opierają się o siebie jak dwie śliwki. Odkąd Paul tak dużo pije, zdjęcie ślubne jest przepowiednią. Kiedy Paul przepada do późnego wieczora na pijackich eskapadach w mieście, boję się, że już nigdy nie przyjdzie do domu, i wpatruję się tak długo w zdjęcie na ścianie, aż spojrzenie się rozmywa. Wtedy nasze twarze pływają, położenie policzków zmienia się, między nimi jest trochę powietrza. Zazwyczaj jego policzek odpływa od mojego, jak gdyby Paul przyszedł późno do domu. Ale przychodzi, Paul zawsze do tej pory przychodził do domu, nawet po wypadku.

Czasem rzucają polską żubrówkę, słodko-gorzka, żółta. Ona sprzedaje się najpierw. W każdej butelce stoi długie, utopione źdźbło, które podczas nalewania drży, ale nigdy się nie przewraca ani nie wypada. Pijacy mówią: Źdźbło trawy zostaje w butelce jak dusza w ciele, dlatego strzeże duszy.

Do piekącego smaku w ustach i migotliwego rauszu w głowie należy też ta wiara. Pijacy otwierają butelkę, przy polewaniu bulgocze w kieliszku, pierwszy łyk spływa do gardła. Dusza, która zawsze drży, nigdy nie upada i nigdy nie opuszcza ciała, zaczyna być strzeżona. Paul też strzeże swojej duszy i nie ma takiego dnia, kiedy musiałby sobie wyznać, że nie może wziąć swego życia we własne ręce. Może byłoby mu dobrze beze mnie, ale jesteśmy chętnie razem. Wódka zabiera dzień, a noc alkoholowe zamroczenie. Z czasów, kiedy wczesnymi rankami musiałam jeździć do fabryki tekstylnej, pamiętam, że robotnicy mawiali: Mechanizm maszyn do szycia oliwi się przez kółka, napęd człowieka przez gardło.

Jeździłam wtedy z Paulem codziennie o piątej motorem do pracy. Widzieliśmy samochody dostawcze przed sklepami, kierowców, tragarzy, sprzedawców i księżyc. Teraz słyszę tylko hałas i nie podchodzę do okna, na księżyc też nie patrzę. Pamiętam jeszcze, że niczym gęsie jajo wychodzi on z miasta po jednej stronie nieba, a z drugiej strony przychodzi słońce. Pod tym względem nic się nie zmieniło, i nawet zanim

poznałam Paula i chodziłam na piechotę do tramwaju, było tak samo. Po drodze czułam się nieswojo, że na górze, na niebie, jest coś pięknego, a na ziemi, na dole, nie ma żadnej ustawy, która zakazuje patrzenia w górę. Wolno więc było podkraść coś z dnia, zanim stał się nędzny w fabryce. Marzłam, ponieważ nie mogłam napatrzeć się do syta, a nie dlatego, że byłam za cienko ubrana. Księżyc jest prawie cały wyżarty o tej porze, na końcu miasta nie wie, dokąd ma pójść dalej. Niebo musi oderwać się od ziemi, kiedy robi się jasno. Ulice biegną stromo w dół i w górę po płaskim globie. Wagony tramwajów jeżdżą tam i z powrotem jak oświetlone pokoje.

Również tramwaje znam od środka. Kto wsiada o tej porze, niesie wytartą skórzaną torbę, ma krótkie rękawy i na obu ramionach gęsią skórkę. Ociężałe spojrzenia osądzają go. Sami swoi, klasa robotnicza. Lepszy ludzie jeżdżą do pracy samochodem. A w swoim gronie dokonuje się porównań: ten ma lepiej, ten gorzej. Tak samo nie ma nikt, to niemożliwe. Czasu jest mało, zaraz będziemy przy fabrykach, taksowani zaczną po kolei wysiadać. Wyczyszczone bądź zakurzone buty, koślawe albo proste obcasy, świeżo wyprasowany lub pognieciony kołnierzyk, paznokcie, pasek od zegarka, sprzączka u pasa, przebieg przedziałka, wszystko aż się prosi o zawiść lub o pogardę. Przed zaspanymi spojrzeniami nawet w tłoku nic się nie ukryje. Klasa robotnicza szuka różnic, rankami nie ma równości. Słońce też jedzie w środku, a na zewnątrz ciągnie w górę chmury, białe i czerwone, dla żaru południa. Nikt nie ma na sobie kurtki, poranne marznienie oznacza świeże powietrze, gdyż w południe nadejdzie gęsty pył i piekielny upał.

Teraz, jeżeli nie jestem wezwana, śpimy jeszcze o tej porze. Sen za dnia traci swą głęboką czerń, jest płytki i żółty. Śpimy niespokojnie, promienie słońca padają na nasze poduszki. Można jednak w ten sposób skrócić dzień. Wystarczająco wcześniej zaczną nas obserwować, dzień nam nie ucieknie. Zawsze możemy zrobić coś niewłaściwego, nawet jeśli śpimy prawie do południa. I tak zarzucają nam zazwyczaj coś, czego nie można już zmienić. Kiedy śpimy, dzień czeka, również łóżko nie jest innym krajem. W spokoju zostawią nas dopiero wtedy, kiedy będziemy leżeć koło Lilli.

Oczywiście Paul musi odespać również swoje alkoholowe odurzenie. Dopiero koło południa jego głowa tkwi solidnie na karku, usta mogą znowu mówić, nie memlają słów głosem pożyczonym z pijackiego bełkotu. Tylko jego oddech, kiedy Paul wchodzi do kuchni, pachnie jeszcze tak, jakbym przechodziła na dole koło otwartych drzwi baru. Od wiosny czas picia jest uregulowany ustawowo, dopiero po jedenastej wolno pić. Ale bar nadal otwierają o szóstej: do jedenastej wódka stoi w filiżankach do kawy, potem są kieliszki.

Paul pije i nie jest sobą, odsypia swoje alkoholowe odurzenie i znowu jest sobą. Koło południa wszystko mogłoby być dobrze, ale znowu zostaje popsute. Paul tak długo strzeże swojej duszy, aż żdźbło trawy stanie na suchym dnie, a ja rozmyślam, kim jesteśmy, ja i on, aż w końcu nie wiem już nic. Kiedy koło południa siedzimy przy kuchennym stole, nie powinniśmy rozmawiać o wczorajszym pijaństwie. Mimo to mówię czasem to, czasem owo:

- Wódka niczego nie zmienia.
- Dlaczego utrudniasz mi życie.
- Twoje wczorajsze pijaństwo było większe niż ta kuchnia.

Tak, mieszkanie jest małe, a ja nie chcę Paula unikać, ale jeśli zostajemy w domu, za często siedzimy w dzień w kuchni. Po południu jest już pijany, a wieczorem jeszcze bardziej. Przesuwam rozmowę na później, gdyż robi się drażliwy. Czekam przez noc, aż znowu usiądzie trzeźwy w kuchni, ze szklistymi oczami w czole. Tego, co mówię, słucha jednym uchem. Chciałabym, żeby Paul raz przyznał mi rację. Jednak pijacy

nie czynią wyznań, ani tych bez słów dla siebie samych, ani tych wymuszonych dla innych, którzy czekają na nie, już od dawna tego nie robią. Paul, budząc się, myśli o piciu, lecz zaprzecza temu. Dlatego nie ma prawdy. Jeżeli nie puszcza w milczeniu moich słów mimo uszu, mówi jedno zdanie, które ma mi wystarczyć na cały dzień:

— Nie martw się, nie piję z rozpaczy, tylko dlatego, że mi smakuje.

— Możliwe — mówię — ty myślisz językiem.

Paul patrzy przez kuchenne okno w niebo albo w filiżankę. Szturcha krople kawy na stole, jakby chciał się przekonać, że rzeczywiście są mokre i zrobią się większe, jeżeli się je rozmaże. Chwyta moją dłoń, a ja patrzę przez kuchenne okno w niebo, w filiżankę, też szturcham to tę, to ową kroplę kawy na stole. Czerwona emaliowana puszka patrzy na nas, odwzajemniam spojrzenie. Paul nie, gdyż wtedy musiałby na dzisiaj zaplanować coś innego niż na wczoraj. Czy jest silny, czy słaby, kiedy milczy, zamiast raz zdecydować: dzisiaj nie piję. Wczoraj Paul znowu powiedział:

— Nie martw się, twój człowiek pije, ponieważ mu smakuje.

Nogi niosły go przez korytarz, za ciężkie, za lekkie, jakby wymieszał się w nich piasek z powietrzem. Objęłam go za szyję, pogładziłam jego zarost, którego rano tak chętnie dotykam, gdyż wyrósł we śnie. Pociągnął moją dłoń do góry pod oko, osunęła się po jego policzku aż do brody. Nie cofnęłam palców, tylko pomyślałam sobie: Niczego nie powinno się opierać o policzek, gdy zna się obraz dwóch śliwek.

Lubię, kiedy późnym rankiem Paul tak mówi, i nie podoba mi się to. Gdy się właśnie od niego odsuwam, opiera o mnie swoją miłość, która nadchodzi tak naga, że on nie potrzebuje już mówić o sobie. Nie ma na co czekać. Moja zgoda jest w pogotowiu, ślina nie przynosi mi na język żadnego wyrzutu. A ten w głowie znika szybko. Dobrze, że się nie widzę, myślę, że moja twarz robi się głupia i jasna. Również wczoraj rano z kaca Paula wysunął się nieoczekiwanie biegający na miękkich łapach koci nos. TWÓJ CZŁOWIEK, tak mówi tylko ktoś, kto ma płytko w głowie i jest bardzo dumny w kącikach ust. Chociaż czułość w południe przeciera szlaki pijaństwu wieczorem, jestem na nią skazana, i nie podoba mi się, że tak jej potrzebuję.

Major Albu mówi: Widać, co myślisz, nie ma sensu się tego wypierać, tracimy tylko czas. Ja, nie my, on jest przecież tak czy inaczej na służbie. Podciąga rękaw i spogląda na zegarek. Czas, tak, czas tam widać, ale nie to, co ja myślę. Skoro Paul nie widzi, co ja myślę, on tego z pewnością nie zobaczy.

Paul śpi od ściany, a ja na brzegu łóżka, ponieważ częściej nie mogę zasnąć. Mimo to on zawsze powtarza po obudzeniu:

— Leżałaś pośrodku i zepchnęłaś mnie do ściany.

Odpowiadam na to:

— Nie może być, moje miejsce na brzegu było wąskie jak sznurek do wieszania bielizny, pośrodku byłbyś ty.

Jedno z nas mogłoby spać w łóżku, drugie na sofie. Wypróbowaliśmy to. Pierwszej nocy ja położyłam się na sofie, następnej Paul. Obie noce przewracałam się tylko z boku na bok. Moja głowa meła myśli, a nad ranem, w północy, złe sny. Dwie noce pełne złych snów, które nanizane jeden za drugim przez cały dzień wysuwały po mnie szpony. Kiedy leżałam na sofie, mój pierwszy mąż postawił walizkę na moście, chwycił

mnie za kark i zaśmiał się donośnie. Potem spojrzął na wodę i zagwizdał piosenkę, w której miłość rozbija się, a woda w rzece staje się czarna jak atrament. Nie była jak atrament, widziałam ją, a w wodzie jego twarz, stromo i odwrotnie, aż do dna, gdzie leżał żwir. Potem siwek w gąszczu drzew jadł morele. Przy każdej moreli podnosił głowę i wypluwał pestkę jak człowiek. A kiedy leżałam sama w łóżku, ktoś złapał mnie z tyłu za ramiona i powiedział:

— Nie spoglądaj za siebie, mnie tu nie ma.

Nie odwróciłam głowy, tylko zerkałam kątem oka. Palce Lilli dotykały mnie, jej głos był męskim głosem, a więc to nie była ona. Podniosłam rękę, żeby dotknąć palców. Wtedy głos powiedział:

— Nie dotyka się tego, czego się nie widzi.

Palce widziałam, to były jej palce, tylko ktoś inny je sobie wziął. Jego nie widziałam. A w następnym śnie mój dziadek strzygł zasypany śniegiem krzak hortensji i wołał do mnie:

— Chodź, mam tu jagnię.

Śnieg padał mu na spodnie, nożyczki obcinały kwiaty, które mróz pokrył brązowymi plamami. Powiedziałam:

— Przecież to nie jest jagnię.

— Człowiek to też nie jest — powiedział on.

Miał zdrtwiałe palce i mógł tylko powoli otwierać i zamykać nożyczki. Nie byłam pewna, czy to one skrzypią, czy jego ręka. Wyrwałam mu je i rzuciłam w śnieg. Zatonęły w nim, nie było widać, gdzie upadły. Przeszedł całe podwórze z nosem tuż nad śniegiem. Przy bramie do ogrodu nastąpiłam mu na rękę, żeby podniósł nos i nie wyszedł za ogrodzenie, żeby nie przeszukiwał całej białej ulicy. Powiedziałam:

— Przestań, jagnię zamarzło, a wlna spłonęła w mrozie.

Przy płocie stała jeszcze jedna hortensja, ostrzyżona na лыso. Wskazałam na nią:

— A co z nią?

— Ta jest najgorsza — powiedział — będzie miała na wiosnę małe, tak przecież nie można.

Po drugiej nocy Paul stwierdził rankiem:

— Kiedy przeskadza się sobie nawzajem, wiadomo, że kogoś się ma. Tylko w trumnie trzeba spać samemu, a to nastąpi wystarczająco szybko. Powinniśmy nocą być razem. — Kto wie, o czym on śnił i o czym od razu zapomniał.

Mówił o spaniu, nie o śnieniu. Dzisiaj rano, o wpół do piątej, widziałam Paula śpiącego w szarym świetle, wykrzywioną twarz z podwójnym podbródkiem. A na dole, na ulicy ze sklepami, słychać było z samego rana przekleństwa i głośny śmiech. Lilli mówiła: Przekleństwa wypędzają zło.

Durniu, zabierz stąd nogę. Pochyl się, bo po uszy wdepniesz w gówno. Nastaw te kłapiaste uszy, to



usłyszysz, tylko nie odfrun, jak powieje wiatr. Zostaw włosy w spokoju, jeszcze nie skończyliśmy rozładowywać. Jakaś kobieta wydawała z siebie gdaczące, ochryple dźwięki, jak kura. Drzwi samochodu zamknęły się z łoskotem. Trzymaj, baranie, jak chcesz odpocząć, jedź do sanatorium.

Ubrania Paula leżały na ziemi. W lustrze na drzwiach od szafy stał dzisiejszy dzień i tego dnia jestem wezwana. Tak więc wstałam, postawiłam na podłodze najpierw prawą nogę, jak zawsze, kiedy jestem wezwana. Sama nie wiem, czy w to wierzę, ale na pewno mi nie zaszkodzi.

Chętnie bym się dowiedziała, czy u innych ludzi mózg jest odpowiedzialny i za rozum, i za szczęście. U mnie mózg wystarcza tylko na to, żeby zrobić szczęście. Na zrobienie życia już nie wystarcza. W każdym razie na zrobienie mojego. Ze szczęściem się pogodziłam, nawet jeżeli Paul twierdzi, że nie jest to żadne szczęście. Co parę dni mówię:

— Jest mi dobrze.

Głowa Paula, cicha i tuż przede mną, patrzy na mnie ze zdziwieniem, jakby nieważne było to, że mamy się nawzajem. Mówi:

— Jest ci dobrze, bo zapomniałaś, co to znaczy u innych ludzi.

Inni ludzie mają może na myśli życie, kiedy mówią: jest mi dobrze. Ja mam na myśli tylko szczęście. Paul wie, że z życiem się pogodziłam, nie chciałabym też powiedzieć, że jeszcze nie.

— Przyjrzyj się nam — mówi Paul — i nie gadaj o szczęściu.

Światło w łazience rzuciło twarz w lustro. Stało się to tak szybko, jakby ktoś cisnął garść mąki na szybę. Pojawił się obraz z żabimi fałdkami tam, gdzie są oczy, i był podobny do mnie. Woda spływała mi ciepłym strumieniem przez ręce, na twarzy była zimna. Nie jest dla mnie niczym nowym, że przy czyszczeniu zębów pasta wypływa spieniona z oczu. Robi mi się niedobrze, wypluwam i kończę. Odkąd jestem wzywana, oddzielam życie od szczęścia. Kiedy idę na przesłuchanie, szczęście muszę zostawić w domu. Zostawiam je w twarzy Paula, wokół jego oczu, jego ust, na jego zaroście. Gdyby można było je zobaczyć, twarz Paula byłaby powleczone czymś przezroczystym. Zawsze, kiedy muszę już iść, chciałabym zostać w domu, tak jak zostaje strach, od którego nie mogę Paula wyzwolić. Jak moje szczęście, zostawiane w domu, gdy wychodzę. On o tym nie wie, nie zniósłby tego, że moje szczęście zdaje się na jego strach. On wie to, co widać: że zawsze wkładam zieloną bluzkę i jem orzech, kiedy zostaję wezwana. Bluzka dostała mi się w spadku po Lilli, ale jej nazwa pochodzi ode mnie: bluzka, która jeszcze rośnie. Gdybym zabrała szczęście ze sobą, miałabym za słabe nerwy. Albu mówi:

— Po co tracić nerwy, dopiero zaczynamy.

Ale ja przecież nie tracę nerwów, nie robi się ich mniej, lecz za dużo. I wszystkie szumią niczym jadący tramwaj.

Na pusty żołądek orzechy są ponoć dobre na nerwy i rozum. Wie o tym każde dziecko, ale ja zapomniałam. Przypomniałam sobie nie dlatego, że tak często jestem wzywana, lecz jedynie przez przypadek. Tak jak dzisiaj miałam być punkt dziesiąta u Albu i już o wpół do ósmej byłam gotowa do wyjścia. Na dojazd potrzeba najwyżej półtorej godziny. Ja przeznaczam na to dwie godziny; jeśli jestem za wcześnie, wolę się powłóczyć po okolicy. Jeszcze nigdy nie przyszłam za późno, nie mogę sobie wyobrazić, żeby opieszalność była tolerowana.

Przyszło mi na myśl, żeby zjeść orzech, bo już o wpół do ósmej byłam gotowa. Bywało tak również wcześniej, kiedy byłam wzywana, ale tego ranka orzech leżał w kuchni na stole. Paul znalazł go poprzedniego dnia w windzie i włożył do kieszeni, bo nie zostawia się przecież orzecha. Był to pierwszy orzech w tym roku, wilgotne włókna z zielonej szypułki kleiły się jeszcze do skorupy. Zważyłam go w ręce. Jak na świeży orzech był za lekki, jakby pusty w środku. Nie znalazłam młotka i rozbiłam go kamieniem, który wtedy leżał na korytarzu, ale od tamtej pory znalazł miejsce w rogu kuchni. Miał luźny mózg. Smakował kwaśną śmietaną. Tego dnia przesłuchanie wypadło krócej niż zazwyczaj, ja zachowałam nerwy i pomyślałam sobie, kiedy byłam znowu na ulicy: Zawdzięczam to orzechowi.

Od tej pory wierzę, że orzechy pomagają. Nie wierzę w to tak naprawdę, ale chcę zrobić wszystko, co jest możliwe, wszystko, co może pomóc. Dlatego pozostaję przy kamieniu jako narzędziu i przy poranku jako porze. Jeżeli orzech całą noc leży rozłupany, zużywa się jego moc. Nie tylko dla Paula i sąsiadów, również dla mnie rozbijanie orzecha wieczorem byłoby łatwiejsze do zniesienia, jednak nie mogę pozwolić, aby ktoś narzucał mi porę.

Kamień przywiozłam z Karpat. Mój pierwszy mąż był od marca w wojsku. Co tydzień pisał do mnie płacziwy list, a ja odpowiadałam krzepiącą pocztówką. Nadeszło lato i można było dokładnie wyliczyć, ile listów i pocztówek musi jeszcze powędrować w obie strony, zanim wróci. Ponieważ mój teść chciał zastąpić go w łóżku, obrzydło mi wszystko w ogrodzie i domu. Kiedy teść wczesnym rankiem poszedł do pracy, spakowałam plecak i postawiłam go w krzakach przed dziurą w płocie. Z pustymi rękoma wyszłam późnym przedpołudniem na ulicę. Teściowa rozwieszała pranie i nie poznała po mnie, co zamierzam. Nie powiedziałam ani słowa, wzięłam plecak przez płot i poszłam na dworzec. Pojechałam w góry i przyłączyłam się do grupy absolwentów konserwatorium. Codziennie aż do zmroku kuśtykaliśmy od jednego jeziora polodowcowego do następnego. Na każdym brzegu stały drewniane krzyże z datami śmierci tych, którzy utonęli między skalnymi odłamkami. Cmentarze pod wodą i krzyże naokoło jako ostrzeżenie przed niebezpiecznymi dniami. Jakby okrągłe jeziora były głodne, jakby potrzebowały co roku mięsa w dniach zapisanych na krzyżach. Nikt tutaj nie nurkował w poszukiwaniu zmarłych, woda jednym cięciem przecinała życie, wystudzenie następowało natychmiast. Absolwenci śpiewali, chociaż jezioro odbijało ich głowami do dołu, żeby sprawdzić, czy byłiby dobrymi zwłokami. Podczas wędrowki, odpoczynku i jedzenia śpiewali chórem. Nie zdziwiłabym się, gdyby nocą podczas snu śpiewali na głosy, tak jak na najbardziej nagich wysokościach, gdzie niebo dmuchało nam w usta. Musiałam się trzymać grupy, ponieważ śmierć nie oddaje żadnego wędrowca, który zabłąka się samotnie. Od jezior oczy stawały się każdego dnia większe, już od dawna sięgały policzków, widziałam to na każdej twarzy, i każdego dnia krótsze stawały się nogi. Mimo to ostatniego dnia chciałam wziąć coś ze sobą do domu i wyciągnęłam z rumowiska kamień przypominający stopę dziecka. Absolwenci szukali małych, płaskich kamieni, dobrze leżących w dłoni, kamieni na zmartwienia. Ich poręczne kamienie wyglądały jak guziki od płaszczy, a tych miałam w fabryce tekstylnej codziennie pod dostatkiem. Ale absolwenci wierzyli wtedy w kamienie na zmartwienia, tak jak ja dzisiaj wierzę w orzechy.

Nie potrafię tego zmienić: wkładam zieloną bluzkę, która jeszcze rośnie, i uderzam dwa razy kamieniem, w kuchni chwieją się naczynia, orzech jest już rozłupany. Gdy go jem, przychodzi Paul, wyrwany ze snu stukaniem, w piżamie, pije jedną lub dwie szklanki wody, jeżeli poprzedniego wieczora był pijany w sztuk tak jak wczoraj — dwie. Nie muszę rozumieć poszczególnych słów, i tak wiem, co mówi, pijąc wodę:

— Chyba nie wierzysz tak naprawdę, że orzech coś pomoże.

Oczywiście, że nie wierzę w to tak naprawdę, tak jak nie wierzę tak naprawdę we wszystkie te rzeczy, do których się przyzwyczaiłam. Tym bardziej jestem jednak uparta.

— Daj mi wierzyć w to, w co chcę.

Tego Paul już nie komentuje, ponieważ oboje wiemy, że przed przesłuchaniem trzeba mieć wolną głowę i że to nie czas na klótnie. Większość przesłuchań mimo orzecha jest męcząco długa. Tylko skąd mam wiedzieć, czy bez orzecha nie byłyby gorsze. Paul nie rozumie, że jeszcze bardziej skazuje mnie na rzeczy, do których się przyzwyczaiłam, gdy lekceważy je mokrymi ustami i pustą szklanką, zanim ją odstawi.

Kiedy jest się wzywaniem, nabywa się przyzwyczajień, które są na coś przydatne. Rzeczywiście albo nie, nie o to chodzi. Nie *się* nabywa, to ja nabyłam tych przyzwyczajień, wkradają się jedno po drugim.

Paul mówi:

— Że też zajmujesz się czymś takim.

On zamiast tego zastanawia się nad pytaniami, które na mnie czekają, kiedy jestem wezwana. To jest konieczne, uważa Paul, a to, co ja robię, to szaleństwo. Byłoby to konieczne, gdyby pytania, na które on mnie przygotowuje, rzeczywiście na mnie czekały. Jak dotąd padały zawsze całkiem inne.

Wymagać, żeby rzeczy, które stały się moimi przyzwyczajeniami, były dla mnie przydatne, to zbyt dużo. One są przydatne na coś, nie dla mnie. Na coś, to znaczy najwyżej na życie przez dzień. Szczęścia w głowie nie wolno sobie po tym obiecywać. O życiu można wiele powiedzieć. O szczęściu nic, gdyż przestałoby nim być. Nawet szczęście, które się przegapiło, nie znosi słów. Przy rzeczach, które stały się moimi przyzwyczajeniami, chodzi o dni, nie o szczęście.

Paul ma z pewnością rację, orzech i bluzka, która jeszcze rośnie, przysparzają dodatkowo strachu. No i co z tego, dlaczego powinnyam chcieć przysporzyć sobie szczęścia, jeżeli udaje się tylko przysparzanie strachu. Mogę zajmować się tym bez przeszkód i nie będę taka wymagająca jak inni ludzie. Poza tym nikt nie pożąda strachu, którego ktoś inny sobie przysparza. Ze szczęściem jest na odwrót, dlatego nie jest ono dobrym celem, na żaden dzień.

Zielona bluzka, która jeszcze rośnie, ma wielki guzik z masy perłowej, który wyszukałam wtedy dla Lilli spośród wielu guzików w fabryce i zabrałam ze sobą.

Podczas przesłuchania siedzę przy małym stoliku, kręcę guzikiem i odpowiadam spokojnie, nawet jeżeli nerwy buzuja we mnie. Albu chodzi w tę i z powrotem, to, że musi prawidłowo pytać, tak samo zżera jego spokój, jak mój jest zżerany przez to, że muszę prawidłowo odpowiadać. Jeśli jestem opanowana, źle zabrał się do czegoś, może do wszystkiego. Kiedy przychodzę z przesłuchania do domu, wkładam szarą bluzkę. Nazywam ją: bluzka, która jeszcze czeka. Jest od Paula. Oczywiście mam często wątpliwości z powodu tych nazw. Jednak jeszcze nie zaszkodziły, nawet w te dni, kiedy nie byłam wezwana. Bluzka, która jeszcze rośnie, pomaga mi, a bluzka, która jeszcze czeka, pomaga może Paulowi. Jego strach o mnie sięga do sufitu, tak jak mój o niego, kiedy on siedzi w mieszkaniu i czeka, i pije albo przepada w mieście na pijackiej eskapadzie. Łatwiej jest, kiedy samemu trzeba wyjść, wynosi się z domu strach, a szczęście zostawia, a ktoś inny wyczekuje. Siedzenie w domu i czekanie rozciąga czas do granic wytrzymałości i doprowadza do ostateczności strach.

Tego, czego oczekuję od rzeczy, które stały się moimi przyzwyczajeniami, człowiek nie może dokonać. Albu krzyczy:

— Widzisz, wszystko się łączy!

A ja kręcę dużym guzikiem przy mojej bluzce i mówię:

— Dla pana, nie dla mnie.

Stary mężczyzna w słomkowym kapeluszu oderwał ode mnie swoje wodniste oczy, tuż zanim wysiadł z tramwaju. Naprzeciwko siedzi teraz ojciec z dzieckiem na kolanach i wyciąga nogi w przejściu. Nie ma zamiaru przyglądać się, jak przed naszymi oczyma przesuwa się miasto. Dziecko wsadza mu palec wskazujący do nosa. Jak zakrzywić palec i szukać smarków, tego wszyscy uczą się wcześniej. A później mówi się dziecku, że smarków wolno szukać tylko we własnym nosie i tylko wtedy, gdy nikt nie widzi. Dla ojca nie nadeszło jeszcze później, uśmiecha się, może sprawia mu to przyjemność. Tramwaj zatrzymuje się, chociaż nie ma przystanku, motorniczy wysiada. Kto wie, jak długo postoiimy. Jest wczesne przedpołudnie, a on wykrada sobie przerwę w środku trasy. Tutaj przecież każdy robi, co chce. Przechodzi na drugą stronę do sklepów, doprowadza jeszcze do porządku koszulę i spodnie, żeby nie było widać, że zostawił swój tramwaj w środku trasy. Przybiera taką pozę, jak gdyby z czystej nudy na sofie wystawił nos na zewnątrz, na słońce. Jeżeli chce coś kupić w sklepie, będzie musiał powiedzieć, kim jest, inaczej musiałby stać w kolejce. Jeżeli chce się tylko napić kawy, to miejmy nadzieję, że na stojąco. Na wódkę nie może sobie pozwolić, nawet jeżeli okno z przodu zostawiłby otwarte. Wszyscy, tak jak tutaj siedzimy, mamy prawo cuchnąć wódką, poza nim. Ale on zachowuje się tak, jakby było na odwrót. Jeżeli chodzi o wódkę, miejsce, w którym muszę być punkt dziesiąta, stawia mnie w jego sytuacji. Chętniej zrezygnowałabym z wódki z jego powodów niż z moich. Kto wie, kiedy wróci.

Odkąd pozostawiam moje szczęście w domu, nie jestem przy pocałunku w rękę tak sparaliżowana jak kiedyś. Zakrzywiam palce, żeby Albu nie mógł swobodnie mówić. Ćwiczyłam z Paulem pocałunek w dłoń. Ponieważ chcieliśmy się dowiedzieć, czy sygnet na środkowym palcu Albu jest ważny przy zginiataniu palców podczas pocałunku, uszyłam pierścionek z kawałka gumki i guzika od płaszcza. Wkładaliśmy go na zmianę i w atakach śmiechu zgubiliśmy powód naszych ćwiczeń. Odtąd wiem, że nie powinnam zginać ręki w przegubie od razu, lecz powoli, stopniowo. Kości palców dotykają wówczas jego dziąseł i przeszkadzają mu w mówieniu. Czasem podczas pocałunku Albu przychodzą mi na myśl ćwiczenia z Paulem. Wtedy ból paznokci i ślina nie upokarzają mnie aż tak bardzo. Pomału się uczę, ale nie wolno mi się z tym zdradzić; śmiać się nie wolno w żadnym wypadku.

Spacerując po ulicy albo siedząc w samochodzie, można obserwować tylko wejście i dolne piętra bloku w kształcie wieży, w którym mieszkam z Paulem. Od piątego piętra wzwyż mieszkania leżą za wysoko, trzeba technicznych chwytów, żeby zobaczyć szczegóły. Poza tym blok mniej więcej w połowie wysokości zakrzywia się na zewnątrz. Kiedy długo patrzy się w górę, oczy przesuwiają się na czoło. Często robiłam takie próby, szyja się męczy. Blok w kształcie wieży był już taki przed dwunastu laty, od początku, mówi Paul. Kiedy chcę komuś wytłumaczyć, gdzie mieszkam, wystarczy, że powiem: w przesuniętym bloku w kształcie wieży. Każdy w mieście wie, gdzie to jest, i pyta:

— Nie boisz się, że się zawali.

Nie boję się, w środku jest żelazobeton. Ponieważ ludzie reagują na aluzję wzrokiem wbitym w ziemię, jakby moja twarz przyprawiała ich o zawrót głowy, mówię:

— Prędzej zawali się wszystko inne w tym mieście.

Wtedy kiwają głową, żeby opanować drganie żył w szyi.

To, że nasze mieszkanie leży wysoko, jest dla nas w zasadzie korzystne, tylko że niestety również i my

nie widzimy stąd dokładnie, co dzieje się na dole. Z siódmego piętra nie można bezbłędnie rozpoznać przedmiotów mniejszych od walizki, no, a jak często się zdarza, żeby ktoś niósł walizkę. Ubrania rozmywają się, ich kolory są wielkimi plamami, twarze między włosami a ubraniami — małymi. Można byłoby zgadywać, jak wyglądają nos, oczy albo zęby w małych plamach, ale po co. Starych ludzi i dzieci rozpoznaje się po chodzie. Między blokiem w kształcie wieży a ulicą ze sklepami stoją w trawie kontenery na śmieci, a koło nich przebiega chodnik. Od chodnika odchodzą dwie cienkie dróżki, które omal spotykają się za śmietnikiem. Z góry kontenery na śmieci wyglądają jak rozbebeszone szafy bez drzwi. Raz w miesiącu są podpalane, dym wzbija się wysoko, śmieci zżerają same siebie. Jeżeli okna nie są zamknięte, zaczynają piec oczy i drapie w gardle. Na ulicy ze sklepami dzieje się najwięcej, niestety widzimy tylko jej zaplecze. Ile razy byśmy liczyli, nigdy nie udaje nam się rozdzielić dwudziestu siedmiorga drzwi na zapleczu między ośmiorną głównych drzwi sklepu spożywczego, piekarni, warzywniaka, apteki, baru, zakładu szewskiego, fryzjera i przedszkola. Tylna ściana pełna drzwi, a mimo to wiele samochodów dostawczych zatrzymuje się z przodu ulicy.

Stary szewc skarżył się na brak miejsca i szczury. Jego warsztat jest wokół stołu do pracy pozabijany deskami.

— Warsztat urządził mój poprzednik, w nowym jeszcze budynku — powiedział szewc — ściany z desek już tu były. Mojemu poprzednikowi nie przyszło nic sensownego do głowy albo przerosło go to, nie wykorzystał desek. Ja powbijiałem w nie gwoździe. Odkąd buty wiszą na sznurowadłach, rzemykach czy za obcasy, nie są już nadgryzane. To przecież nie w porządku: szczury żrą, a ja muszę płacić. Szczególnie zimą, kiedy rośnie głód. Za deskami jest dużo miejsca, pomieszczenie wielkie jak sala. Całkiem na początku, w jakiś wolny dzień, przyszedłem do warsztatu, poluzowałem na dole, pod stołem, dwie deski i prześliznąłem się z latarką przez dziurę. Nigdzie nie można postawić nogi, cała podłoga pędzi i piszczy — opowiadał — wszędzie pełno szczurzych gniazd. One nie potrzebują drzwi, tylko korytarzy w ziemi. W ścianach jest tam bezsensownie dużo gniazdek, a na tylnej ścianie czworo drzwi, prowadzą do kontenerów na śmieci. Nie można ich nawet odrobinę uchylić, żeby chociaż na parę godzin wypędzić szczury. Drzwi do warsztatu są tylko kawałkami blachy, na zapleczu ulicy ze sklepami więcej niż połowa drzwi to wmurowane w ścianę kawałki blachy. Chciano zaoszczędzić na betonie, a gniazdko są prawdopodobnie na wypadek wojny. Wojny będą zawsze — śmiał się — ale nie u nas. Rosjanie mają nas w garści dzięki umowom, nie przyjdą tutaj. Każą sobie to, czego potrzebują, dostarczać do Moskwy i żrą nasze zboże i nasze mięso. Głodowanie i ciężki pozostawiają nam. Kto by miał nas podbijać, to tylko kosztuje. Wszyscy są szczęśliwi, że nie należymy do nich, nawet Rosjanie.

Motorniczy nadchodzi bez pośpiechu, je rogalik. Koszula znowu wysunęła mu się ze spodni, jakby cały czas jechał. Z rogalikiem w dłoni i z pełnymi ustami przygląda sobie włosy, twarz wykrzywiona bardziej, niż byłoby to konieczne przy przeżuwanii. Już na schodkach doprowadza się do porządku, jednakże nie dla nas. Dla nas robi złą minę, żeby nikt w wagonie nie pozwolił sobie na jakąkolwiek uwagę. Wsiada, w drugiej ręce ma jeszcze jeden rogalik, trzeci wygląda mu z kieszeni koszuli. Tramwaj powoli rusza z miejsca. Ojciec z dzieckiem podciągnął teraz nogi z przejścia między siedzenia. Dziecko oblizuje szybę, on zamiast je odciągnąć, podtrzymuje ręką za kark, żeby mały, jasnoczerwony język dotarł wszędzie, gdzie chce. Dziecko odwraca głowę, patrzy, łapie go za ucho i papla. On nie wyciera mu mokrej brody. Może go słucha. Ale myślami jest całkiem gdzie indziej, spogląda na zewnątrz przez ślinę na szybie, jakby naturalne było to, że szyby kapią. Na jego potylicy gęste krótkie włosy, futro. W nim łysina blizny.

Kiedy nadeszło lato i pojawili się pierwsi ludzie w koszulach z krótkimi rękawami, przez cały tydzień podejrzewaliśmy pewnego mężczyznę. Do dziś, codziennie za dziesięć ósma, przychodzi pod nasz blok z ulicy ze sklepami, nie ma niczego w rękach, krąży wokół kontenerów na śmieci, potem wchodzi na chodnik i wraca do punktu wyjścia. W końcu wydało się to Paulowi zbyt idiotyczne, napchał papieru do plastikowej

torby, wziął ją w rękę i poszedł za mężczyzną. Wrócił dopiero o pierwszej z długim, białym chlebem, który wygodnie można nieść pod pachą. Z nim następnego ranka wyszedł na ulicę piętnaście po siódmej i za dziesięć ósma, gdy mężczyzna obchodził kontenery na śmieci, był z przełamanym chlebem z powrotem w domu. Mężczyzna ma koło czterdziestki, nosi złoty łańcuch z krzyżykiem, na wewnętrznej stronie jednego ramienia ma wytatuowaną kotwicę, a na drugim imię Anna. Mieszka w jasnozielonym szeregowcu na ulicy Morwowej i co rano, zanim zacznie krążyć wokół pojemników na śmieci, odprowadza do przedszkola płaczącego chłopca. W drodze z przedszkola do domu nie ma czego szukać przy naszym bloku, chyba że urozmaicenia. Jeżeli można nazwać tak jego codzienną wędrówkę. Paul mówi: Przychodzi do kontenerów na śmieci, bo stoją w pobliżu baru, który chwilę przedtem z ciężkim sercem minął, nie zatrzymując się. Alkoholowy zapach fermentujących śmieci odciąża jego nieczyste sumienie, może zawrócić i zamówić w barze pierwszy kieliszek. Pozostałe kieliszki wynikają same z siebie. Koło dziewiątej przysiadła się do niego jakiś facet, pije tylko dwie filiżanki kawy, ale siedzi przy jego stoliku do za pięć dwunasta. Wtedy trzeba odebrać dziecko. Dziecko płacze też w południe, kiedy widzi, że on na nie czeka.

Dla mnie pojemniki na śmieci nie śmierdzą wódką, ale pijak może odczuwać inaczej. Jednak dlaczego dzisiaj podnosi głowę i spogląda w górę, przechodząc koło bloku. I co jest z tym pięćdziesięciolatkiem w brązowym letnim garniturze z krótkimi rękawami, dotrzymującym mu towarzystwa. Myślę, że Paul mówi o sobie, twierdząc, że można wyciągać szyję do nieba, żeby po drodze do domu zdecydować się wbrew wyrzutom sumienia na pijaństwo. I dlaczego to dziecko płacze, kiedy go widzi, może to nie jego dziecko. Paul nie ma o niczym zielonego pojęcia, kiedy mówi:

— A kto by sobie pożyczał dziecko.

On nigdy nie robi zakupów, w przeciwnym razie wiedziałby, że ludzie pożyczają sobie dzieci, żeby dostać w sklepie więcej porcji mięsa, mleka i chleba.

Dlaczego Paul twierdzi, że pijak każdego ranka i w każde południe chodzi tu i tam, przecież skradał się za nim tylko jednego ranka i w jedno południe. Wszystko może być przypadkiem, nie przyzwyczajeniem. Albu jest wyszkolony w tych sprawach. W krótkich lub długich odstępach, żeby mnie skołować, co najmniej trzy razy pyta o to samo, zanim zadowolony się odpowiedzią. Dopiero potem mówi:

— Widzisz, teraz wszystko się łączy.

Paul uważa, że sama powinnam szpiegować pijaka, skoro nie jestem zadowolona z tego, czego on się dowiedział. Lepiej nie, reklamówka w rękę czy chleb pod pachą nie czynią niewidzialnym, można się zdradzić.

Przestałam stawać za dziesięć ósma przy oknie, chociaż co ranka przychodzi mi na myśl, że tam na dole chodzi pijak i wyciąga mu się szyja. Nie rozmawiam już też na ten temat, ponieważ Paul tak uparcie obstaje przy swoim, jak gdyby to pijaka potrzebował do życia, nie mnie. Jakby nasze życie mogło być łatwiejsze, jeżeli mężczyzna między swoim dzieckiem a pijaństwem nie jest nikim więcej niż tylko umęczonym ojcem.

— Wszystko może się zgadzać — mówię — tyle że przy okazji jeszcze szpieguje.

Motorniczy zdrapał z drugiego rogalika sól. Grube kryształki szczypią w język i rysują szkliwo zębów. Sól wywołuje też pragnienie, może nie chce pić za dużo wody, ponieważ w trasie nie może pójść do kibla i ponieważ człowiek bardziej się poci, jeśli dużo pije. Mój dziadek opowiadał, że ludzie w obozie myli zęby solą odparowaną z wody. Brali ją do ust i rozcierali czubkiem języka na zębach. Ale tamta sól była drobna jak pył. Pierwszego rogalika kierowca zjadł, a potem napił się z butelki, miejmy nadzieję, że była to woda.

Przez skrzyżowanie przejeżdża otwarta ciężarówka z owcami. Stoją tak stłoczone na przyczepie, że nie mogą upaść, chociaż trzęsie. Nie ma głów, nie ma brzuchów, tylko czarna i biała wełna. Dopiero teraz, na zakręcie, zauważam między nimi głowę psa. A z przodu, obok kierowcy, mężczyznę w małym góralskim kapeluszu w kolorze świerków, takim, jakie noszą pasterze. Stado zmienia prawdopodobnie pastwisko, do rzeźni pies nie jest potrzebny.

Niektóre rzeczy dopiero w trakcie mówienia stają się straszne. Usiłuję zawsze w porę zamilknąć, a mimo to zazwyczaj bywa za późno, ponieważ przez chwilę chciałam być górą. Zawsze kiedy Paul i ja nie rozumiemy, co drugą stronę dręczy, rośnie nam nad głowami kłótnia. Rośnie szybko, a każde słowo prowokuje następne, które jeszcze głośniej zrzędzi. Myślę, że widzimy w pijaku to, co nas samych najbardziej męczy. Chociaż się kochamy, to nie jest to samo. Picie męczy Paula bardziej niż fakt, że jestem wzywana. W te dni pije najwięcej i właśnie wtedy nie mam prawa mu niczego wyrzucać, nawet jeżeli to, że jest pijany, bardziej mnie męczy niż...

Również mój pierwszy mąż miał tatuaż. Wrócił z wojska do domu i nosił na piersi różę przewleconą przez serce. Pod łodygą róży było moje imię. Mimo to opuściłam go.

— Czemu spaskudziłeś sobie skórę. Ta sercowa róża pasuje najwyżej na nagrobek.

— Ponieważ dni były długie, a ja myślałam o tobie — powiedział — i wszyscy to robili. Poza śmierdzącymi tchórzami, których też było kilku, jak wszędzie.

Nie chciałam odejść do innego jak on sądził, lecz od niego. A on chciał dostać kwit z wszystkimi powodami. Nie potrafiłam wymienić mu żadnego.

— Czy pomyliłaś się co do mnie — pytał. — Czy się zmieniłem.

Nie, zostaliśmy oboje tacy, jakimi byliśmy wtedy, kiedy się znaleźliśmy. Miłość nie przychodzi natychmiast, nasza próbowała przyjść przez dwa i pół roku. Spojrzał na mnie i kiedy nie wydobyłam z siebie żadnego słowa, powiedział:

— Jesteś jedną z tych, które same proszą się od czasu do czasu o baty, a ja nie byłem do tego zdolny.

Myślał tak naprawdę, ponieważ wiedział, że nigdy nie mógłby podnieść na mnie ręki. Ja też byłam o tym przekonana. Do tego dnia na moście nie potrafił nawet ze złości trzasnąć drzwiami.

Było już wpół do ósmej wieczorem. Poprosił mnie, żebym jeszcze poszła z nim, zanim zamkną sklepy, kupić walizkę. Chciał następnego dnia rano pojechać na dwa tygodnie w góry. Żebym się za nim stęskniła. Dwa tygodnie nic by nie dały, nawet nasze dwa i pół roku nie znaczyły wiele. Szliśmy, milcząc, przez miasto. On niośł nową walizkę. Sprzedawczyni nie opróżniła jej, była więc wypchana papierem, na rączce wisiała cena. Dzień wcześniej oberwała się nad miastem chmura. Wezbrana gliniasta woda rzeki szarpała łąki. Stał pośrodku mostu i wbił mi palce w ramię. Ugniatał moje ciało tak, że poczułam kości i przeszedł mnie dreszcz. Powiedział:

— Popatrz, ile wody. Jeżeli wrócę z gór, a ty mnie opuścisz, skoczę.

Walizka wisiała między nami, a za jego ramionami woda z gałęzmi i brudną pianą. Krzyknęłam:

— Skacz teraz, natychmiast, na moich oczach, to nie będziesz musiał najpierw jechać w góry.

Nabrałam powietrza i pochyliłam ku niemu głowę. Pomyślał, że chce go pocałować. To nie była moja wina. Rozchylił wargi, ale ja powtórzyłam:

— Skacz, na moją odpowiedzialność.

Potem oswobodziłam swoje ramię, żeby miał obie ręce wolne i mógł skoczyć, i byłam nieprzytomna ze strachu, że to zrobi. Dopiero wtedy odeszłam, nie odwracając się, małymi krokami, żeby on się nie musiał wstydzić i żebym ja była wystarczająco daleko od topielca. Doszłam prawie do końca mostu, kiedy usłyszałam za plecami jego sapanie, popchnął mnie na barierkę i przygniótł mi brzuch. Chwyił mnie za kark i przegiął tak daleko twarzą w stronę wody, jak pozwalała mu na to długość ramienia. Całym ciężarem zwisiałam przez barierkę, moje stopy oderwały się do ziemi, moje łydki wcisnął sobie między kolana. Zamknęłam oczy i czekałam, zanim spadnę, na ostatnie słowo. On się nie rozvodził, powiedział zwięźle:

— Tak.

Kto wie, dlaczego zamiast oswobodzić moje łydki, poluźnił uścisk na karku, pozwolił osunąć mi się na ziemię i cofnął się o krok. Otworzyłam oczy, powoli spływały mi z czoła z powrotem na twarz. Niebo wisiało czerwono-niebieskie i nieprzyczepione już porządnie na górze, a rzeka kręciła brązowe szpule z wody. Zaczęłam biec, zanim on zauważył, że jeszcze żyję. Nie chciałam się już nigdy zatrzymać, strach skakał mi pod podniebieniem, miałam czkawkę. Jakiś mężczyzna przepchnął koło mnie swój rower, zadzwonił i zawołał:

— Hej, lalunia, zamknij gębę, bo ci serce wystygnie.

Zataczając się, przystanąłam na miękkich nogach, z ciężkimi rękami. Płonęłam i marzłam, a wcale dużo nie przebiegłam, marny kawałek drogi, za to w środku przemierzyłam całą półkulę. Kark bolał jakby ściśnięty kleszczami, mężczyzna pchał swój rower w stronę parku, dwa żłobkowane ślady dętek czółgały się za nim po piasku, asfalt przede mną całkiem pusty. Park rozciągał się stromo pod górę czarno-zielony, ponieważ niebo chwytało drzewa. Most nie dawał mi spokoju, musiałam się obejrzeć. Walizka stała wciąż jeszcze w miejscu, z którego odeszłam. A tam, skąd uciekłam przed śmiercią, stał on twarzą do wody. Poprzez rytm mojej czkawki słyszałam, jak gwizdże. Nadzwyczaj melodyjnie, nie zacinając się, gwizdał piosenkę, której nauczył się ode mnie. Minęła mi czkawka, zamrożona między jednym a drugim strachem. Chwytałam się za szyję, poczułam w ręce, jak grdyka wyskakuje na wierzch i opada. To stało się tak szybko, tak niewiele trzeba, aby dopuścić się na kimś przemocy. A ten na moście gwizdał:

*Tak, drzewo ma liście,*

*a wodę herbata,*

*pieniądze papier,*

*a serce śnieg, co napadał w oczy.*

Dzisiaj myślę sobie: na szczęście złapał mnie za kark. Dzięki temu nie zostałam prowokatorką, a on prawie został mordercą. A wszystko dlatego, że nie potrafił mnie bić i pogardzał sobą za to.

Ojciec przysnął i trzymał dziecko tak lekko, że z łatwością mogło spaść. Naraz kopnęło go butami w brzuch. Mężczyzna wzdrygnął się przestraszony i podciągnął je wyżej na kolana. Sandałki dyndały, tak małeńkie, jakby rodzice założyli dziecku dzisiaj rano jedną z jego zabawek. Nowe podeszwy, które nie



zrobiły jeszcze ani jednego kroku po ulicy. Ojciec dał dziecku chusteczkę, żeby czymś się zajęło. Jest na niej węzeł, a w węźle musi być coś twardego, czym dziecko uderza w szybę. Może monety, klucze, gwoździe albo śruby, których ojciec nie chce zgubić. Motorniczy już usłyszał pukanie, ogląda się i krzyczy: Tylko tak dalej, taka szyba kosztuje. Bez obawy, mówi ojciec, przecież jej nie zbijemy. Stuka w szybę, pokazuje na ulicę i mówi: Popatrz, tam w środku jest dziecko, jeszcze mniejsze niż ty. Dziecko upuszcza chusteczkę i woła: Mamusia. Widzi kobietę z wózkiem. A ojciec mówi: Nasza mama nie nosi okularów słonecznych, bo nie widziałyby, jakie masz niebieskie oczy.

Kiedy Paul pyta mnie o mojego pierwszego męża, mówię:

— Wszystko zapomniałam, nic nie pamiętam.

Myślę, że mam więcej tajemnic przed Paulem niż on przede mną. Lilli powiedziała kiedyś, że tajemnice nie znikają, gdy się je opowie; to, co można opowiedzieć, stanowi tylko powłokę, nie sedno. Może jedynie przy niej, jeżeli niczego nie przemilczam, jestem blisko sedna.

— Nazywasz to powłoką — powiedziała — kiedy dochodzi do czegoś takiego jak na moście.

— Ale ty opowiadasz o tym tak, jak ci pasuje — powiedziała Lilli.

— Jak to: jak mi pasuje. To mi w ogóle nie pasuje.

— Ta historia jest na pewno przeciwko tobie, ale i przeciwko niemu — powiedziała Lilli — tobie jednak ona pasuje, bo możesz ją opowiadać, jak chcesz.

— Tak jak było, nie tak, jak chcę. Nie wierzysz mi, że opowiadam ci o rzeczach, które ty byś przede mną przemilczała, dlatego mówisz o powłoce.

— Chodzi przecież o to, że tajemnica z moim ojczymem zawsze pozostanie taka sama, nawet jeżeli codziennie będę o tym mówiła tak, jak chcę o tym mówić.

Nie zamierzam sobie łamać głowy nad pijakiem koło kontenerów na śmieci. Kto wie, co on sobie myśli, też widział mnie przecież całymi dniami w oknie. Ponieważ tak długo nie mogliśmy się dogadać w sprawie pijaka, odzwyczajiliśmy się, Paul i ja, od spekulowania na temat ludzi na dole. Czy chodzą po kwadracie, kole czy po linii prostej. Nie zna się ich, cóż można zobaczyć, idąc obok po ulicy. To, że mijając mnie, wyglądają, jakby mieli palce z tyłu, a pięty z przodu, nie ma nic wspólnego z ich stopami, tylko ze mną. Oczywiście i tak wciąż patrzemy przez okno. Nie ma co łamać sobie głowy nad samochodem stojącym bez celu przy zapleczu sklepów albo przed blokiem, do połowy na chodniku, gdzie żaden normalny człowiek nie może parkować. Mimo to aż zanadto nas to zajmuje.

Chętniej wyglądam przez okno w kuchni. Tutaj na dużym kawałku nieba latają jaskółki po swoim własnym kręgu. Dzisiaj rano latały nisko, a ja żułam mój orzech i widziałam po nich, że na zewnątrz jest dzień. Ponieważ jestem wezwana, będzie to tylko dzień okienny, nawet jeżeli obok stołu majora widzę pół drzewa. Na pewno urosło wszczep o długość ramienia, odkąd zaczęłam być wzywana. Zimą czas płynie w drewnie, latem w liściach. Liście kiwają albo potrząsają głową, w zależności od wiatru. Nie mogę przywiązywać do tego żadnej wagi. Kiedy Albu stawia mi krótkie pytanie, chce odpowiedzi natychmiast. Krótkie pytania nie są najprostsze.

— Potrzebuję czasu do namysłu.

— Żeby wysiedzieć kłamstwo — mówi Albu. — Na szybkie kłamstwo trzeba mieć tyle rozumu, ile ty niestety nie posiadasz.

No dobrze, w takim razie jestem głupia, ale nie aż tak, żeby powiedzieć coś, co byłoby złe dla mnie. Nie jestem na tyle głupia, żeby dać się ponaglać, kiedy Albu szacuje moją twarz na kłamstwo i prawdę. Czasem jego oczy są chłodne, czasem płoną na mnie tak, że...

Czasem tkwi we mnie Lilli i za długo spogląda w oczy Albu.

Szuram butami pod stołem, wtedy nie jest tak cicho.

*Tak, drzewo ma liście,*

*a wodę herbata,*

*pieniądze papier,*

*a serce śnieg, co napadał w oczy.*

Zimowa i letnia piosenka, ale trzeba ją śpiewać na zewnątrz. Tutaj, wewnątrz, z listowiem i śniegiem w głowie wpada się szybko w sidła. Nie wiem, co to za drzewo, gdybym знаła jego nazwę, śpiewałabym sobie w głowę jesion, akację, topolę, a nie drzewo. Kręcę guzikiem bluzki, która jeszcze rośnie. Od mojego małego stolika nigdy nie podejść tak blisko do gałęzi jak major. Oboje jednocześnie spoglądamy na drzewo, chciałabym zapytać: Co to za drzewo.

Tak dla odwrócenia uwagi. Na pewno by nie odpowiedział, tylko podsunąłby krzesło do przodu i — podczas gdy nogawki spodni suwałyby mu się po kostkach tam i z powrotem — kręcąc sygnetem albo bawiąc się ogryzkiem ołówka, sam by zadał pytanie: Po co chcesz to wiedzieć.

Co mogłabym wtedy powiedzieć. Przecież on nie wie również, dlaczego wkładam zawsze tę samą bluzkę, tak jak on sygnet. Nie wie też, dlaczego kręcę dużym guzikiem. A ja nie wiem, dlaczego na jego biurku zawsze leży pogryziony ołówek wielkości zapalniczki. Mężczyźni noszą sygnety, kobiety kolczyki. Obrączki czynią przesadnym, aż do śmierci nie zdejmują się ich z ręki. Kiedy mąż umiera, wdowa przejmuje jego obrączkę i nosi ją dzień i noc na środkowym palcu, obok swojej. Jak wszyscy żonaci ludzie, również i Albu nosi swoją cienką obrączkę na służbie. Tylko sygnet, jak mi się wydaje, nie pasuje do jego pracy, męczenia biżuterii i ludzi. Wcale nie jest brzydki; gdyby nie należał do niego, byłby ładny. Tak jak oczy, policzki, płatki uszu na jego głowie. Lilli z pewnością chętnie wyciągnęłyby ręce do pieszczoty, może któregoś dnia przedstawiłaby mi go jako swojego kochanka.

— Dobrze wygląda — musiałabym powiedzieć.

W przypadku Lilli nie uroda była najważniejsza. To, co widziały oczy, nie było winne temu, że wprawiało w osłupienie. Chciało się nagle chronić jej nos, wygięcie szyi, ucho, kolano, okryć wszystko dłonią, nieoczekiwanie zjawiała się troska, myśl o śmierci. Ale nigdy nie pomyślałam, że ta skóra może się kiedyś pomarszczyć. Jeśli chodzi o Lilli, między określeniami „młoda” i „martwa” nigdy nie przychodziło mi do głowy „starzenie się”. Na skórze Albu jest ono po prostu obecne, jakby niezależne od ciała. Jak stopień służbowy przyznany mu za dobrą pracę. Albu jest na zawsze zakonserwowany, to daje mu przewagę, śmierć go nie dotyczy. Ja chcę śmierci. Uroda Albu została skrojona na przesłuchania, jest człowiekiem bez skazy, jego zewnętrzność nie ma prawa niczym razić, nawet kiedy do mojej dłoni klei się

jego ślina. Być może właśnie ta różnica nie pozwala mu wspomnieć o Lilli. Pogryziony ołówek na stole nie pasuje do niego, nie pasuje do nikogo w jego wieku. Albu z pewnością nie musi oszczędzać na ołówkach. Może jest dumny, bo jego wnuczkowi wyrzynają się zęby. Zdjęcie wnuczka mogłoby zastąpić ogryzek na biurku, tylko że pewnie i tutaj, jak we wszystkich biurach, nie wolno wystawiać zdjęć rodzinnych. Może taki ogryzek pasuje do jego kanciastego charakteru pisma, a długi ołówek ocierałby mu się o sygnet. Albo też kikut ołówka ma pokazać mi, ile napisano o takich jak ja. Wiemy wszystko, mówi Albu. Być może, i tutaj zgadzam się z Lilli, że o powłokach martwych ludzi. Ale nic o ich tajemnicach, o Lilli, o której Albu nigdy nie wspomina. Nic o szczęściu i rozumie, które jutro zrobią coś, czego dzisiaj sama jeszcze nie potrafię przewidzieć. I nic o przypadku, który może przyjdzie pojutrze, w końcu ja żyję...

Nie ma w tym nic szczególnego, że Albu i ja razem spoglądamy na drzewo. Także na mój lub jego stół, kawałek ściany, drzwi albo na podłogę patrzymy równocześnie. Albo on na swój ołówek, a ja na moje palce. Albo on na swój sygnet, a ja na mój duży guzik. Albo on na moją twarz, a ja na ścianę. Albo ja na jego twarz, a on na drzwi. Ciągłe patrzeć sobie w twarz mężczy, przede wszystkim mnie. Ufam tutaj tylko przedmiotom, które się nie zmieniają. Ale drzewo rośnie, a bluzka ma swoje imię po nim. Moje szczęście zostawiam wprawdzie w domu, ale bluzka, która jeszcze rośnie, jest tutaj.

Kiedy nie jestem wezwana, chodzę na piechotę małymi uliczkami do miasta, aż na korso. Pod akacjami leżą białe kwiaty lub żółte liście. A kiedy akacje niczego nie upuszczają, spada tylko wiatr. Kiedy jeszcze chodziłam do fabryki, udawało mi się najwyżej dwa razy w roku przyjść w południe do miasta. Nie wiedziałam, że tak wiele ludzi nie jest o tej porze w pracy. W przeciwieństwie do mnie wszyscy, co się tutaj kręcą, biorą za to pieniądze; w pracy wymyślili pęknięcia rur, choroby, pogrzeby i przed spacerem wyłudziłam jeszcze współczucie przełożonych i kolegów. Ja jeden jedyny raz wymyśliłam śmierć dziadka, ponieważ chciałam o dziewiątej, kiedy otwierają sklepy, kupić sobie szare buty na obcasach. Późnym popołudniem poprzedniego dnia widziałam je na wystawie. Skłamałam, poszłam do miasta, kupiłam buty, ale kłamstwo stało się prawdą. Cztery dni później dziadek spadł martwy z krzesła podczas posiłku. Kiedy wczesnym rankiem przyszedł telegram, włożyłam moje trzydniowe szare buty pod kran, żeby namokły. Nałożyłam je, poszłam do biura i powiedziałam, że przez następne dwa dni nie przyjdę do pracy, ponieważ zalało mi kuchnię. Kiedy wymyślę jakieś złe kłamstwo, staje się ono prawdą. Pojechałam na pogrzeb. Na moich stopach schły buty, podczas gdy przejeżdżałam przez małe dworce. Wsiadłam dopiero na jedenastym. Wszystko było na opak, wniosłam pogrzeb z mojego kłamstwa do miasteczka, a potem stałam w zalanej kuchni na pogrzebie. Grudki ziemi uderzały o wieko trumny, tak jak szare buty o chodnik za trumną.

Wtedy potrafiłam jeszcze dobrze kłamać. Nikt mnie nigdy nie przyłapał. Jednakże tarapaty, z których zrodziło się kłamstwo, trzymały mnie za słowo. Od tamtej pory chętniej dają się przyłapać na kłamstwie niż przez tarapaty. Wyjątkiem jest Albu, przed nim kłamię dobrze.

Chodzę do miasta bez celu. Do fabryki jeździłam bez sensu. To wręcz nie do wiary, ale bezsens lepiej można ukryć w dniach. Kiedy tak jak wczoraj siadam w kawiarnianym ogródku i zamawiam lody, już w następnej chwili marzy mi się kawałek ciasta. Właściwie chciałabym tylko posiedzieć, a nawet nie posiedzieć, tylko przez chwilę nie iść. Podsuwam krzesło bliżej stolika, żeby było wygodniej. Kiedy ustawię krzesło, mam ochotę zerwać się na równe nogi i nie być już tu, ale nie chcę znowu chodzić. Z daleka stoliki na ulicy są celem, zachęcają do pozostania, rogi obrusów trzepocą. Dopiero gdy wygodnie usiądę, rozpościera się niecierpliwość. Kiedy usta nie mieszczą się już na twarzy, dostają lody. Stół jest okrągły, pucharek na lody i gałki lodów też. Potem pojawiają się osy, natarczywie pchają się do jedzenia, mają okrągłe głowy. Chociaż każdą monetę oglądam trzy razy, zanim ją wydaję, nie mogę zjeść tego, za co płacę.

Z bezsensu łatwiej sobie radziłam niż z bezcelowością, zamiast kłamstw w fabryce wynajduję teraz cele w mieście. Chodzę za kobietami w moim wieku. Godzinami sterczę w sklepach z ubraniami i przymierzam sukienki, które im się podobają. Wczoraj włożyłam pasiastą sukienkę specjalnie tyłem na przód, obciągnęłam ją, przyłożyłam dłonie do dekoltu niczym kołnierzyk, zwiesiłam palce jak kokardę. Sukienka zaczęła mi się podobać. Tego nie oczekiwałam, czułam jak się od siebie oddalam. Sukienka wyglądała tak, jakbym musiała się szybko z sobą pożegnać. Poczulałam gorycz w ustach, nie przyszło mi do głowy nic, co mogłabym sobie powiedzieć w tym krótkim czasie, jaki jeszcze mi pozostał. Nie mogłam dać za wygraną przed moim zniknięciem i powiedziałam:

— Dlaczego właśnie teraz, bez moich nóg nie zajdziesz przecież daleko.

Powiedziałam to głośno i poczerwieniałam na twarzy, nie chcę należeć do tych, którzy wyglądają dziwnie, ponieważ rozmawiają na głos sami ze sobą. Niektórzy śpiewają. Nie chcę, żeby ktoś obok mnie pokiwał głową, ponieważ myślę myślenie z mówieniem. Bycie słyszaną przez obcych kompromituje jeszcze bardziej niż bycie niezauważaną i potrącaną. Jakaś kobieta, nie ta, za którą tutaj przyszłam, rozsunęła zasłonę mojej kabiny. Chociaż musiała mnie słyszeć, położyła, nie namyślając się długo, torebkę na krzesło i spytała:

— Wolne.

— Nie widzi pani, przecież rozmawia pani ze mną, nie z powietrzem.

Z tego zdenerwowania straciłam z oczu kobietę, za którą szłam. Mierzę sukienki, aby stać się tak piękna, żeby być. W sukienkach, które inne kobiety chcą kupić dla siebie, nie mam właściwie czego szukać, a już najmniej samej siebie. Sukienki wymierzają mi karę, zawsze jestem brzydsza niż ta inna kobieta, jeśli zakładamy to samo. W fabryce wkładałam najpiękniejsze sukienki i chodziłam po pakowni jak perliczka, do drzwi i z powrotem. Kiedy szyto sukienki na Zachód, przed wysłaniem każdej partii byłam u Lilli na górze. Przymierzałam dwa, trzy modele jeden po drugim.

— Już wystarczy — mówiła Lilli.

Ponieważ było to surowo zabronione. Gdy chodziło o spódnice, spodnie i kurtki, nie tak surowo, jak w przypadku bluzek i sukienek. Przed międzynarodowym dniem pracy pierwszego maja i jeszcze raz w sierpniu, przed dniem wyzwolenia spod faszystowskiego jarzma, mogliśmy kupić ubrania w fabryce. Ludzie z biura kupowali najwięcej. Ubrania są tu bardziej eleganckie i nie droższe niż w sklepie, niestety pełne wad i tłustych plam z maszyn do szycia, inaczej byłyby za dobre na naszą skórę. Wielu kupowało sobie cały worek ciuchów. Lepiej wyglądać szykownie z fabrycznymi usterkami i tłustymi plamami, które nigdy nie zejną, niż jak szara mysz w kiepskich ubraniach ze sklepu. Ja nie mogłam znieść wad i plam, wiedziałam w dodatku, jakie ładne są te ubrania, których nie wolno nam kupować. W które pięknie ubierają się Włosi, Kanadyjczycy, Szwedzi, Francuzi o każdej porze roku na łatwe życie. Kroić, stebnować, apretować, prasować, pakować i wiedzieć przy tym, że nie jest się wartym gotowego produktu. Wielu z pewnością myślało sobie: Lepiej kilka felerów i czarnych plam po oleju niż nic.

Nie kupowałam tych ubrań z powodu usterek i plam, i ponieważ nie chciałam mieć w mojej szafie fabryki, w której spędzaliśmy cały dzień. Niedzielami spacerować w wybrakowanym towarze przez park, jeść lody w kawiarni. Pełne zazdrości spojrzenia na ubraniach. Kto je nosi, rzuca się w oczy, wszyscy wiedzą, gdzie pracuje, skąd je ma.

Kiedy jeździłam z Lilli po pracy na korso, zamiast spacerować, wchodziłam do sklepów, a ona czekała na

zewnątrz. Nie musiałam się śpieszyć, Lilli było nie na rękę, kiedy zbyt szybko wracałam. Stała plecami do wystawy i przyglądała się niebu, drzewom, asfaltowi, z pewnością też starym mężczyznom. Musiałam ją ciągnąć za rękę, jakbym to ja czekała na nią, a nie ona na mnie. Mówiłam:

— No, chodź.

— Śpieszy ci się — pytała. — Nie jesteśmy przypadkiem na spacerze.

— Możemy iść powoli, tylko chodźmy już stąd.

— Nie podobały ci się ubrania.

— A co tobie się tutaj podoba.

Mlaskała językiem:

— Miękki krok i lekko przygarbione plecy.

— No i.

— Co: no i.

— Ilu widziałaś — pytałam.

Jej brak zainteresowania sklepami nie miał nic wspólnego z fabryką. Wcześniej też nie interesowały jej ubrania. Mimo to mężczyźni oglądali się za nią. Gdybym była mężczyzną, też nie uszłaby mojej uwagi. Im gorzej Lilli była ubrana, tym bardziej jej uroda rzucała się w oczy. Ona miała dobrze, ja już jako dziecko byłam próżna. W wieku pięciu lat płakałam, kiedy nowy płaszcz był na mnie za duży. Mój dziadek mówił:

— Dorośniesz do niego; ubieraj się grubiej, to będzie pasował. Kiedyś ludzie mieli dwa, trzy płaszcze przez całe życie, i to tylko ci bogaci.

Wślizgiwałam się w płaszcz, ponieważ musiałam. I tuż za pierwszym rogim przy fabryce chleba zdejmowałam go. Dwie zimy nosiłam go częściej na ramieniu niż na plecach, wolałam być chora niż brzydka. A gdy spadł kolejny śnieg i płaszcz wreszcie pasował, nie chciałam go nosić, ponieważ był za stary i brzydki.

Gdybym jechała do mojej fryzjerki, musiałabym wysiąść teraz, między akademikami. Chętniej zrobiłabym sobie trwałą albo upięła włosy w kok podobny do gołąbka z kapusty, taki, jakie noszą stare sekretarki. Lepiej byłoby ogolić się na tyso i punkt dziesiąta samej siebie nie poznać, niż zapukać do drzwi Albu. Tracić rozum i wariować przy pocałunku w rękę. Plamka słońca nagrzewa policzek motorniczego, okno koło niego jest otwarte, nie czuć wiatru. Motorniczy ściera kryształki soli ze swojego pulpitu, drugiego rogała nie rusza. Dlaczego kupił trzy rogale, skoro najadł się już jednym. Zatrzymać tramwaj, buszować w sklepach, po powrocie popisywać się przed czekającymi wilczym apetytem, którego wcale nie ma... Dziecko zasnęło z chusteczką w ręce. Ojciec opiera głowę o szybę, jego włosy lśnią, chociaż są matowe i posklejane, od wielu dni niemyte. Słońce zapala w nich blask. Czy on nie czuje, że szyba jest jeszcze bardziej gorąca niż słońce na zewnątrz. Mnie słońce zostawi w spokoju do zakrętu. Może również wtedy zostanie po drugiej stronie, nie chcę przyjść do Albu przepecona. Nie wiem, czy przesiadłabym się, przy tak niewielu pasażerach wszyscy zaczęliby się na mnie gapić. Potrzebny jest powód. Ojciec mógłby w

każdej chwili usiąść w cieniu, małe dziecko jest powodem. Gdyby płakało, można się przesiąść, żeby zobaczyć, czy nie płacze z powodu słońca. W przepelnionym wagonie byłoby to niemożliwe. Wtedy każde wolne miejsce byłoby dobre, dziecko mogłoby się zanosić od płaczu, a nikt nie pomyślałby o słońcu, tylko wszyscy pytaliby, czy ten skretyniały ojciec nie ma smoczka dla tego rozwrzeszczanego zasańca.

Latem bawiłam się najchętniej z synem portiera z fabryki chleba na rozjeżdżonej drodze za aleją, tam było najwięcej pyłu. Chłopiec utykał od urodzenia, włókł się powoli za mną. Siadaliśmy w najgłębszej dziurze, on zginał prawą nogę, a lewą, cienką, wyciągał sztywno przed siebie. Był szczęśliwy, gdy siedział. Miał zręczne ręce, kręcone włosy i żółtawą twarz. Pograżaliśmy się w zabawie i układaliśmy z pyłu węże, które pęzły po sobie.

— Tak pęzają padalce w mące — mówił — dlatego w chlebie są dziury.

— Nie, dziury są od drożdży.

— Od węży, spytaj mojego tatę.

Przez pół dnia, do chwili kiedy jego ojciec wychodził z torbą z fabryki chleba do domu, coraz to nowe węże pęzły w dziurze. Ale kiedy raz pobrudziłam sobie sukienkę, poczułam się nieszczęśliwa i pobiegłam do domu. Zostawiłam chłopca samego z jego padalcami. Przez dwa tygodnie przy bramie fabryki siedział inny portier. Potem przyszedł znowu ojciec, ale nie przyprowadził z sobą syna. Operowano sztywną nogę i zbyt głęboko uspio no chłopca. Już się nie obudził. Poszłam sama na rozjeżdżoną drogę, gdzie drzewa alei nadal stały obok siebie i miałam do nich żal, jak gdyby obiecały mi, że chłopiec wprawdzie w domu umarł, ale przyjdzie się tutaj pobawić. Usiadłam w pyle i usypałam węża tak długiego i cienkiego jak jego wyciągnięta noga. Frędzle trawy na skraju drogi, lży kapały mi z brody na węża i układały się we wzór. Zabrano mi chłopca, może widział z nieba, że teraz chciałam się dalej bawić.

Kiedy przedpołudniami bląkam się po mieście, czuję, że zabrano mi Lilli. Dni, w które jestem wezwana, wydają mi się krótkie. Nawet jeżeli nie wiem, czego Albu chce ode mnie, na pewno ma wobec mnie jakieś plany. Potrzebny mi duży guzik i sprytne kłamstwa, nic więcej. Nie mam pojęcia, czego Albu chce ode mnie, ale jeszcze mniej wiem, co począć z sobą, kiedy wałęsam się tak bez celu.

Głupio zrobiłam, że dzisiaj przed ósmą przyglądałam się jaskółkom, skoro Albu czeka na mnie punkt dziesiąta. Nie chcę myśleć o jaskółkach. Nie chciałam myśleć o niczym, ponieważ poza tym, że jestem wezwana, jestem niczym. Czasami myślę, że jaskółki nie latają, tylko jeżdżą albo pływają. Ubiegłego lata Paul miał jeszcze swój czerwony motor, czeską jawę. Raz albo dwa razy w tygodniu jeździliśmy za miasto nad rzekę. Droga przez pola fasoli, to było szczęście. Moja głowa stawała się tym lżejsza, im więcej było nieba nad drogą. Po lewej i po prawej przemykało kłębowisko czerwonych kwiatów, wzdrygały się, kiedy koło nich przejeżdżaliśmy. Nie było widać, że każdy kwiat ma dwoje okrągłych uszu i rozchylone wargi, ale ja i tak o tym wiedziałam. To były fasole szalejki, bez końca, ani śladu szeregów jak na polach kukurydzy. Nawet jeśli wszystkie łodygi już zeschły, a liście kruszą się na wietrze, pole kukurydzy późnym latem wygląda wciąż jeszcze jak świeżo uczesane. Na polach kukurydzy moja głowa nigdy nie staje się lekka, nawet jeżeli niebo leci. Tylko na polach fasoli mogłam tak zgłupieć ze szczęścia, że od czasu do czasu musiałam zamykać oczy. A kiedy je znowu otwierałam, wiele już przegapiłam, jaskółki dawno leciały innym torem.

Trzymałam się mocno Paula, gwizdałam piosenkę o liściach i śniegu, i słyszałam tylko motor, nie siebie. Zazwyczaj nie gwizdę, ponieważ tego trzeba się nauczyć w dzieciństwie, a ja jako dziecko nigdy nie gwizdałam. W ogóle nie umiem gwizdać. I odkąd mój pierwszy mąż zagwizdał na moście, kulę się, kiedy

ktoś gwizdże. Ale na polach fasoli gwizdałam. To było szczęście, ponieważ wszystko, co umiem, udaje mi się jedynie w połowie tak dobrze jak gwizdanie na polach fasoli. W fasolach szalejkach byłam tak głupia jak szczęście. Nad rzeką szczęście nie udawało mi się nigdy, gładka woda uspokajała mnie, nawet jeżeli przychodził mi na myśl most. Wykluczone, żeby ze spokoju można było zrobić szczęście. Kiedy dotarliśmy do brzegu, ja byłam zakłopotana, a Paul niecierpliwy. On się cieszył na rzekę, ja na powrotną drogę przez fasolę. On wszedł po kostki do wody i pokazał mi czarną ważkę. Jej brzuch wisiał między skrzydłami jak szklana śruba. Ja pokazałam jeżyny na brzegu koło mnie, błyszczwały w czarnych wiązkach. A na drugim brzegu czarne szpaki siadały na białych, czterokątnych balach słomy na ściernisku. Ich nie pokazałam Paulowi, bo myślałam o plamach jaskółek na niebie i nie rozumiałam, jak w tym zatopionym w żółci letnim dniu rozdziela się czerń. Zaśmiałam się zmieszana, podniosłam z trawy kawałek kory i rzuciłam ją Paulowi pod nogi. Potem powiedziałam:

— Posłuchaj, jaskółki wcale nie potrafią tak szybko latać, jak się wydaje, one oszukują.

Paul złapał korę palcami nóg i zatopił ją w wodzie. Kiedy cofnął nogę, kora wypłynęła od razu na wierzch, błyszcząca i czarna. Powiedział:

— Aha.

Na krótko podniósł oczy, wystarczyło, żeby zobaczyć w nich ciemne cętki. Po co pytać, co za czarny owoc siedzi w jego oczach, skoro nawet jaskółki nie są dla niego warte rozmowy, a jego myśli wędrują całkiem gdzie indziej niż palce jego nóg. Wiatr wisiał w jesionach, ja wsłuchiwałam się w liście, Paul, być może, w wodę. Nie chciałam ze mną rozmawiać.

Następnego dnia w fabryce wypróbowałam „aha” na Nelu, kiedy podszedł do mojego biurka z listą wetkniętą między kciuk a filizankę kawy. Mówił o rozmiarach guzików do damskich płaszczy, które w tym miesiącu szyliśmy do Francji. Koniuszki wąsów poruszały się przy ustach jak skrzydła jaskółek. Pozwoliłam mu powiedzieć kilka zdań prosto w moją twarz. Kiedy doszedł do planu tygodnia, liczyłam na jego brodzie włosy, które przeoczył przy goleniu. Podniosłam wzrok i poszukałam jego oczu. Kiedy nasze źrenice się spotkały, powiedziałam szybko:

— Aha.

Nelu zamilkł i poszedł do swojego biurka. Również inne słowa wypróbowałam, na przykład „yhy” i „hm”. Ale „aha” było nie do przebiccia.

Kiedy przyłapali mnie z kartkami, zaprzeczał, że mnie zadenuncjował. Zaprzeczyć może każdy. Rozstałam się z moim pierwszym mężem, kiedy były pakowane białe lniane garnitury do Włoch. Po naszej dziesięciodniowej podróży służbowej Nelu chciał nadal chodzić ze mną do łóżka. Ja jednak postanowiłam wzenieć się w Zachód i do dziesięciu tylnych kieszeni spodni wetknęłam małą karteczkę: Ti aspetto, moje imię i adres. Miał to być pierwszy lepszy Włoch, jaki by się zgłosił.

Na zebraniu, w którym nie wolno mi było uczestniczyć, moje kartki osądzone zostały jako prostytutka w miejscu pracy. Lilli opowiedziała mi, że Nelu obstawał przy zdradzie kraju, ale nie potrafił nikogo do tego przekonać. Ponieważ nie należałam do partii, a to było moje pierwsze wykroczenie, postanowiono dać mi szansę poprawy. Nie zostałam zwolniona, dla Nelu była to porażka. Funkcjonariusz odpowiedzialny za pracę ideologiczną przyniósł mi do biura dwa pisemne upomnienia. Oryginał musiałam podpisać na znak, że przyjąłam wyrok do wiadomości, kopia została na moim biurku.

— Do oprawy — powiedziałam.

Nelu nie spodobał się dowcip. Siedział na swoim krześle, temperował ołówek.

— Czego ty się spodziewasz po Włochach. Przyjadą cię przelecieć, подарują rajstopy i dezodorant i wrócą do domu do swoich fontann. Za obciążenie dostaniesz dodatkowo perfumy.

Widziałam, jak z jego temperówki spadają karbowane falbanki z drewna i czarna mąka, i wstałam. Wyciągnęłam rękę z upomnieniem nad jego głową i upuściłam je. Kartka żeglowała w powietrzu i upadła bezgłośnie na stół pod jego brodą. Nelu odwrócił głowę w moją stronę i próbował się uśmiechnąć, błady jak dżdżownica. Niechcący potracił łokciem świeżo zatemperowany ołówek. Ten stoczył się ze stołu, a my przyglądaliśmy się mu, usłyszeliśmy, jak stuknął o ziemię. Nelu pochylił się, żebym nie widziała, jak chodzą mu szczęki. Czubek ołówka odłamał się. Doszły do mnie słowa:

— Upadł na podłogę, nie na sufit.

— Też się dziwię — odparłam — u takiego jak ty wszystko jest możliwe.

Po trzech dniach przesłuchań znowu byłam w fabryce. Nelu nie pisał ani słowa na ten temat. Był zdolny do gorszych rzeczy, niż sądziłam. Na trzech kartkach, które znaleziono później w spodniach do Szwecji, było napisane: Pozdrowienia z dyktatury. Kartki były dokładnie takie same jak moje, ale to nie ja je napisałam. Zostałam zwolniona.

Nawet kiedy było dużo śniegu, jeździliśmy jawą do pracy. Paul jeździł motorem od jedenastu lat i nigdy nie miał wypadku, chociaż pił. Znał ulice jak własną kieszeń, do naszych fabryk trafiały z zamkniętymi oczyma. Byłam opatulona, światła latarni i okien migotały, mróz szczypał w twarz, wargi jak zamrożona skórka od chleba, policzki gładko zimne jak porcelana. Niebo i ulica zasypane śniegiem, wjeżdżaliśmy w wielką śnieżną kulę. Przywierałam do pleców Paula, przyciskałam brodę do jego ramion, żeby ta śnieżna kula mogła mi przelecieć przez oczy. Jak pędzi się z szeroko otwartymi oczami, ulice są najdłuższe, drzewa najwyższe, niebo najbliżej. Mogłam tak jechać bez końca, nie miałam odwagi mrugnąć. Uszy paliły, palce u rąk i u nóg też. Mróz prasował mi twarz, tylko oczy i usta pozostawały zimne. Szczęście nie miało czasu, musieliśmy dotrzeć do celu, zanim zamarzniemy, i codziennie byliśmy punktualnie o wpół do siódmej przed bramą fabryki konfekcyjnej. Paul zatrzymywał się, żebym zsiadła. Unosiłam czerwonosinym palcem czapkę Paula, całowałam go jak pieska z porcelany w czoło i naciągałam mu ją znowu na brwi, zanim pojechał dalej na skraj miasta do swojej fabryki motorów. Kiedy na brwiach osiadał szron, myślałam: Jesteśmy teraz starzy.

Po pierwszych karteczkach całkowicie wybiłam sobie Włochy z głowy. Za pomocą ubrań na eksport nie można było zdobyć żadnego Marcella, potrzebne były stosunki, kurierzy i pośrednicy, nie tylne kieszenie spodni. Zamiast Włocha dostałam majora. Głupota krzyczała na mnie z mojego wnętrza, wyrzuty stawiane samej sobie paliły jak policzki, byłam wypchana sianem. Miałam siebie dosyć, tylko dlatego mogłam codziennie siedzieć w biurze z Nelu, gapić się na rubryki i wypełniać je, aż pojawiły się następne kartki. Jeszcze siebie lubiłam, mogłam więc z przyjemnością jeździć tramwajem, obciąć sobie włosy na krótko, kupować nowe ubrania. I współczułam sobie, to mi pomagało zjawiać się u Albu punktualnie co do minuty. Obojętniałam też dla siebie, wydawało mi się, że zasłużyłam na przesłuchania, że moja głupota powinna zostać ukarana. Ale nie z tych powodów, jakie przytaczał Albu.

— Swoim zachowaniem sprawiasz, że wszystkie kobiety naszego kraju będą uchodzić za granicą za kurwy.



— Dlaczego, kartki nie dotarły przecież do Włoch.

— Dzięki zapobiegliwości twoich kolegów — odparł.

— Dlaczego za kurwy. Chciałam tylko Włocha, i chciałam go poślubić, kurwy chcą pieniędzy, nie ślubu.

— Fundamentem małżeństwa jest miłość, i tylko miłość, wiesz w ogóle, co to znaczy. Ty chciałaś się sprzedać Marcellom jak ostatni śmieć.

— Dlaczego śmieć. Kochałabym go.

Miałam to za sobą, wyszłam na ulicę. Letnia jasność na zewnątrz i wszystko hałasowało po swojemu. We mnie szeleściło siano. Prawdopodobnie nie kochałabym tego Włocha, ale on zabrałby mnie ze sobą do Włoch. Spróbowałabym go pokochać. Jeśli by się nie udało, napatoczyłby się inny, Włochów jest tam do woli. Jeżeli dobrze poszukać, zawsze się ktoś znajdzie, a potem kocha się go. Zamiast tego wzywał mnie Albu, tak często, jak chciał. A w pracy Nelu patrzył mi na ręce. Wybiłam sobie z głowy wszystkich mężczyzn. I właśnie wtedy, kiedy byłam już w obronnej gotowości, przylgnęłam do Paula. Myślę, że u mnie obrona jest bliższa pożądaniu niż poszukiwanie. Dlatego właśnie uczepiłam się go. Nie każdy mógł mi wtedy pokazać, jak obrona wciąga w pożądanie, lecz nie musiał to być Paul. Znużona, ale bez wytchnienia, tak snułam się po świecie, i miałam tego najwyraźniej dosyć, ponieważ którejś niedzieli poznałam Paula, a w poniedziałek z nim zostałam. A we wtorek wprowadziłam się z całym moim kramem do przesuniętego bloku w kształcie wieży.

Z każdym dniem miałam większe trudności z chodzeniem do biura. Przed bramą fabryczną Paul mocno trzymał jawę obiema rękami, czekał z uśmiechem przyzwyczajenia na mój pocałunek w czoło i mówił:

— Musisz udawać, że Nelu nie ma.

Tak, łatwo powiedzieć. Ale jak to zrobić, jak można osiem godzin zachowywać się tak, jakby to tylko dwa koniuszki wąsów wisiały w powietrzu za biurkiem.

— W Nelu tkwi tyle brudu — mówiłam — trudno go przejrzeć.

A motor warczał, śnieg albo kurz wzbijał się wokół kół. Przez pół ulicy chciałam przyciągnąć Paula wzrokiem z powrotem do bramy, każdego ranka chciałam powiedzieć jeszcze coś, co można zabrać pomiędzy maszyny na cały dzień. Jednakże zawsze mówiliśmy sobie to samo. On: Musisz udawać, że Nelu nie ma. Ja: Myślę o tobie. Nie denerwuj się, jeśli ukradną ci ubrania.

Szybki odjazd, koci grzbiet jego kurtki, kiedy wiatr nadmuchiwał ją na rogu ulicy. Każdego ranka wbrew sobie wchodziłam do fabryki. Na widok Nelu od razu traciłam rozum. Rano się nie witaliśmy. Mimo to godzinę, dwie godziny później Nelu uważał, że trzeba o czymś porozmawiać, jeżeli siedzi się osiem godzin razem. Ja nie musiałabym, to on nie wytrzymywał milczenia. Mówił o planie, ja odpowiadałam „aha”. „Hm”, „yhy” i „aha”.

Kiedy to nie skutkowało, stawałam się rozmowniejsza. Podnosiłam mały wazon z jego stołu, wpatrywałam się przez grube dno w czerwono-zieloną łądę róży w wodzie i mówiłam:

— Człowieku, daj spokój z planem, przecież nie wolno go wykonać. Kiedy raz okaże się, że można go zrealizować, już następnego dnia zostanie zwiększony. Twój plan to choroba państwowa.

Nelu skubał wąsy i pocierał wyrwany włos między palcami. Włos był poskręcany. Nelu powiedział:

— Podoba ci się, co.

— Jeżeli codziennie będziesz sobie wrywał jeden włos, będziesz miał wkrótce twarz jak ogórek — powiedziałam.

— Spokojnie, przecież widać po tobie, że myślisz o włosie łonowym.

— Ale nie o twoim — odpowiedziałam.

— Wiesz, dlaczego Włosi noszą zawsze przy sobie grzebień. Ponieważ nie mogą znaleźć chuja we włosach łonowych, kiedy muszą się odlać.

— Ty też przecież nosisz przy sobie grzebień, ale nadaremnie. Nie ma w tobie materiału na Włocha.

— Ja ten materiał widziałem, w przeciwieństwie do ciebie byłem już we Włoszech.

— Aha. Tam też szpiegowałeś — spytałam.

Tak, myślałam o włosach łonowych, zmuszał mnie do myślenia o jego włosach, kiedy mówił o planie. Na domiar wszystkiego Nelu położył ten włos na moim biurku, dokładnie pośrodku, gdzie było nacięcie w drewnie, nie przeze mnie zrobione. Zmierzył prawdopodobnie stół i znalazł największą odległość od brzegu. Nie chciałam dotykać poskręcane go włosów, nie od razu miałam linijkę pod ręką, żeby zepchnąć go szybko ze stołu. Tak więc znowu zrobiłam to, co lubił najbardziej: zdmuchnęłam włos. Mógł się pośmiać, bo ściągnęłam wargi w dzióbek. Dopiero po trzecim, czwartym dmuchnięciu włos spadł ze stołu. Przez niego stawałam się obsceniczna.

— Kiedyś sprzątaczką przyjdzie po zamknięciu biura i zetrze ścierką plamy krwi zamiast kurzu — powiedziałam do Lilli. — Niewiele już brakuje, kiedyś wyjdę z siebie i zatłukę to ścierwo na śmierć.

Lilli zamachała rękami:

— Nie waż się. Połóż mu lepiej nóż na stole i powiedz, że pięknie wyglądałby na jego szyi, to nie boli. I odejść kawałek, tak jak na moście, żeby się nie krępował. On chce cię doprowadzić do wściekłości, a ty pozwalasz mu ją wzniecać, wręcz czekasz na to. Jeżeli potrafisz trzymać się w ryzach, nie zapomnisz się. Można się tego nauczyć.

Tarninowy wzrok Lilli wciskał się w moje oczy i nie ustępował. A niżej była jej gładka szyja. Wiedziała z doświadczenia na moście, jak szybko można wyjść z siebie i wysłać kogoś na śmierć, jeśli ten ktoś jest zbyt wielkim ciężarem. I że z Nelu może się to powtórzyć.

Kiedy Lilli machała rękami, czerwień napłynęła jej na policzki. Jej nos się zmarszczył, pozostał chłodny i biały. Nawet gdy nienawidziłam całej Lilli, kiedy tak stała przede mną, nie mogłam oprzeć się myśli: Ten nos jest piękny jak kwiat tytoniu.

Dla Lilli pozostałam prowokatorką, przestraszyłam ją, wykorzystała most przeciwko mnie. Nigdy nie chciałam się dowiedzieć, jak bardzo Lilli w nienawiści była podobna do swojej matki. Podczas pogrzebu słychać było odgłos ziemi spadającej na trumnę. Lilli została przykryta, a matka wyjechała na mnie z

pyskiem, ustami do złudzenia podobnymi do ust Lilli.

Tak, trzeba trzymać się w ryzach, myślała Lilli, można się tego nauczyć. Widziała lepiej ode mnie, jak przebiegają nici w mojej partackiej robótce. A ja sądziłam, że prędzej niż ona mogę się zorientować w jej chaosie. Czasami powinnyśmy zamieniać się na krótko rolami. Zamiast tego zamieniła się z matką. Można nie wyjść z siebie i przejść przez granicę, myślała. Trzymać się w ryzach, kule podczas ucieczki trafiają tylko w strachliwą skórę. Chciała się tego nauczyć. Wtedy, kiedy zaleciła mi, żebym się opanowywała w obecności Nelu, zaczęła właśnie sypiać z sześćdziesięciosześcioletnim oficerem. Kilka tygodni później przyszło im do głowy, żeby uciec przez węgierską granicę. Jego aresztowali, ją zastrzelili. Na nic zdał się jej szaleńczy spryt.

Raz Lilli zabrała mnie ze sobą do letniego ogródka kasyna wojskowego i przedstawiła mi swojego oficera. Był po cywilnemu, w koszuli z krótkim rękawem w delikatne prążki, szare letnie spodnie sięgały mu pod pachy, nie miał żeber ani bioder. Głębokim cichym głosem powiedział: Zaszczyt po mojej stronie, panienko.

Pocałował mnie w rękę. Był to perfekcyjnie wyćwiczony pocałunek ze starych, królewskich czasów, suchy i miękki, pośrodku dłoni. Wokół przy stolikach siedzieli młodzi mężczyźni w mundurach. Oczywiście Lilli rzucała się tutaj w oczy, mundurowi byli łąsi na piękne kobiety, celowali w Lilli główkami od zapalek. Czuli, że stary upatrzył sobie ją, nie mnie.

Dawno już nie było wojny. Wykształcenie wojskowe rozwadniała gnuśność. Należało ją powstrzymać dzięki precyzyjnej strategii, która każdego z osobna czyniła junakiem: zdobywaniu pięknych kobiet. Stopień urody można było wyczytać z twarzy, z linii tyłka, złączonych łydek, piersi. Piersi nazywane były jabłkami, gruszkami lub spadami, w zależności od położenia sutków. Zdobywanie kobiet zastępuje manewry, mówiono żołnierzom. Wszystko między szyją a udami musi się zgadzać. Nogi są rozchylone, z twarzy wnioskuje się, czy jest się na dobrej drodze, oboje oczu. Nogi i twarz to jeszcze nie wszystko, piersi są ważne. Jabłka się opłacają, gruszki ujdą. Spad nie wchodzi w grę. Podboje, mawiano, naoliwiają zawiasy ciała i wewnętrzną równowagę. Poprawiają również harmonię w małżeństwie. Stary oficer oświecił Lilli w kwestii zwalczania gnuśności w czasach pokoju. On również brał udział w manewrach, póki żyła żona, opowiedział Lilli. Ona miała pięćdziesiąt lat, on był sześć lat starszy. Nie było już nikogo, przed kim musiałby ukrywać, że słodkawe zmęczenie jego satysfakcjonującej pracy bierze się z obcych łóżek, a nie z koszar. Po jej śmierci codziennie chodził na cmentarz, uganianie się za kobietami straciło smak.

— Wszystkie kobiety, które znałem, zaczęły nagle mówić świergocącymi głosikami i pachnieć jak kwaśne winogrona — opowiadał — szczególnie te całkiem młode.

Po asfalcie między koszarami a kasynem dreptało życie w szpilkach wyszczuplających łydki. Na prześcieradle były bose, śluzowate i jęczące. Dowolna sekunda była dobra, żeby umrzeć, bał się, że zrobią to pod nim.

Każdy mundurowy z osobna był w letnim ogródku fuszerem, nawet wobec gruszek i spadu. A Lilli miała małe twarde letnie jabłka. Z każdym z nich uporałaby się po pierwszym zdaniu. Przeczuwali to, dlatego ćwiczyli zdobycie Lilli wszyscy razem, całym regimentem. Ich zdaniem oficer Lilli nie potrzebował już oliwić zawiasów, minęły dla niego czasy precyzyjnej roboty, należało go zmienić. Napierali, by zszedł z pięknego ciała Lilli. Na palcach rzucających główki od zapalek połyskiwały w słońcu obrączki, a w oczach za palcami połyskiwały spojrzenia jak mokre kule. Stary postawił popielniczkę koło swojej ręki i powiedział:

— To chorzy, powinniśmy byli pójść gdzie indziej.

Zbierał główki od zapalek ze stołu i wrzucał je do popielniczki. Jego dłonie były białe i drobne jak u aptekarza. Ani on, ani Lilli nie denerwowali się, nie udawali spokoju, mieli cierpliwość. Niczego nie rozumiałam, tak dużo cierpliwości można mieć tylko wtedy, kiedy wiadomo, że nie na długo będzie już potrzebna. Jego twarz była jeszcze gładka, ale skronie pulsowały w cieniu parasola jak poplamiony papier. Nie mogę zapomnieć, jak Lilli patrzyła na niego i z niczego się nie wycofywała. Nie znałam jej takiej. Jej spojrzenia i jego, jak tarnina wpadająca do cichej wody. Kiedy siedział i sięgał po dłoń Lilli, brzuch ciągnął go do przodu. Myślałam, że nareszcie się rozniewa, ponieważ jeszcze dwie zapalki spadły na stolik. Wolną ręką zebrał jeszcze i te, i był tak pewny ręki Lilli, że naraz zaczął dla niej cicho śpiewać:

*Kiedy koń przybywa na dziedziniec obozu,*

*ma okno w głowie,*

*czy widzisz, jak niebieścieje wieża strażnicza...*

Wystarczyło mi, że śpiewał takim głębokim głosem, ale w siebie zajrzeć nie pozwalał. Lecz to, że znał tę właśnie piosenkę, boleśnie mnie dotknęło. Mój dziadek też ją śpiewał, a znał ją z obozu. Lilli i ja byliśmy za młode, on liczył na to. Oj, jak by mu te słowa stanęły w gardle, gdybym zaczęła śpiewać z nim. Ja jednak milczałam i w piosence przy stole zabrzmiało zakłopotanie tylko dlatego, że siedziałam między nim a Lilli i też słuchałam. Widziałam przetarte miejsca przy drutach słonecznego parasola. Siedzieliśmy pod kołem, a ja przeskadzałam tajemnicy. Lilli nie była oficerską rozrywką, on ją kochał. I kiedy przerwał piosenkę, zostawiłam Lilli z nim w kasynie i popędziłam oszołomiona przez miasto. Już wtedy musieli myśleć o ucieczce. Miał dwóch dorosłych synów w Kanadzie, tam właśnie chciał pojechać z Lilli.

Słońce kłuło, na lipach trzepotały zielone i żółte liście, na ziemię spadały tylko żółte. Chciałam czy nie, zieleń celowała w Lilli, a żółć w niego.

Ten mężczyzna jest za stary dla Lilli.

Potrącałam przechodniów, spostrzegałam ich za późno. Tego popołudnia byłam tak samotna, jakbym spadała w przepaść, i czułam się tak aż do następnego ranka w fabryce, kiedy Lilli zawołała mnie, żeby porozmawiać o oficerze.

Od zdarzenia z kartkami nie wolno mi było wchodzić na górę do pakowni. Lilli czekała w korytarzu, aż weszłam na schody. Poszłyśmy na tyły, ona usiadła w kącie na piętach, ja oparłam się ramionami o ścianę i powiedziałam:

— Na twarzy jest młody, ale w brzuchu ma już okrągłe jak kula wieczorne słońce.

Lilli wysoko podniosła głowę, oparła czubki palców na podłodze, a oczy jej się rozszerzyły. Uraziłam ją. Na szyi nabrzmiała żyła, usta zrobiły się twarde do krzyku. Pociągnęła mnie za rękę do siebie do dołu, aż i ja usiadłam przed nią w przysiadzie i przytrzymałam się jej biodra. Mężczyzna z ramieniem pełnym wieszaków człapał właśnie obok nas i udawał, że nas nie widzi, Lilli powiedziała szeptem:

— Kiedy leży, wieczorne słońce jest płaskie jak poduszka.

Popatrzyłam na stopy Lilli. Jeżeli drugi palec jest dłuższy niż paluch, nazywany jest palcem wdowim. U

Lilli tak było. Powiedziała:

— Nazywa mnie czereśnią.

To nie pasowało do jej niebieskich oczu. Kiedy mężczyzna oddalił się od nas z wieszakami i zamknął za sobą drzwi pakowni, Lilli dokończyła:

— Czereśnia łapie wiatr z gałęzi... Czy to nie piękne, że ty masz tak ciemne oczy, a ja nazywam się czereśnia.

Na korytarz wpadł promień słońca, a na suficie świeciły neonowe rury. Kiedy tak siedzieliśmy, byliśmy dwójką zmęczonych dzieci.

— Czy on był w obozie — spytałam.

Lilli nie wiedziała.

— Spytasz go.

Lilli skinęła głową.

Dziwne, z fabrycznego dziedzińca nie dochodził żaden dźwięk, a na korytarzu panowała w tej chwili taka cisza, że słychać było brzęczenie neonówek.

Dzisiaj myślę, że stary oficer szukał Lilli, ponieważ zanim ją jeszcze poznał, zawarł umowę z jej śmiercią. Gdy zobaczył Lilli po raz pierwszy, zatrzymał się jak stoper: to właśnie ta. Emeryta ciągnęło nadal do kasyna, do mundurów. Jego mundur, niby już schowany, był przyrośnięty do skóry. W pożądaniu pozostał żołnierzem. Chciał iść z Lilli tam, gdzie niezależnie od letniej koszuli w delikatne prążki wciąż jeszcze widziano go w mundurze, tak jak kiedyś. Pokazać w wojskowym ogródku swoją zdobycz, a sam na sam z Lilli wzbic się na wyżyny późnej miłosnej żądzy, która przewyższała jej urodę. Ktoś taki jak on wiedział wystarczająco dużo o żołnierzach, psach i kulach na granicy. Jego strach, że śmierć tak samo pożąda Lilli jak on, zaowocował wiarą, że Lilli zastraszy śmierć, również dla niego. Widział za dużo i stał się ślepy, zaryzykował życiem Lilli, która znaczyła dla niego więcej, niż może znieść rozum.

Każdy, kto posuwa się w latach, myśli o latach wcześniejszych. Ten smarkacz, który zastrzelił Lilli, przypominał starego z jego własnych wspomnień. Pogranicznik był młodym chłopem albo robotnikiem. Albo też kilka miesięcy później został studentem, a potem nauczycielem, lekarzem, księdzem, inżynierem. Jego sprawa, kim został. Kiedy strzelił, był nieszczęśnikiem patrolującym pod gołym niebem, podczas gdy wiatr dzień i noc wygwizdywał samotność. Żywe ciało Lilli sprawiało, że drżał na ziemi, a martwe było podarunkiem nieba, szansą na dziesięć dni urlopu. Może pisał nieszczęśliwe listy jak mój pierwszy mąż. Może czekała na niego dziewczyna taka jak ja, która wprawdzie nie mogła równać się ze zmarłą, ale w objęciach miłości potrafiła się śmiać i pieścić, aż zaczynał czuć się jak człowiek. W tej sekundzie pociągnął za spust, być może w imię swego szczęścia, i huknęło. Z daleka słychać było szczekanie, a potem krzyki. Oficera Lilli związano, zaprowadzono do szopy z blachy, gdzie strzegł go żądny szczęścia żołnierz. Lilli leżała tam, gdzie upadła. Szopa nie miała przedniej ściany. Na podłodze stała cysterna z wodą, pod ścianą ławka, w rogu nosze. Strażnik pił dużo wody, umył twarz, wyciągnął koszulę ze spodni, wytarł się i usiadł. Spletanemu nie wolno było usiąść, ale nikt mu nie zabronił patrzeć na trawę, gdzie leżała Lilli. Nadbiegło pięć psów, trawa sięgała im do szyi, ich nogi przefruwały nad nią. Daleko za nimi pędziła chmara zmordowanych żołnierzy. Zanim dotarli do Lilli, nie tylko jej sukienka była podarta na strzępy. Psy

wyżerały wnętrzości z jej ciała. Pod ich pyskami leżała czerwona jak grządka maku polnego. Żołnierze odpędzili psy i ustawili się w kręgu. Potem dwóch przyszło do komórki, napiło się wody i zabrało ze sobą nosze.

Opowiedział mi to ojczym Lilli. Jak cała grządka maku polnego, powiedział, ja w tej chwili myślałam o czereśniach.

Dziecko zasnęło na słońcu. Ojciec zabiera mu chusteczkę, palce się poddają, sen trwa, mimo że ojciec wygina rękę do tyłu i wsadza chusteczkę do kurtki. Chociaż szeroko rozstawia nogi, przekręca dziecko plecami do przodu, wstaje i opiera otwarte usta dziecka o swoje ramię. Zaraz będzie przystanek przed pocztą główną. Niesie dziecko do drzwi. Tramwaj stoi, bez szumu silnika wagon jest jeszcze bardziej pusty. Motorniczy sięga po drugiego rogała, potem waha się i pije z butelki. Dlaczego pije przed jedzeniem. Przed pocztą stoi duża niebieska skrzynka pocztowa — ile listów tam się mieści. Gdybym to ja miała ją zapłacić, nigdy nie trzeba byłoby jej opróżniać. Od czasu kartek do Włoch nie pisałam już do nikogo. Czasami komuś coś opowiadałam, mówić trzeba, pisać nie. Motorniczy je drugiego rogała; sądząc po okrucach, jest już suchy. Na zewnątrz ojciec ze śpiącym dzieckiem przechodzi przez ulicę w miejscu, gdzie nie ma pasów. Jeżeli nadjedzie samochód, nie zdąży. Jak on chce biec z dzieckiem, które do tego jeszcze śpi. Może upewnił się przed przejściem, że nic nie jedzie. Ale w prawo musi patrzeć ponad głowę dziecka, mógł się pomylić. Jeżeli zdarzy się nieszczęście, to on będzie winny. Powiedział przecież dziecku, zanim zasnęło: Mamusia nie nosi okularów słonecznych, bo nie widziałaby, jakie masz niebieskie oczy. Idzie na pocztę. Niesie dziecko jak paczkę; jeżeli się nie obudzi, wyśle je. Przez otwarte drzwi stara kobieta pyta: Czy ta linia jedzie na rynek. Przeczytaj, co jest napisane na górze, mówi motorniczy. Nie mam okularów, odpowiada kobieta. Zawsze za własnym nosem, mówi on, jeśli rynek jest tam, dojedziemy do niego. Staruszka wsiada, motorniczy rusza. Młody mężczyzna wskakuje już w biegu. Jak głośno oddycha, zabiera mi powietrze.

Zobaczyłam ojczyma Lilli przy stoliku przed kawiarnią. Udawał, że mnie nie zna, ale pozdrowiłam go, zanim zdążył odwrócić głowę. Tego przedpołudnia zanosilo się na deszcz, wiele stolików na zewnątrz było wolnych, dosiadłam się do niego. Przy stolikach w ogródku wolno przeszkadzać. Zamówił kawę i milczał. I ja zamówiłam kawę i milczałam. Tym razem ja miałam parasolkę na ramieniu, a on słomkowy kapelusz na głowie. Wyglądał inaczej niż na pogrzebie Lilli. Ponieważ wrzucał do popielniczki pomarszczone liście akacji z obrusa, był podobny do oficera Lilli. Ale jego ręce były toporne. Kiedy filiżanki stały już na stole, a kelnerka sobie poszła, przekręcił filiżankę uchem do kciuka, zapiszczało. Do kciuka przylepiły mu się kryształki cukru, otarł je palcem wskazującym, podniósł filiżankę i siorbnął.

— Słaba jak pończochy — rzucił.

Czyżby chciał, żebym pomyślała o jego miłości w kuchni. Powiedziałam:

— Bywają też mocne pończochy.

Wtedy zaśmiał się krótko, podniósł oczy, jakby się pogodził z moją obecnością:

— Lilli z pewnością powiedziała pani, że ja też byłem oficerem, dawno temu. Udało mi się, odwiedziłem oficera Lilli w więzieniu. Nie znałem go, tylko jego nazwisko nie było mi obce, z wcześniejszych czasów. Pani go znała.

— Widziałam go — odpowiedziałam.

— Miał więcej szczęścia niż Lilli, albo i nie, to zależy. Jest z nim źle.

Potem palcem wskazującym rozprasował pomarszczony liść akacji, który przerwał się w połowie, zrzucił go na ziemię, zakrzuszył się, zakaszłał, odbiło mu się, popatrzył w popielniczkę i powiedział:

— Nadchodzi jesień.

O tym mogę porozmawiać z każdym, pomyślałam i powiedziałam:

— Wkrótce.

— Pytała pani podczas pogrzebu, jak Lilli wyglądała. Czy jest pani pewna, że chce pani to wiedzieć.

Trzymałam się filiżanki, żeby nie widział, jak drży moja ręka. Coraz więcej kropel spadało na obrus, on nasunął kapelusz słomkowy na czoło i nic sobie z tego nie robił:

— Oficer zapłacił cały majątek. Po węgierskiej stronie miał czekać ktoś z motorem i przyczepką. I rzeczywiście czekał, ale tydzień wcześniej, na swoje pieniądze. Potem poleciał na policję i dorobił sobie jeszcze dodatkowo. Widzi pani — powiedział ojczym Lilli — tam za parkiem znowu się przejaśnia.

Lilli kochała portiera hotelowego, lekarza, sprzedawcę artykułów skórzanych, fotografa. Dla mnie byli to starzy mężczyźni, co najmniej dwadzieścia lat starsi od niej. O żadnym z nich nie mówiła, że jest stary, tylko: Nie jest już najmłodszy.

Przed starym oficerem nikt nie stanął między mną a Lilli, jej mężczyźni byli mi obojętni. Jedynie z jego powodu zostałam zaniedbana, po raz pierwszy byłam pozostawiona sama sobie, wtedy w ogródku kasyna wyglądało, że na długo. Przybłąda, którego dni były już policzone, wciągnął Lilli do swojego zaprzęgu. Rosła we mnie smutna zawiść, ale jakoś na odwrót. Nie zazdrościłam staremu Lilli, tylko Lilli jego. Chociaż nie podobał mi się ani trochę. Miał w sobie jednak coś takiego, co wywoływało we mnie żal, że jest mi obojętny. A nawet bolałam nad tym, że ja jemu się nie podobam. Jeśli chodzi o mnie i starego oficera, było mi szkoda czegoś, czego ani nie chciałam, ani do czego bym nie dopuściła, gdyby przyszło. Był kimś, kto nie budził żadnych pragnień, ale nie dawał spokoju. Dlatego powiedziałam o okrągłym jak kula wieczornym słońcu, co było skierowane przeciw Lilli, nie przeciw niemu. W ten sposób również i ja zamieszana jestem w jego układ z jej śmiercią.

Lilli lubiła starych mężczyzn, jej ojczym był pierwszym. To ona była natrętna, ona chciała się z nim przespać i powiedziała mu to. On trzymał ją w niepewności, ona nie ustępowała. Któregoś dnia, gdy matka Lilli pojechała do fryzjerki, Lilli spytała go, jak długo jeszcze zamierza się wykręcać. Wysłał ją, żeby kupiła chleb. W sklepie nie było kolejki, wkrótce trzymała chleb w ręku i szybko była z powrotem.

— Dokąd teraz mam pójść, żebyś mógł się opanować — spytała.

A on spytał w odpowiedzi, czy jest pewna, że wytrzyma tę trudną tajemnicę.

— Dziecko nie jest puste — powiedziała Lilli do mnie — ale ja nie byłam już dzieckiem, było we mnie miejsce na wiele tajemnic. Położyłam chleb na stole kuchennym, zdjęłam sukienkę przez głowę tak szybko jak chusteczkę. Tak się to zaczęło. Dwa lata, prawie codziennie poza niedzielami, i zawsze w pośpiechu, tylko w kuchni, łóżek nie dotykaliśmy. Wysyłał moją matkę do sklepu, czasami kolejka była długa, czasami krótka, nie przyłapała nas nigdy.

Na pogrzeb Lilli odważyły się przyjść oprócz mnie tylko trzy osoby z fabryki. Dwie przyszły z własnej woli, dziewczyny z pakowni. Reszta nie chciała mieć nic wspólnego z finałem ucieczki. Trzecią osobą był Nelu, on przyszedł służbowo. Jedna z dwóch dziewczyn pokazała mi ojczyrna Lilli. Na ramieniu niósł czarny parasol. Tego dnia nie zanościło się na deszcz, niebo było niebiesko wygięte do góry, cmentarne kwiaty pachniały fruwającym wiatrem, a nie ciężko i przeszywająco jak przed deszczem. I muchy siadały na kwiatkach, a nie krążyły uporczywie wokół głowy jak przed burzą. Nie mogłam się zdecydować, czy parasol przy takiej pogodzie dodaje mężczyźnie wytworności, czy czyni z niego hochsztaplera. Jedno było pewne, czynił go obcym. Przypominał dystygowanego spacerowicza o uważnym spojrzeniu, ale i poruszającego się z rutyną po krętych ścieżkach oszusta, który nie z powodu kwiatów codziennie o tej samej porze przechadza się po cmentarzu.

Nelu przyniósł bukiet z wyki, potargane na białe kwiaty. Śnieg na lodydze był w jego rękach równie nie na miejscu, jak czarny parasol. Podeszłam do ojczyrna Lilli, lecz się nie przedstawiłam. Wyczuł, kim jestem.

— Dobrze znała pani Lilli.

Skinęłam głową. Może zobaczył w powietrzu przed moim czołem, że myślałam o ich miłości w kuchni. Doznał nagle uczucia bliskości ze mną, którego ja nie podzielałam. Schylił się do uścisku. Pozostałam sztywna, on się wyprostował. Parasol kołysał się podczas odwrotu, ojczym wyciągnął rękę na powitanie, ramię miał zgięte. Jego dłoń była sucha i drzewiasta. Spytałam:

— Jak Lilli wyglądała.

Zapomniał o parasolu, który ześlizgnął się na przegub dłoni. W ostatniej chwili chwycił go kciukiem.

— W drewnianej trumnie jest jeszcze jedna z cynku — powiedział. — Była zespawana.

Podniósł tylko brodę, oczy zostawił schowane pod powiekami, kiedy wyszeptał:

— Niech pani spojrzy tam, czwarta z prawej to jest matka Lilli, proszę do niej podejść.

Podeszłam do ubranej na czarno kobiety, którą, stosownie do miłości w kuchni, nazywał matką Lilli, a nie swoją żoną. Trzy lata dzieliła się nim z Lilli. Szybko podstawiła oba żółte policzki, pocałowałam je niedbale, usta trafiły w połowie na czarną chustę. Również ona zorientowała się, kim jestem:

— Pani o tym wiedziała, prawda. Oficer, a rozumu mu brakowało.

Myślałam o kuchni. A o czym ona. W pochodzie żałobników wokół grobu Nelu rzucił swoją białą wykę na trumnę i zaraz potem grudkę ziemi. Powinnam mu była wytrącić z ręki przynajmniej grudkę ziemi, zanim trafił w trumnę, przynajmniej ją. Skinął do mnie głową. Nie wiem, co czuła wtedy matka Lilli.

— Lilli posłuchałaby pani. Lepiej będzie, jeśli pani sobie pójdzie.

Wypnęła jej się nienawiść. On wysłał mnie do niej, ja idę. Ona zwala na mnie winę i mnie odsyłają idę. Co oni wyczyniają, dlaczego nie powiem: Niech pani posłucha, zostaną tak długo, jak zechcę.

Na ziemi stało wiele aksamitnych butów z wyhaftowanymi liściastymi wzorami, były to buty krewnych Lilli ze wsi, białe skarpetki brudne od ziemi na palcach i piętach. Z tyłu Nelu wyszeptał:



— Psst, masz ogień.

Trzymał papierosa w zaciśniętej ręce, przy kciuku wystawał filtr.

— Tutaj się nie pali — powiedziałam.

— Dlaczego — spytał.

— Zdaje mi się, że jesteś zdenerwowany.

— A ty nie jesteś zdenerwowana.

— Nie.

— Przestań, w obliczu tego na każdym pali się koszula.

— W obliczu czego.

— No, wobec śmierci.

— Ale ty przecież jesteś odpowiedzialny za Włochy, a Lilli chciała wyjechać do Kanady.

— Odbiło ci.

— Powiedz, czy ty wszystko wytrzymujesz w swoim czerepie, nawet świeżą ziemię.

Od słowa do słowa zaczęliśmy mówić coraz głośniej. Nagle poczułam laskę na kostce i stary mężczyzna w aksamitnych butach powiedział:

— Na Boga, do czego to dochodzi. Jeżeli chcecie się kłócić, to nie tutaj.

Serce łupało mi w głowie. Nabrałam powietrza, żeby zmienić ton, i powiedziałam, jakbym była uosobieniem spokoju:

— Przykro nam.

Zostawiłam Nelu tam, gdzie stał, i odeszłam. Na jednym z grobów w rzędzie Lilli ziemia się jeszcze dobrze nie osadziła. Nowy drewniany krzyż, z tyłu oblepiony gliną talerz, a ja nie mogłam sobie darować, że przeprosiłam również w imieniu Nelu.

Zmarłym daje się na drogę do nieba jedzenie, żeby obłaskawić złe duchy. Pierwszej nocy dusza przekrada się za ich plecami, obok piekła, do Boga. Również Lilli dostanie talerz od swojej matki. Na jej prostokątnej kupce ziemi będą obżerały się w nocy cmentarne koty. Echo na bruku głównej alejki było głośniejsze niż odgłos kopania przy grobie. Zatkałam sobie uszy i pobiegłam do bramy, nie zatrzymując się. Nie chciałam zrozumieć miłości Lilli do starych mężczyzn, ponieważ...

Przy bramie cmentarnej stał autobus. Mój tata siedział za kierownicą, spał z twarzą na rękach. Tyle że mój tata od lat nie żył. Od czasu jego śmierci niezliczoną ilość razy przyłapywałam go za kierownicą, w jadących i stojących autobusach. Umarł, żeby móc jeździć sobie do woli, żeby mnie i mamie umykać we

wszystkie ulice, zamiast się przed nami ukrywać. Na naszych oczach przewrócił się i umarł. Potrzęsałyśmy nim, ręce mu się kołysały, ale w końcu zrobiły się sztywne. Policzki przywarły do kości, czoło było z zimnego winylu, zimno, którego w ludziach nie powinno być, ponieważ nie można go zapomnieć. Wciąż przesuwałam po nim ręką i otwierałam mu na siłę wywrócone oczy, żeby wpadło do nich światło i zmusiło go do życia. Każde dotknięcie było nieprzyzwoitością. Ja jeszcze nim szarpałam, mama go zostawiła, jakby nigdy go nie posiadała. Jego upadek zademonstrował nam, że można odrzucić pomoc i stygnąć wbrew najbliższym. Mama i ja z sekundy na sekundę poszłyśmy w odstawkę. Potem przyszedł lekarz. Położył tatę na kanapie i spytał:

— Gdzie jest starszy pan.

— Dziadek jest u brata na wsi — powiedziałam — listonosz przychodzi tam tylko raz w tygodniu, a telefonu nie ma. Dziadek przyjedzie dopiero pojutrze.

Lekarz wpisał udar mózgu do formularza, podstemplował papier i poszedł. Z ręką na kłamce powiedział:

— I któż to zrozumie, pani mąż był zdrowy na ciele, ale jego mózg zgasł jak żarówka.

Szklanka wody, o którą lekarz poprosił i nie wypił, stała na stole i wypuszczała bąbelki. Upadając, tata pociągnął za sobą krzesło, oparcie leżało na podłodze, siedzenie stało pionowo, powleczone materiałem w czarno-szary zygzakowaty wzór. Mama zaniosiła szklankę wody do kuchni, szła na palcach i przez ramię spoglądała na kanapę, jak gdyby jej mąż odbywał poobiednią drzemkę. Nie rozlała ani kropli. Z kuchni dobiegł jedynie dźwięk odstawianej szklanki. Potem wróciła i usiadła przy stole. W pokoju były dwie nie całkiem żywe i jeden martwy. Trójka, która okłamywała się już od dawna, mówiąc o sobie „my”, i określając szklankę, krzesło czy drzewo w ogrodzie jako „nasze”.

Odtąd spotykałam tatę na ulicach tak obcego, jak wtedy na kanapie. Rozpoznawałam go wszędzie, również przed cmentarzem. Słowo „transport” widniało na wszystkich autobusach w kraju. I wszystkie miały koślawe stopnie, zardzewiałe błotniki, na dachu drobny jak mąka pył, który woziły ze sobą pół roku lub dłużej. Puste oparcia za szybami szybko zmieniały się w pasażerów, kiedy na nie patrzyłam. Również do szyby tego autobusu przykleiły się piegi, jak tata nazywał rozpaćkane, na czerwono i żółto zaschnięte owady. Kobiety w białych rajstopach i haftowanych butach i mężczyźni z wykrzywionymi twarzami i laskami byli krewnymi Lilli. Jej ojciec pochodził z doliny na pogórzu, z wioski z garstką domów, w której śliwy o tej porze roku były skąpane w granacie i miały wygięte gałęzie. Kierowca musiał poczekać, aż Lilli zostanie nakryta ziemią. Kiedy cmentarne koty zaczną troszczyć się o duszę Lilli, on przez pół nocy będzie jechał do śliw z przemęczonymi twarzami swoich chłopów.

Kiedy chodziłam do liceum i mieszkalam jeszcze z rodzicami w małym miasteczku, wieczorami chętnie robiłam z tatą ostatnią rundę pustym autobusem do zajezdni. Nie musieliśmy rozmawiać w półmroku ulic, autobus klekotał. Siedzenia, drzwi, uchwyty, stopnie, wszystko było obluźwane, ale autobus się nie rozpadał. Po wielu kursach tato co wieczór dokręcał najważniejsze śruby i reperował motor na następny dzień. Podczas ostatniej rundy trąbił na rogach i przejeżdżał na czerwonym świetle przez skrzyżowania. Śmieliśmy się, kiedy robiło się niebezpiecznie i światła ciężarówki przy wymijaniu za bardzo się zbliżały. Wysadzał mnie przed żelazną bramą. Szłam do domu, on wjeżdżał do zajezdni, miał jeszcze robotę, przychodził półtorej godziny później.

Któregoś wieczora w drodze do domu przez aleję wpadła mi do oka mucha. Przystanęłam pod latarnią, ściągnęłam powiekę na dół i przytrzymałam ją za rzęsy. Potem wysmarkałam się. Mój dziadek znał ten sposób z obozu. Zrobiłam to dobrze, mucha siedziała już w kąciuku oka, wyjęłam ją. Oko łzawiło,

potrzebowałam chusteczki. Wtedy zauważyłam, że zostawiłam torebkę w autobusie. Tato ma w głowie tylko swój motor, na pewno jej nie zauważy. Zawróciłam.

Weszłam na teren zajezdni z boku, orientowałam się tam, ale nie po ciemku. Dlatego też trzymałam się głównego budynku, gdzie obok schodów werandy świeciła zdobna w esy-floresy lampa z abażurem. Szybko znalazłam autobus, obok przedniego koła leżały w trawie dwa puste wiklinowe kosze. A z przedniego siedzenia zwiślał warkocz, i kołysał się. Potem zobaczyłam policzki, nos, szyję. Mój tato całował szyję, siedział pod kobietą. Ona podniosła głowę, jakby miała za szyją wzbic się do sufitu. Jej plecy wygięły się jak witka. Znałam tę dziewczynę, chodziła kiedyś ze mną do szkoły, do innej klasy, była w moim wieku. Przez ostatnie trzy lata, odkąd chodziłam do liceum, sprzedawała warzywa na targu. Jej warkocz uderzał w tę i z powrotem, póki tato nie przycisnął jej ust do swoich. Chciałam jednocześnie uciec stamtąd jak wiatr i patrzeć wiecznie. Wokół lampy z abażurem kręciła się chmara komarów jak siatkowa chusta. Topola była drzewem do skrajów dachu. Wyżej, tam gdzie rynna uciniała światło — czarną wieżą, która kołysała się i szumiała. Ale głośniejsze od niej cykały świerszcze, od trawy aż do nieba, żebym otwarte usta taty tylko widziała, nie słyszała. Nie wiedziałam, od kiedy tak stoję i jak długo trwa ten grzech. Chciałam w porę wrócić do domu, być tam przed nim z należywym wyprzedzeniem. W ogrodzeniu za głównym budynkiem widniała dziura, to była najkrótsza droga.

Na ulicy piętra alei zlewały się ze sobą w świetle. Grube pnie pobielone były wapnem, połyskiwały i zataczały się, a może to ja nie szłam prosto. Po tym, co zobaczyłam, nie wolno było bać się nocy pomiędzy drzewami. Poza tym wiedziałam, że w jaskrawe dni białe nagrobki po dziecięcej stronie cmentarza zataczają się w słońcu dokładnie tak samo jak pobielone pnie drzew nocą przy księżycu. Gdyż na cmentarzu za fabryką chleba leżał chłopak z wężami z pyłu. Kiedy płonęły godziny kanikuły i przebywanie na dworze nie było wskazane dla dzieci, jego nagrobek był tak samo pijany jak aleja nocą. Nagrobki wokół niego chwiały się, szczególnie zdjęcia nagrobne, na których dzieci trzymały smoczki w buzi i gałgankowe zwierzaki w rękach. Chłopczyk, który miał największy nagrobek, siedział na karku bałwana.

Zanim przyszedłam na świat, moi rodzice mieli chłopca, który od śmiechu robił się siny. Nie został prawdziwym synem, umarł przed chrzcinami. Rodzice z czystym sumieniem mogli po dwóch latach rzec się jego grobu. Dopiero kiedy miałam osiem lat i w tramwaju usiadł przed nami chłopiec z obdrapanymi kolanami, mama powiedziała mi na ucho:

— Gdyby twój brat żył, nie przyszlabyś na świat.

Chłopiec lizał kaczkę z palonego cukru, wpływała i wypływała mu z ust, a domy za szybą wjeżdżały krzywo pod górę. Siedziałam w tramwaju obok mamy zamiast mojego brata na pomalowanym na zielono, gorącym drewnianym siedzeniu.

Ja miałam dwa zdjęcia z porodówki, mój brat żadnego. Na jednym zdjęciu leżę koło ucha mamy na poduszce. Na drugim pośrodku stołu. Przy następnym dziecku rodzice chcieli mieć jedno zdjęcie dla siebie i jedno na nagrobek.

Za duża byłam, żeby po drodze z zajezdni do domu bać się bielonych pni drzew. Ale czułam się poniżona przez tatę bardziej niż wtedy w tramwaju przez mamę. Jestem ładniejsza od tamtej z warkoczem, myślałam, dlaczego tata nie weźmie mnie. Ona jest brudna, ma ręce zielone od warzyw. Czego on od niej chce, ona ma dobrego męża. Kiedy jadę rano do liceum, widzę go. Jest młody, to on niesie ciężkie kosze od przystanku autobusowego do straganu, a ona tylko reklamówkę. I ma też cierpliwe dziecko, które pod betonowym dachem za jej straganem bawi się na odwróconej do góry dnem drewnianej skrzynce brudnym gałgankowym piaskiem, żeby jakoś minął czas. Jestem taka głupia, przedwczoraj kupiłam od niej całe

naręcze chrzanu. Wetknęła pieniądze do dużej kieszeni fartucha na brzuchu i pogłaskała dziecko po głowie. Wiedziała, kim jestem, i myślała z pewnością o grzechu. Na jej górnej wardze widziałam opryszczkę rozkwitłą świeżą czerwienią i nie przyszło mi na myśl, że ma ją od mojego taty. Na jego ustach właśnie zniknęła, świeżo czerwona dwa tygodnie temu. Ale że tak chętnie zostawiłaby dziecko z brudnym gałgankowym psem w domu, żeby o zmierzchu zabawić się z tatą, tego po niej nie było widać.

Tato przyszedł do domu z moją torebką na ramieniu, położył ją przede mną i spytał:

— Odkąd to jesteś taka lekkomyślna.

— Kto jest lekkomyślny — zapytałam w odpowiedzi. Udawał głuchego, usiadł przy stole w jasnym świetle i czekał na jedzenie. Pokroił salami na plastry grubości palca i zjadł cztery ostre jak ogień spiczaste papryki, które przyniósł ze sobą, pewnie od niej. Możliwe, że jeszcze za nie zapłacił. Do tego sześć kromek chleba i garść soli. Ta warkoczasta normalnie go wykańcza. Może od zapachu benzyny w autobusie krew płynęła mu za szybko do serca i dodawała wigoru, tak jak wtedy, podczas wojny. Mój dziadek pokazał mi małe zdjęcie i powiedział:

— To jego czołg.

— A kto to jest — spytałam.

W trawie obok taty leżała młoda kobieta, na bosaka, buty obok krzaka, rozrzucone daleko od siebie, między jej łydkami kwitł mniszek, wsparta na łokciach podnosiła głowę.

— Muzykalna dziewczyna — powiedział dziadek — grała na jego flecie. Podczas wojny twój tata porwał się na wszystko, co miało jajniki i nie żarło trawy. Potem wciąż przychodziły listy. Wszystkie podarłem, żeby twoja mama ich nie zobaczyła. Zdziwiłem się, jak szybko wziął twoją mamę. Była niepozorna, ale zbiła go z pantaląku, natychmiast miała go w garści.

Jeszcze dziesięć razy jeździłam z nim wieczorami do zajezdni, liczyłam te rundy na palcach. Dotykałam ramienia taty, kolana, on patrzył tylko na drogę. Złapałam go za ucho, popatrzył na mnie z uśmiechem, potem znowu tylko na drogę. Położyłam rękę na jego ręce na kierownicy. Powiedział:

— Tak się nie da jechać.

Ostatnim razem dałam mu ugryźć gruszkę, którą wcześniej nadgryzłam. Żeby się nie męczył z grubą, żółtą skórką. Gryzł i mlaskał, miał spieniony sok na zębach i przelykał z nieobecnymi oczyma. Tacie smakowało, a ja jadłam tylko po to, żeby go zwabić. Kiedy już nie mogłam jeść, a on nadstawił usta, żeby jeszcze raz ugryźć, powiedziałam:

— Możesz zjeść do końca, ja już nie chcę.

Mógł spytać, dlaczego. Trąbił na rogach, bo cieszył się na warkoczastą. Gnał swój autobus przez czerwone światła, ponieważ mu się śpieszyło, a nie dlatego, żebyśmy mogli się pośmiać.

Również po dziesiątej rundzie przed bramą zajezdni otworzył drzwi autobusu z rozmachem, który miał już związek z jego grzechem. Zjadł też ogryzek gruszki, zanim wysiadłam, wyrzucił ogonek przez drzwi. Czekał na obce ciało.

Potem co wieczór zostawałam w domu. Mógł przecież zapytać, czy nie chcę z nim znowu pojechać. Dziesięć palców było już przeliczone, ale można było zacząć z liczeniem od początku. Może papierosy lepiej by podziały niż moje dłonie czy nadgryziona gruszka. Mogłabym nauczyć go zaciągać się papierosowym dymem. On wydmuchiwał dym ustami i palił tylko po to, żeby szpanować zagranicznymi papierosami. Nie mógł sobie właściwie na nie pozwolić, palił rzadko, ale było mu z tym do twarzy. Podczas gdy sam robił ostatnią rundę, zerwałam brzoskwinie z ciemnych jak wnętrze worka drzew obok płotu i usiadłam na ławce w ogrodzie. Świerszcze cykały piosenkę o autobusie, który wieczorami pod spojrzeniem czworga oczu i grzesznymi ciałami zamienia się w łóżko. Właściwie pod spojrzeniem sześciorga oczu. Jadłam i przełykałam, żeby zostało to tajemnicą.

Kiedy przyszedłam do domu po ostatniej jeździe, podczas której gruszka nic nie działała, mama spytała:

— Płakałaś.

— Tak, płakałam.

— Pies, który włączył się koło śmietnika, szedł za mną od alei aż do fabryki chleba — dodałam.

Mama powiedziała:

— Jest napalony, a ty go przestraszyłaś.

— Ty myślisz tylko o jednym, on jest wycieńczony i ogłupiały z głodu.

Moje serce zrobiło się twarde, zabiłoby ją, gdybym nim rzuciła. Tak jej nienawidziłam, że wysechł mi język, kiedy bezwstydnie dodała:

— A, to dlatego słyszałam skowyt na zewnątrz.

Na zewnątrz było jak zawsze, kiedy suchym latem nastawała noc, cykanie świerszczy od ziemi aż do nieba. Ale ani śladu psa. Ozdobiła moje kłamstwo strachem napalonego psa. Kłamała, żebym w swoim nieszczęściu nie mogła jednak powiedzieć, że mój tato jest napalony, że to jego mogłabym przestraszyć, gdybym chciała.

Jak często musiałam kłamać albo trzymać gębę na kłódkę, żeby ludzie najbardziej przeze mnie ukochani, właśnie wtedy, kiedy ich nie mogłam znieść, nie spotkali swojego nieszczęścia. Kiedy życzyłam sobie, żeby moja nienawiść trwała wiecznie, wstręt ją rozmiękczał. Między powiewem miłości a masą wyrzutów sumienia poddawałam się już następnej nienawiści. Zawsze wystarczyło mi rozumu na to, żeby oszczędzić innych. Ale nie wtedy, kiedy chodziło o moje nieszczęście.

Któregoś wieczoru mama włożyła letnią sukienkę z gęsto przyszytymi guzikami z masy perłowej i ze śmiałym rozcięciem z tyłu, włosy zaczesła w spadzisty rulon, wetknęła w nie druciane kłamy i wsunęła w usta karmelowy cukierek. Zawsze kiedy strojąc się, ssła cukierki, zamierzała zrobić coś wyrafinowanego. Założyła białe sandały i powiedziała:

— Na dworze jest chłodno po tym upalnym dniu. Idę pospacerować trochę po alei.

Nie wiem, czy w tej wąskiej sukience mogła prześliznąć się przez dziurę w płocie. Kiedy dotarła do terenu zajezdni, jej mąż reperował chłodnicę motoru. Musiał się, jak mawiała Lilli, trzymać w ryzach, kiedy

zobaczył śmiały rozporek, fryzurę i białe sandały. Posadził ją może za kierownicą i kazał poczekać, aż chłodnica będzie gotowa. W blasku białych pni i sandałów przyszli pod ramię do domu. Podczas kolacji mama powiedziała:

— Przecież nikt ci za to nie płaci, że co wieczór po całym dniu pracy reperujesz jeszcze autobus.

— Ale to ja robię większość tras — powiedział — za to dostaję premię po Nowym Roku, za cóż by innego.

Mama uniosła brwi, wstała nawet ze swojego krzesła i ukroiła chleb dla siebie i dla niego, chociaż bochenek i nóż leżały koło jego talerza. My musieliśmy sobie sami kroić, dziadek i ja.

Po śmierci taty mama stawiała jeden talerz mniej na stole, tak jakby było to oczywiste. Miała taki sam apetyt, i jak się wydawało, lepiej spała. Cienie pod oczami znikły. Nie odmłodziła, ale stanęła w miejscu, a czas upływał. Obojętność powoduje zaniedbanie zewnętrzne, w jej przypadku tak nie było. Była raczej wewnątrznie zdziżala albo dumna z samotności, albo obca samej sobie, odkąd zerwała się ta więź. Ani radosna, ani smutna, z niezmiennym wyrazem twarzy. Szklanka wody miała w sobie więcej życia niż ona. Przypominała ręcznik, kiedy się wycierała, stół, kiedy z niego sprzątała, krzesło, kiedy siadała. Po roku od śmierci taty dziadek stwierdził:

— Masz przecież czas, wychodź częściej do miasta, może spotkasz mężczyznę, który ci się spodoba. A i do roboty w obojętności ktoś młodszy ode mnie nie byłby zły.

— Gdybym coś takiego zrobiła, ty powinieneś mi tego zabronić — powiedziała mama. — Przecież mój mąż był twoim dzieckiem.

— Ale ja nie jestem taki.

— Ty przecież też nie ożeniłeś się po raz drugi.

— Ja nie, ale twój mąż nie zginął w obozie — powiedział dziadek.

Było to nadaremne, mama nie cesała się więcej w spadzisty rulon, a wąską sukienkę z rozcięciem z tyłu odwiesiła na zawsze do szafy. Nie chciała już nikogo zbijać z pantałyku. Całą ciekawość miała już za sobą, również tę wobec własnego dziecka, które wyfrunęło z domu i rzadko przyjeżdżało.

Kiedy dziadek umarł, zostałam przy niej tylko jedną noc. Następnego popołudnia wróciłam do miasta. Mogła przecież powiedzieć, że powinnam jeszcze zostać, wzięłabym sobie dwa dni wolnego. Na moim łóżku leżały plastikowe worki z jej zimowymi ubraniami, ja spałam na kanapie, a ona nie zwróciła na to uwagi. Zanim wyszłam na dworzec, nakryła do stołu. Postawiła dwa talerze i jadła, nie zauważając, że ja tylko udaję, że jem. Kiedy dawniej nie miałam apetytu, mówiła, że jestem niejadkiem. Teraz było jej to obojętne.

Przez wiele lat na stole stały cztery talerze. Wydawało się, że to normalne, bo żyliśmy w domu w czwórce. Ale kiedyś mama wyznała mi, że istnieję tylko z powodu śmierci mego brata. Od tej pory było nas pięcioro, ktoś z nas jadł z talerza mojego brata. Nie wiedziałam, kto. Brat nie jadł z niego nigdy.

— Trzymał sutek w ustach, ale już nie ssał — powiedział mój dziadek. — Nie od razu zauważyliśmy, że nie śpi, że...

Ponieważ piątego talerza nigdy nie było na stole, także i te cztery nie zostały na nim długo. Pierwszy talerz stał się zbędny wraz ze śmiercią taty. Moje odejście do miasta sprzątnęło ze stołu drugi. Po śmierci dziadka niepotrzebny okazał się trzeci.

Tramwaj wisi krzywo. Może szyny wygięły się od upału. Stara kobieta ma coś z nerwami, głowa trzęsie się jej na prawo i na lewo, jakby wciąż mówiła „nie”. Kiedy będzie rynek, pyta. Motorniczy odpowiada: To jeszcze potrwa. Młody mężczyzna stoi przy tylnych drzwiach. Jesteśmy dopiero przy sądzie, mówi. Czy pani nie jest stąd. Ależ tak, tak, mówi staruszka, wczoraj zbiły mi się okulary. Byłam u optyka, ale nie mają ani soczewek, ani kleju, nie mają niczego. Muszę teraz czekać czternaście dni. Gdybym była taka stara jak ona... ale nie można zamienić się z nikim, nawet z Lilli albo z Paulem. Nie chciałabym nigdy musieć wysiąść przy sądzie. To się wyjaśni podczas procesu, wtedy zaczniesz mówić, mówi Albu, kiedy nie jest zadowolony z odpowiedzi. Motorniczy wyciąga trzeciego rogała z kieszeni koszuli, odgryza kawałek i odkłada rogał. Kęs prześlizguje mu się przez gardło. Jeśli to jeszcze dłużej potrwa, nie dostanę dzisiaj jajek, mówi staruszka. Tramwaj zatrzymuje się. Wsiada mężczyzna w garniturze, z teczką w rękę. Trudno, wtedy kupię śliwki, mówi staruszka, spogląda na niego i chichocze: przynajmniej dowiozę je w całości do domu, nie pobiją mi się. Do ciasta też potrzebujesz jajek, mówi motorniczy, odrobinę rumu i dużo cukru. Tak, tak, mówi staruszka, mężczyźni chętnie jedzą słodczyce.

Kiedy jadłam z mamą po pogrzebie dziadka, w kącie pokoju przewróciła się miotła. Jej trzonek uderzył z łoskotem w podłogę. Widziałam, jak upada tato, z dziadkiem musiało być tak samo. Chwyciłam szklanekę wody. Jeśli mama byłaby ciekawa, jak mi się żyje, opowiedziałabym o kłamstwie w fabryce, o śmierci, którą przyniosłam w moich nowych szarych butach na obcasie. Zanim wstała i odstawiła miotłę w kąt, wepchnęła sobie do ust kawałek skórki od chleba.

Gdy w fabryce wieszak na ubrania spadał na podłogę, w tramwaju parasolka, na ulicy przewracał się odstawiony rower, czułam, jak z obu skroni przesuwają mi się do środka czoła zimny winyl. Mama żuła i piła dużo wody, była pewna, że jest moją matką, ja nie. Patrząc w talerz, powiedziała:

— Wiesz, kiedyś zaczęłam pisać do ciebie. Siedziałam w kawiarni i nagle zebrało mi się na pisanie. Musiało być to w maju albo w czerwcu, co teraz mamy, ach tak, już wrzesień. Potem poszłam na pocztę. Nalepiłam na kopertę znaczek, ale zapomniałam twojego adresu.

Patrzyłam jej w oczy i czułam, że idę po zamrzniętym jeziorze.

— Masz w ogóle mój adres — spytałam.

— Na jakiejś kartce, musiałabym jej tylko poszukać.

Nie zwróciłam się do niej „mamo”, tylko „ty”, tak jak się mówi do obcego dziecka, ponieważ „pani” byłoby nie na miejscu. Słuchanie jej było uciążliwe, mówienie bądź milczenie tak dowolne jak wtedy, kiedy bez powodu wyfrunęłam z domu, chociaż równie bez powodu mogłabym zostać. W małym miasteczku było wystarczająco dużo posad biurowych, nawet w fabryce chleba. Dzisiaj mówię, że tak się złożyło.

Kiedy szłam na dworzec, w powietrzu pachniało mąką. Portier stał przed bramą fabryki chleba i strzepywał ręką łupież z kurtki uniformu. Uniósł czapkę i pozdrowił mnie, nie znałam go. Kiedy przechodziłam obok, głośno ziewnęła. Obejrzałam się, tak jakby mi się właśnie udało ujść cało, jakby za szarymi szpilkami ziewnęła poluzowana betonowa płyta. Po tym miejscu wszystkiego można się było spodziewać, było w stanie wieczór przepuścić przed południem, tak żeby słońce od razu przyszło tutaj, stała za fabryką chleba w ogniu i tuż przed nocą zaszło ciemne jak blacha do pieczenia chleba. Myślałam o

wczesnym wieczorze po pogrzebie taty. Wróciliśmy z cmentarza do domu, dziadek przeszedł przez podwórko, odkręcił kran i pociągnął szlauch do drzew brzoskwiniowych. Mama zawołała:

— Tylko nie w tym garniturze, przebierz się.

Pobiegłam za nim. Jest sucho, wyjaśnił, jakby w ciągu następnego kwadransa brzoskwinie miały zginąć z pragnienia. Woda pryskała, stała w mętnych pęcherzykach wokół pni, pełna utopionych mrówek. Ziemia piła powoli. Dziadek powiedział:

— Raz wyciągnąć nogi i otwiera się przed tobą świat. Jeszcze raz i świat się zamyka. Stąd dotąd pierdnięcie w latarni, i to się nazywa życie. Nie opłaca się nawet nałożyć butów.

A teraz dziadek po raz drugi wyciągnął nogi. Chciałam do pociągu, przez pola kukurydzy, zanim poczernieją. Przejeżdżać przez małe dworce, które wyglądają jak psie budy. Być daleko stąd, kiedy mama postawi na stole ostatni talerz. Przez wszystkie te lata odczuwała głód mojego brata i jadła z jego talerza. Dlatego tak dobrze potrafiła być sama, jakby na jej stole zawsze był tylko ten jeden talerz.

Kiedy spojrzałam na jasnoniebieski bilet, uzmysłowiłam sobie: co za szczęście, że tato nie wciągnął mnie w swoją miłość. Jego wigor był mądrzejszy od rozumu. Co za szczęście, że wolał cień obcego ciała niż wilgoć mojej nadgryzionej gruszki. Nawet we śnie mama nie zasłużyła sobie na to, żebym ją zastępowała moją młodością i żebym przeniosła tatę w pierwsze lata ich miłości po to, aby odgradzić naszą rodzinę od warkoczastej.

W przypadku Lilli było inaczej, drugi mężczyzna jej matki był pierwszym, którego potrafiła zdobyć Lilli.

— Nie stał się odrażający — mówiła Lilli — tylko w czasem pospolity. To, że do czegoś dochodziło między nami, kiedy moja matka wychodziła, było bardziej oczywiste niż używanie tej samej klamki.

Tajemnica Lilli stała się przeszłością, kiedy poznała nocnego portiera z wojenną blizną na karku. Dopóki nie poszedł na emeryturę, Lilli polegała u niego na recepcji, za ścianką z kluczami, zawsze od północy. Potem chodziła wieczorami do sklepu, na zaplecze wypełnione do połowy okien skórzanymi ubraniami, dopóki handlarz wraz z żoną nie przeniósł się na wieś. Potem do szpitala, aż jej lekarz odwiedził swojego szwagra w Buenos Aires i nie wrócił. Potem Lilli przeniosła swoją miłość na popołudnia do ciemni fotografa.

— Pośpiech wywołuje rozkosz — mówiła Lilli.

Od grzechu z ojczymem upłynęło dużo czasu, ale w oczach Lilli wciąż jeszcze pojawiał się błysk ostry jak szlifowane szkło, kiedy mówiła:

— Moja matka sypia ze swoim drugim mężem, a przykrywa się śmiercią pierwszego.

Tajemnica i pośpiech były ważniejsze niż uczucie.

Poza starym oficerem każdy mężczyzna, z którym coś ją łączyło, miał w domu żonę. Pierwszy rok z ojczymem był najbardziej ryzykowny i najpiękniejszy. Lilli przyznawała:

— A tam, tajemnica. Tak się zawsze składało. Tajemnicą jest raczej to, dlaczego miłość ma najpierw pazury jak kot, a z czasem znika jak pożarta mysz.



Była Niemką. Jej ojciec został powołany do wojska tuż po ślubie i na wojnie rozerwała go mina. Matka Lilli była w drugim miesiącu ciąży. Jako wojenna wdowa co roku dostawała dwie paczki z niemieckiego czerwonego krzyża. W jednej była pikowana kołdra, którą się od tamtej pory nakrywała. W drugiej niebieska plisowana spódnica, którą nosiła Lilli, ponieważ na jej matkę była za ciasna. Nawet jeżeli nikt inny nie miał plisowanej spódnicy, trudno było nazwać ją piękną. Z cienkiego, sztywnego materiału, błyszczała, jakby dopiero co wyciągnięta z wody. Wręcz czekało się, kiedy zacznie z niej kapać. Powiedziałam:

— To jest dobre dla starych kobiet, falista blacha obwiązana wokół bioder, żeby nie było widać wdowiego sadła.

— A co tam, jest praktyczna, a niebieski pasuje mi do oczu — powiedziała Lilli.

Kiedy mówiła o swojej matce, wspominała również martwego żołnierza, któremu zabrakło czasu, aby być jej ojcem. Kiedy Lilli była ze mną w mieście i wyjmowała portfel, widziałam brzeg zdjęcia w białe zygzaki. Kiedyś spytałam:

— Kogo tam masz w wewnętrznej kieszonce.

Lilli wetknęła portfel do kieszeni płaszcza i po chwili odpowiedziała:

— Mojego ojca.

— Czy on jest tajny — spytałam.

— Tak.

— To dlaczego o nim opowiadasz.

— Ponieważ wścibsko pytasz.

— Najpierw ty o nim opowiedziałaś, ja spytałam potem.

— O zdjęciu nic nie opowiadałam.

— Ale możesz przecież je pokazać, skoro on jest na nim.

— Jak ma być na nim, jeśli jest martwy — powiedziała.

Powachlowałam jej ręką przed czołem:

— Odbiło ci.

Lilli wyciągnęła zdjęcie z portfela i podsunęła mi je. Nos i oczy odziedziczyła po nim, po mężczyźnie, który nie miał jeszcze dwudziestu lat, krzywo się uśmiechał i w dziurce od guzika wojskowej kurtki nosił stokrotkę w białe ząbki. Sięgnęłam po zdjęcie, Lilli odsunęła moją rękę:

— Patrzyć, nie dotykać.

Palcem wskazującym popukałam w czoło Lilli.

— Świru, świru.

— Napatrzyłaś się do syta.

— Nie, ruszasz cały czas.

Wtedy Lilli przekreśliła zdjęcie, wyglądało to tak, jakby jej ojciec wisiał za nogi. Rogi kołnierzyka i czapka były zamalowane tuszem, te miejsca błyszcząły, reszta fotografii była matowa. Od razu mi się to rzuciło w oczy, na przekreślonym zdjęciu również było to widać. Wstyd zmniejsza oczy, ale jej oczy zrobiły się wielkie i zapomniały o mruganiu. Lilli szukała kłótni, ale nie z powodu zamalowanych miejsc na mundurze.

— Schowaj — powiedziałam.

— Dlaczego, pożerasz go przecież oczami.

— Pardon — krzyknęłam.

— Jak to, pardon — spytała.

— Jesteś zazdrosna.

— Raczej ty, dla mnie jest o wiele za młody.

— Teraz byłby w sam raz.

— O tym jeszcze nigdy nie pomyślałam.

— Ja za to tak — powiedziałam.

Codziennie po pracy byłam szczęśliwa, że nie muszę już patrzeć na Nelu. Chodziłam po przystanku tam i z powrotem przed niskimi, brudnymi domami. Okna wisiały na piędź nad chodnikiem. Zimą za zasłonami już po południu paliło się światło. Odrobina lodu błyszcząca w dziurach na ulicy jak rozlane mleko, ciężarówki przejeżdżały z łoskotem. W tumanie śniegu za kołami pojawiał się zmarły chłopiec ze swoimi wężami z pyłu. Odkąd był martwy, lepiej chodził, a mój ojciec lepiej jeździł. Gdy ulica połknęła łoskot i śnieżną kurzawę, gubiła kierunek. Przepuszczałam tramwaj, dwa, trzy. Paul i tak pracował półtorej godziny dłużej niż ja. Nic nie ciągnęło mnie do domu. Nadjeżdżały inne ciężarówki, jeżeli miałam szczęście, przejeżdżał również autobus. Kiedyś chłopiec z wężami z pyłu i mój tato zemścili się, ponieważ musieli się zbyt często pojawiać. Na przystanek przyszedł mężczyzna z walizką.

Ubiegłego lata po pracy Paul musiał znowu wsiąść na motor boso, z nagim torsem i w pożyczonych spodniach. Wszystko, co miał na sobie, ulotniło się, gdy brał prysznic — koszula, spodnie, slipy, skarpetki i sandały. Chociaż przebiegła była od wiosny strzeżona, Paul już po raz czwarty tego lata po wyjściu z łazienki nie miał niczego poza własną skórą. W fabryce kradzież nie jest złym uczynkiem. Fabryka należy do ludu, robotnicy pochodzą z ludu, więc biorą sobie własność ludu, żelazo, blachę, drewno, śruby i drut, wszystko, co się da wziąć. Mówią przy tym: Za dnia się bierze, nocą kradnie.

I przy okazji komuś zapodziejają się skarpety, komuś innemu koszula, komuś buty. Jeszcze zanim zaczęto strzec przebieralni, nikt nie był tak często okradany jak Paul. I tylko jemu zabierano wszystko naraz. Choć jego ubranie nie rzucało się w oczy. Kompromitacja, chwila, kiedy Paul będzie stał nagi w fabryce, znaczyły dla złodzieja więcej niż rzeczy.

Paul był przez kogoś upokarzany. Zaczął uważnie śledzić rozmowy, śmiech, posiłki, uściski dłoni w pracy, pałętanie się po hali. Wszyscy zachowywali się normalnie, ale kiedyś sprawca zapomniał się i popełnił błąd, myślał Paul. Wtedy chciał się z nim policzyć na oczach wszystkich.

— Jak — spytałam.

— Będę tłuc, aż zaczniesz pisać jak mysz.

Niektórzy krzyczą tak, że wiadomo, kiedy już wystarczy. Ale niektórzy milczą, i wtedy można takiego zatłuc na śmierć. Bałam się, że Paul da się zaślepić złości, i powiedziałam:

— Złodzieja ubrań trzeba rozebrać i przepędzić nago przez fabrykę, wtedy on stanie się mniejszy od myszy, a ty nic nie zrobiłaś, nie ponosisz winy.

— Tak, wszystkich trzeba brać pod uwagę. Jeżeli byłby to któryś ze starych albo rachityczny młodzieńiak z uszami większymi od stóp, chętnie pomogę mu się przewietrzyć.

Ubrań jest pod dostatkiem, wyobraź sobie, że ukradziono by twoją cenną skórę, mówili koledzy Paula. Słyszałam, że przeziębiliś sobie wczoraj sutki. Znowu czekałaś namydlony, a masażystki ani śladu.

Paul śmiał się z nimi. Wołał tych kilku dowcipnisiów niż milczące stado z fałszywymi językami i martwymi oczyma. Ten podział nie pomagał mu jednak w odkryciu twarzy złodzieja. Albo ten typ nie popełniał żadnych błędów, albo Paul ich nie zauważał. Nawet zapasowe ubranie, które każdy na wypadek kradzieży miał w skrzynce na narzędzia, zniknęło bez śladu.

— Nasz socjalizm wypuszcza robotników z fabryki na golasa — powiedział Paul kolegom z pracy. — Co kilka tygodni człowiek jest jak nowo narodzony — to pomaga zachować młodość.

Kiedy dowcipnisie przychodzili rano do hali, witali się:

— Dzień goły.

Gdy kichnął, zyczyli:

— Na goło.

Przed pójściem do domu:

— Nagiego fajrantu.

Na zebraniu partyjnym różnice zniknęły, opowiadał Paul. Wszyscy siedzieli jak kolki w płocie w drugim rzędzie od końca. Ze skroni kapał im pot, włosy kleiły się do czaszki, nie wiadomo, czy z gorąca, czy ze strachu. Żeby nie sprawić wrażenia, że chcą zabrać głos, nie ruszali rąk z kolan. Leżały brudne, twarde i nieruchome, wsuwały się pod siedzenie. Z przodu sali zebrani zasłony były zaciągnięte, prezydium i

pierwsze rzędy miały cień, ale krzesła zostały puste. Paul złożył tam na stojąco samokrytykę, a potem usiadł samotnie w zacienionym rzędzie, na jednym z krzesel, które trzeszczały już podczas oddychania. A musiał głęboko oddychać, ponieważ nawet powietrze kurczyło mu się przed nosem.

— Jako smarkacz — opowiadał Paul o sobie — wstąpiłem do partii, w dziesiątej klasie technikum maszynowego.

Matka Paula mawiała:

— W tym kraju, choćbyś był nie wiem jak mądry, bez czerwonej książeczki możesz stanąć najwyżej na dziobie i pierdzieć w powietrze jak przepiórka.

Była dziewczyną ze wsi, która uciekła od pól z burakami do miasta, do przemysłu ciężkiego, gdzie mężczyzn jest pięć razy więcej niż kobiet. W łózkach, przez podbrzusze, stała się komunistką.

— Uformowana i uszlachetniona — powiedział Paul. No tak, ale cóż ona umiała, potrafiła kopać, siać, zbierać plony, cerować rajstopy, trochę stebnować na maszynie do szycia, dobrze tańczyć i doić owce. Jej praktyka partyjna kończyła się na brzegu łózka, za to doskonale wiedziała, w którym momencie zbyt częsta zmiana mężczyzn szkodzi dobrze zbudowanej dziewczynie. To wycucie uratowało ją i na chwilę przed kompromitacją wyszła za męża za ojca Paula, bohatera pracy socjalistycznej. Stała się wierna i taką też pozostała. Mąż chciał nauczyć ją języka partii. Jej mózg był sprawny, ale miała zbyt niewyparzoną głowę jak na język, w którym nigdy nie chodziło o wężanie i smakowanie, nigdy o słuchanie i patzenie. Cokolwiek ojciec Paula powiedział, kiedy wiernie słowo w słowo powtarzała jego zdanie, brzmiało to jak kpina:

— Postęp leży w naszych siłach.

— Mów ciszej — prosił. I zabrzmiało słabiutko.

Trochę głośniejsze brzmiało przesadnie.

— Mówisz o sprawie — tłumaczył — musisz usunąć się w cień.

— Jak to — pytała. — Przecież ja też jestem naszą siłą.

— Tak to możesz mówić z góry w dolinę podczas pasienia owiec, na zebraniu partyjnym musisz trzymać język za zębami.

Szkolenie trwało cały styczeń. Matka Paula powiedziała, że wolałaby odgarnąć śnieg z całej wielkiej góry, niż ćwiczyć ten język. Mąż poddał się.

O tym, że wprowadziłam się do przesuniętego bloku w kształcie wieży, wiedziała trzy dni później cała fabryka, chociaż Paul nikomu o tym nie mówił. Równie szybko dowiedziała się o tym jego matka. Koślawym pismem i z wieloma błędami napisała do syna list z nagłówkiem: Ty światło moich oczu, ty moje życie.

Dalej widniało: Są dziewczyny, które przypominają kwiaty i anioły. Ale ty, mój synu, wieszasz sobie na szyi szmatę, w którą wszyscy się już wytarli. Ta kobieta nie kocha ani ciebie, ani swojego kraju. Zatruje ci serce. Nie przekroczy progu mojego domu. Rzucasz swoje życie na gnój. Proszę cię, moje dziecko, skończ z nią.

Pod ucałowaniem nie napisała „twoja mama”, lecz postawiła swój podpis, wyćwiczony i z zawijasami, jakby była odczytana. Paul był pewny, że ktoś podyktował jej ten list. Pieszczotliwe zwroty znał tak dobrze jak jej pismo. A kto wymalował jej podpis. Ona sama, powiedział Paul.

Nauczyła się podpisywać od jego ojca, przychodziło jej to tak łatwo, jak cerowanie rajstop czy dojenie owiec. Ojciec Paula był zdania, że podpis jest odzwierciedleniem człowieka, więcej można wyczytać z podpisu niż z oczu. Ponieważ jego żona rzadko musiała pisać, ale często podpisywać formularze w fabryce, po nieudanym styczniu nauczył ją przynajmniej robić zakrętas, ćwiczył z nią na brzegu gazet. Z powodu tego listu do dziś nie znam matki Paula. Rok po śmierci męża, kiedy zdjęła żałobę, przysłała Paulowi zdjęcie. Ondulacja, okrągła twarz, nalana ze starości, udająca dobroć. Emerytowana ślusarka, która po okresie żałoby po raz pierwszy znowu siedzi w cukierni i je ciasto. Z krótkich rękawów wokół łokci flakowato zwisa ciało. Na ręce nosi męski zegarek, małą łyżeczkę trzyma wszystkimi pięcioma palcami. Lewą ręką przyciska torebkę do kolan.

Paul opowiedział, że na jednym zebraniu nie milczała i zabrała głos w sprawie przeciągu w hali.

— Mężczyznom to dobrze — powiedziała — założą dwie pary długich spodni i się nie przeziębą, ale nam kobietom przewiewa cipki.

Wszyscy się śmieli, zrobiła wielkie oczy i poprawiła się:

— To znaczy, przewiewa nam interes.

Po zebraniu, w drodze do domu, ojciec Paula spoliczkował ją, mówiąc:

— Czy nie pojmujesz, że i mnie kompletnie rujnujesz.

Wyładował swoją wściekłość na ulicy, nie potrafił poczekać, aż dojdą do domu. Być może też dlatego, że potem by się już na to nie odważył. To był jedyny raz, kiedy ją uderzył. Od następnego dnia miała ksywkę: „interes”. Nazywano ją tak w fabryce aż do emerytury.

Zanim pobraliśmy się, inżynier wezwał Paula do siebie i powiedział:

— Też sobie wyłowileś sztukę, ta dama pomyliła cię ze swoimi Marcellami. Jeszcze możesz się wycofać.

To, co on powiedział, mało mnie obchodziło. To, co odpowiedział Paul, było zbyt śmiało, jak zawsze, kiedy coś jest absolutnie słuszne:

— Ubiegałem się o córkę Stalina, ale niestety obiecali ją już komuś innemu.

Do tej odpowiedzi doszedł nasz ślub, inżynier czekał na kolejne spotkanie Paula. I gdyby Paul nie powiedział, że robotnicy wychodzą na golasa z fabryki, zarzuciłby mu coś innego. Potknięcia znajdują się zawsze, skradzione ubrania nigdy.

Chwała Bogu, że na moście nie ma przystanku. Nie chcę patrzeć na rzekę, nieprzyjemnie mi się robi, gdy widzę, co niesie jej woda. Niezależnie od tego, czy to, co zobaczyła, odbija się w niej jak w lustrze, czy też zostanie wyrzucone na brzeg, rzeka wszystkim zawraca w głowie, a mnie do tego ścisła za gardło. A jednak muszę patrzeć. Wydaje mi się, że wierzyby są wyższe, w ten upał poziom wody nie jest wysoki. Słońce wędruje nad nimi, liże ognistymi językami i pali igłami. Mężczyzna z teczką siedzi zgarbiony,

mruga oczami. Ważne jest, do czego służy ta teczka, stawiają przy szybie. Właściwie jest mi to na rękę; gdyby nie to, że rzeka zamieszła mi w głowie, mogłabym patrzeć tylko na teczkę. Po obu stronach wagonu przebiega poręcz, za nią zatknięta jest teczka, jak zapadniowe drzwi. W środku teczki są kartki, prawdopodobnie papiery sądowe z nazwiskami, stemplami, podpisami i czynem. Sąd nigdy nie oznacza niczego dobrego. Czy ten mężczyzna jest osobą postronną, która chce wszystko jeszcze raz przeczytać w spokoju, czy oskarżonym, któremu przed ostatnią rozprawą podarowano chwilę wytchnienia. Tak czy inaczej, tylko mu pozazdrościć, on wie, co napisano w jego aktach. Ja jestem wezwana na punkt dziesiątą, a on może już przed dziewiątą jechać do domu. Ma porządne ubranie. Czy oskarżony, który wybiera się wczesnym rankiem na rozprawę, goli się starannie i uważa na spinki do mankietów, kanty i wyczyszczone buty. Oczywiście, miałby powód, by sprawiać nienaganne wrażenie, w odróżnieniu od sędziego powinien nawet, choć nie zmienia to w niczym jego czynu. A może ten z teczką jest po prostu próżny i codziennie wygląda jak spod igły, obojętne, dokąd by szedł. Do tego potrzebna byłaby praca, przy której nie można się pobrudzić. A może jest tym i tym, z pewnością zdarzają się również oskarżenia sędziowie. Istnieją tak błahе powody ciężkich błędów, z pewnością również ludzie noszący spinki pasujące do mankietów bywają oskarżani. Również sędziowie, którzy na pamięć znają wszystko, czego prawo zabrania. Ale jeśli ich dzieci zrobią coś, co nie jest dozwolone. One też rosną poza domem i nie są inne niż Lilli i ja. Kimże jest moja mama, od niej nikt niczego nie chciał, kiedy napisałam kartki. Tato nie żył, ojczym Lilli był już na emeryturze. Gdyby on lub mój tato byli sędziami, ani Lilli przed ucieczką, ani ja przed napisaniem kartek nie spytałybyśmy ich o pozwolenie. Również dzieci sędziów słyszą coś o świecie, jak każdy w tym kraju jeżdżą nad Morze Czarne. Wyglądają na zewnątrz i tak jak wszystkich ogarnia je tęsknota za czymś nieokreślonym, od stóp do czubka głowy. Człowiekowi wcale nie musi się źle powodzić, żeby pomyślał: To nie może być całe moje życie. Dzieci sędziów wiedzą równie dobrze jak Lilli i ja, że niebo nie kończy się przy żołnierzach na granicy i ciągnie się do Włoch czy Kanady, gdzie jest lepiej niż tu. Niech szczęście mnie nie opuszcza, żądają wszyscy, ale nie od pograniczników. Jeden od Boga, drugi od pustego nieba. Obojętne, od kogo, czasami wszystko kończy się dobrze. Czasem czerwono jak grządka maku, czasem samotnie w opuszczeniu, jak w przypadku oficera Lilli, czasem ogólnym mętlikiem, jak u mnie. Wcześniej czy później, tak czy inaczej, ale przynajmniej się próbowało.

Paul przyszedł do domu na bosaka, zapasowe buty kolegów nie pasowały na niego. Tym razem nie potrzebował koszuli, było przecież upalne lato. Spodnie musiał pożyczyć. Kończyły się dwie szerokości dłoni nad kostkami, zmieściło by się w nich trzech Paulów, wokół bioder obwiązał się drutem. W domu śmiał się ze swojego wyglądu i podrygiwał w korytarzu. Spodnie wisały mu w kroku do kolan. Wyciągnął rękę i okręcał mnie coraz szybciej wokół siebie. Moje ucho było przy jego ustach, nucił piosenkę, zamknął oczy i przycisnął moją rękę do piersi. Czułam szybkie bicie w dłoni i powiedziałam:

— Nie szalej tak, twoje serce fruwa jak dziki gołąb.

Tańczyliśmy wolniej, łokcie ustawiliśmy między sobą, tyłki wypięliśmy tak daleko, jak to było możliwe, brzuch i nogi miały miejsce na wygibasy. Paul pchnął moje lewe biodro i zakołysał się, potem prawe, potem jego brzuch odtoczył ode mnie, a moje biodra kołysały się same z siebie. W głowie miałam tylko ten takt.

— Tak tańczą starzy ludzie — powiedział. — Wiesz, że mój ojciec nazywał kanciaste biodra mojej młodej matki kośćmi od tanga.

Trąciłam zakurzone palce u nóg Paula moimi, z paznokciami pomalowanymi na czerwono, i zaśpiewałam:

*Świecie, świecie, siostró świecie,*

*kiedy się tobą nasyce.*

*Gdy mój chleb wyschnie,*

*a ręka zapomni kieliszka,*

*gdy deska trumienna wokół mnie zastuka,*

*wtedy może się tobą nasyce.*

*Kto się urodził, rozpacza,*

*kto umarł, gnije...*

Cóż za pogodzenie się z losem: piosenka, w której śmierć nadchodzi jako podarowana część opłaconego życia, doprowadziła nas do śmiechu. Śmiejąc się, przełknęliśmy ją i nie wypadliśmy z taktu. Nagle Paul odepchnął mnie i krzyknął:

— Ała, zamek szczypie.

Chciałam go otworzyć, nie dało się. Kiedy Paul wyjął drut ze szlufek i rzucił go w kąt, siedzenie spadło mu na pięty, a z przodu spodnie zawisły. Powinnam obciąć przycięte włosy łonowe, ale ze śmiechu nie byłam w stanie tego zrobić. Drżącą ręką Paul zabrał mi nożyczki:

— Dzieciaku, spadaj.

— Dokąd — spytałam.

Dałam Paulowi nożyczki, ale śmiać się musiałam nadal, coraz bardziej bulgocząco, to było jak atak. Śmiać się tak długo, póki nie wydostanę się z tego śmiechu. Głęboko wdychać i wydychać jednocześnie, pękać od powietrza i mieć go za mało, to był koniec. Ale początek był szczęściem. Że do śmiechu można tańczyć, że zerwała się krótka smycz, na której zawsze byliśmy uwiązani. Że piosenka o śmierci owiała nam od środka ciepłem skronie. To musiało być szczęście. Szczęście trwało tak długo, dopóki nie zaczęliśmy się przed sobą wstydić, dopóki smycz nie zrobiła się krótsza od nosa. Potem Paul przecesał sobie palcami włosy, a ja stuliłam palce, wbijałam paznokcie w dłonie jak ukarane dziecko.

Ta cisza po szczęściu przyszła tak, jakby meble dostały gęsiej skórki. Upadliśmy na twarz, z powrotem w sytuację bez wyjścia, Paul pierwszy. Zawsze się bał, że przyzwyczaimy się do szczęścia. Podczas gdy ja śmiałam się jeszcze, on obciął sobie włosy łonowe, nożyczki wisiły na wieszaku na klucze, olbrzymie spodnie leżały w kącie. Paul przyszedł w slipkach z pokoju na korytarz i stał w słońcu, w długim czworokącie, który między podłogą a ścianą zginał cień jego nóg powyżej kolan.

— Dlaczego śmiejesz się tak długo, aż zacznasz się cieszyć z czyjegoś nieszczęścia — spytał.

Brzmiało to tak, jak gdyby Nelu powiedział:

— No i masz znowu swoje brudne szczęście na opak.

W przypadku Nelu coś w tym było, miałam je, ponieważ było mi bardzo potrzebne. W wyrządzeniu

krzywdy Nelu był nie do prześcignięcia. Ale mój język był szybszy, moje ręce zręczniejsze niż jego. Podczas golenia zapominał włosów na brodzie, podczas zaparzania kawy grzałka wypadła mu z garnka. Podczas wiązania butów robił supły, trwało to wieki, a porządna kokardka nie wychodziła nigdy. O guzikach potrafił dużo mówić, ale przyszyć nie umiał żadnego.

— Znowu wylądowałaś z ręką w nocniku — mówiłam, kiedy mu coś nie wychodziło.

Co kilka dni uderzał się skronią w drzwi od szafy. Kiedy świeżo zatemperowany ołówek spadał mu na podłogę, pochylał się i zapominał, że nad jego głową jest otwarta szuflada. Na widok świeżego guza mówiłam:

— Dzisiaj znowu zakwitł fiołek.

I śmiałam się, aż umykał z mojej pogardy na dziedziniec fabryki, żeby przed innymi znowu coś znaczyć. Niezależnie od tego, jak długo go nie było, kiedy przychodził, wciąż jeszcze śmiałam się albo zaczynałam od nowa. On masował swój świeży guz, a zielononiebieskie z poprzednich dni widniały obok.

Możliwe, że moje napady śmiechu z powodu Nelu przypominały te z Paulem. Jednakże w przypadku Nelu ważna była pogarda, od początku cieszyłam się z jego nieszczęścia. Nelu zasłużył sobie na każdą niedolę. Cokolwiek by mu się przydarzyło, uznałabym, że to za mało. Czułam satysfakcję, kiedy Nelu nie mógł znieść mojego szczęścia na opak. Ale brudne ono nie było. Brudne było jego szczęście, które przyciskało mnie do muru, aż zostałam zwolniona. Gładko się golić, wiązać buty, przyszywać guzik to są umiejętności dobre na własny użytek. W fabryce nie stanowią dowodu na przydatność, tam liczy się coś zupełnie innego...

Po tym jak Nelu mnie skrzywdził, tym bardziej ćwiczyłam się w szczęściu na opak. Od czasu pierwszej kartki mój śmiech sprawiał wrażenie, jakby gwizdał na wszystko. Nie mógł mnie jednak przed niczym uchronić.

Po naszym tańcu Paul pojechał jawą do miasta kupić sobie dwie pary butów. Jedną do noszenia i jedną zapasową do szafy z narzędziami. Patrzyłam za nim, czerwona jawa była w dole na ulicy tak piękna jak powleczona czerwoną emalią puszka na kawę na kuchennym stole. Przeszłam przez plamę słoneczną w korytarzu i nie wiedziałam, co z sobą począć. W komórce znalazłam moje pierwsze ślubne buty, białe. Drugie były brązowe. Leżały na nich sandały Paula z ubiegłego lata, z dziurami w podeszwach. Jesień przyszła w ciągu nocy, niskie niebo, deszcz wgniatał nadgniłe liście w ziemię. Z dnia na dzień wrzuciliśmy letnie rzeczy w najdalszy kąt i potrzebowaliśmy pieniędzy na zimowe ubrania, nie na drogie podeszwy do sandałów. Chociażby z powodu pogody nie poszłabym do szewca z letnimi butami. Długo potrwa, zanim znowu przyjdzie ich czas. Było wystarczająco dużo spraw pierwszej potrzeby.

Plama słoneczna rozłożyła się całkiem na podłodze, nie dotykała jednak pożyczonych spodni, jeszcze nie. Ja też ich nie ruszyłam. W mieszkaniu panowała cisza, która rozciąga człowieka od podłogi do sufitu, a tam przecież nie można przebywać. Nawet talerz spadający ze stołu czy obraz ze ściany, tak jakby mój tato miał znowu umrzeć, byłyby lepsze. Z ociągającymi się rękami przeszłam przez słoneczną plamę do pokoju i zamknęłam okno, wyjrzałam jednak przedtem na zewnątrz: na chodniku, gdzie nie może parkować żaden normalny człowiek, siedzą dwie osoby w czerwonym samochodzie. Jedna wymachuje rękami, druga też. Przeszłam z pokoju na korytarz, potem do kuchni, i znowu na korytarz. Znam dobrze ten stan, kiedy zanim jeszcze przyjdzie do głowy, co trzeba właśnie zrobić, już się to zapomina. Tam i z powrotem człapiącym lub bocianim krokiem, szybko uciec stamtąd, gdzie znalazł się nos. Wrzuciłam ślubne buty do komórki i zamknęłam drzwi. Wzięłam sandały Paula i wytarłam je z pajęczyn. Do prawej podeszwy przykleiła się



rozdeptana jeżyna. To przez nią, ale też przez czerwony samochód, wszystko naraz stało przede mną jak żywe: ostatnie lato nad rzeką, nagość Paula po prysznicu w fabryce, nasze tańce w korytarzu, to, jak brutalnie Paul wyrwał mi nożyczki z ręki.

Lepiej byłoby mieć w głowie rzeczy, których można dotknąć, zamiast myśli, nad którymi mędrkuje się bez końca. Ludzie, których chce się zatrzymać lub pragnie się ich pozbyć, i przedmioty, które się zachowało lub straciło. Wtedy byłby porządek: pośrodku głowy stoi Paul, a nie moje wczepianie się w niego i jednocześnie odsuwanie w tej samej miłości. Po skroniach przebiegają chodniki, tak daleko, jak chcą, a na policzkach stoją sklepy z witrynami, a nie moje nieuzasadnione cele w mieście. W potylicy, tego nie da się uniknąć, w potylicy jest przysłany przez Albu chłopak na posyłki, który być może siedzi teraz na dole w czerwonym samochodzie, zanim zadzwoni do drzwi i wezwie mnie. Ustnie, żebym się bała, że pomyłę dzień, bo Paul lub ja źle usłyszeliśmy. Tak, byłoby lepiej, gdyby to chłopak na posyłki tkwił osobiście w mojej potylicy, a nie jego cichy głos, który wżera się w mózg i trwa we mnie jeszcze z poprzedniego razu, kiedy on już znowu stoi przed drzwiami. W karku wisi most nad rzeką i mój pierwszy mąż z walizką, ale nie prowokowanie do skoku. A w mózdzku, skąd pochodzi ponoć zmysł równowagi, stół, na którym wypoczywa mucha, zamiast kolacji bez apetytu. Jedynie solidne rzeczy, potrzebujące w głowie tylko tego miejsca, na którym stoją. Powierzchnie i kanty, które można podzielić na podporę lub ciężar i bez trudu odróżnić od siebie. A pomiędzy nimi pozostaje miejsce na szczęście.

Owinęłam sandały w gazetę, potem włożyłam je jednak w plastikową torbę, nie chciałam przechodzić obok czerwonego samochodu z pakunkiem z gazet. Chciałam zrobić coś dla Paula po tym, jak za długo śmiałam się z niego. I zobaczyć, jak wyglądają dwie twarze w samochodzie. I sama już nie wiedziałam, czy bardziej wabią mnie na ulicę te twarze, czy sandały Paula.

Niektórzy ludzie nie tylko oddzielają przedmioty od myśli, oddzielają również myśli od uczuć. Chciałabym wiedzieć, jak. Nie da się pojąć tego, że skrzydła jaskółek nanizanych na chmury nad polem fasoli przypominają wąsy Nelu, ale to tylko błąd. Tak jak w przypadku wszystkich błędów, nie potrafię rozstrzygnąć, czy to przedmioty, czy myśli chciały, żeby tak było. Ponieważ jednak tak jest, rozum musiałby dorosnąć do błędów, móc udźwignąć ich tak wiele, jak ziemia drzew. Zwinęłam dwa banknoty po pięćdziesiąt lei w małe czworokąty i wzięłam plastikową torebkę. Winda się otworzyła, moja twarz dała susa w lustro, zanim nogi podążyły za nią. Podłoga trzeszczała, wszystko toczyło się swoim torem.

Podeszłam blisko do czerwonego samochodu, tych dwoje powinno dostrzec, że w świetle zdarzają się omyłki i że to ja schodzę na dół, a nie oni wchodzą na górę. Przez otwarte okno rzuciłam pytanie do wnętrza samochodu:

— Czy mają państwo ogień.

Najchętniej bym dodała:

— Dziękuję, nie palę, chciałam tylko wiedzieć, czy mają państwo ogień. — Sądziłam, że od razu dadzą mi zapalki, żeby się mnie pozbyć, jednakże przeliczyłam się. Mężczyzna potrząsnął głową, a kobieta fuknęła:

— Nie, przecież widzisz, że nie palimy.

On położył rękę na kierownicy i zaśmiał się, jakby udał się jej piękny cios. Na jego sygnecie zabłysły dwie litery, A i N, a włosy kobiety lśniły wronią czernią w słońcu, kiedy mówiła mu coś na ucho. Jej twarz była tłusto brązowa od kąpieli słonecznych, na szyi wisały pstrokate korale z muszli. Powiedziałam:

— Przecież jest możliwe, że paliliście wcześniej, a kiedy odejdę, znowu będziecie palić. Czy też myślę to z obściskiwaniem się.

— Hej, madame — warknęła — jeżeli jesteś dzisiaj jeszcze niewyжебana, bo twój mąż łajdaczy się po pracy, przyprowadź sobie z baru jakiego typa z długą fujarą. Ten wybije ci już głupoty z głowy.

— Ach, nie — powiedziałam — poczekam, aż mój wróci, on ma słup telegraficzny i uniesie mnie do samego nieba.

Oczywiście, że nie obściskiwali się tutaj, tylko gdzie indziej. Ona od razu zrobiła się napastliwa, czuła się przeze mnie przyłapana. On też, inaczej nie siedziałby taki mały i niemy jak kupa gówna. Przypuszczalnie był na służbie, a ona osładzała mu czas. Zanim zamknęła okno, powiedziałam jeszcze:

— Wydaje mi się, że niewyжебane noszą tego lata korale z muszli... a może to zasuszone gówno gołębie.

Korale z muszli naprawdę tak wyglądały. Odchodząc, słyszałam własne kroki, było mi trochę niedobrze. Drzwi do baru stały otworem, nie zajrzałam do środka, patrzyłam na lipy, o których wiedziałam, że na pewno są trzeźwe. Dobiegały mnie jednak pijane głosy. Zapach wódki, kawy, środków dezynfekujących i letniego kurzu podążał za mną.

W zakładzie szewskim po raz pierwszy nie było słyhać muzyki. Zniknął magnetofon z bateriami przywiązany do obudowy kawałkiem gumy od spodni. Za stołem siedział młody mężczyzna z wystającymi zębami; kiedy zamykał usta, wargi się nie domykały. Ponieważ nie miał fartucha, myślałam, że jest to zięć szewca, akordeonista. Spytałam o starego szewca. Mężczyzna cztery razy się przeżegnał i powiedział:

— Nie żyje.

— Gdzie jest pochowany — spytałam.

Szukał czegoś w szufladzie, kartki, pomyślałam, ale on wyjął papierosa.

— Przynosi pani buty czy przychodzi szukać grobów.

Rozwinęłam buty z gazety, on dmuchnął dymem przed siebie i patrzył mi na ręce, jak gdybym mogła go zastrzelić butami w papierze.

— Był chory — spytałam. Skinął głową.

— Na co.

— Na brak pieniędzy — powiedział chłopak.

— Zabił się.

— Jak to.

— Ja tylko pytam, o niczym nie wiem.

Potrząsnął głową.

Kiedy umiera stary człowiek, młody nic na to nie poradzi, pomyślałam, ale może przynajmniej odczuwać współczucie. Ten krzywozęby jest zadowolony, że między sklepami, gdzie od rana do wieczora przychodzą klienci, zwolnił się warsztat.

Kiedy zgasił niedopałek w puszcze, powiedział:

— Grób jest na ulicy Morwowej. Wystarczy, czy mam też powiedzieć, w którym rzędzie.

— Wystarczy, mam tego dosyć.

— Ja też — powiedział — ale od marca, odkąd tutaj jestem, muszę mówić o starym szewcu.

— Myślałam, że jest pan jego zięciem.

— Uchowaj Boże. Pierwszego dnia tutaj przyszedł do mnie typ z okiem podbitym na niebiesko i zielono, wyglądał jak papuga, i wyprzątnął mi przed nosem cały zakład. Skórę, młotki, kopyto, klamry i gwoździe, wszystko zabrał, nawet papier szmerglowy, pastę do butów i szczotki. To nie należy do zakładu, powiedział mi. Człowieku, mówię, jak to, ja nic z sobą nie zabrałem, wszystko zostawiłem mojemu następcy w Josefstadt. Jeżeli chcę, mogę to od niego odkupić, stwierdził. Wie pani, oni czekali w domu, nie mieli pieniędzy nawet na chleb. Nie upadłem przecież na głowę, nie będę kupował tego, co należy do mnie.

— Szewc miał dużo klientów — powiedziałam — to miał też pieniądze.

— Jego córka wszystko przepiła — mówił chłopak — a zięcia zabiła, dlatego tak wyglądał. Spytałem go, kiedy wszystko stąd zabierał, czy też jest szewcem. Wtedy rozcapierzył swoje nędzne białe palce i powiedział: Co, czy wyglądam tak jak ty. W takim razie co chcesz zrobić z tymi rzeczami, spytałem. Grać na akordeonie, powiedział. Ach tak, od tego masz siniaki, powiedziałem. Nie, wycedził, te podarowała mi żona. W barze siedzi zawsze dwóch policjantów, zastanawiałem się, czy ich nie wezwąć. Ale tutejsi jeszcze mnie nie znają, mogą wyniknąć z tego tylko kłopoty. Akordeonista mógłby oświadczyć, że to ja go tak urządziłem, że wygląda jak papuga. Właściwie powinienem był to zrobić, podbić mu na niebiesko również drugie oko. Zasłużył sobie na to.

Na ulicy Morwowej rosną tylko akacje. Pijak mieszka na początku ulicy. Na końcu ulicy leży Lilli. A teraz również szewc. Stary szewc był zasuszony i mały, miał jednak duże dłonie i wypukłe paznokcie, zafarbowane na brązowo od skóry, piękne jak dziesięć uprażonych pestek z dyni. Kiedy przychodziłam do zakładu, przejeżdżał ręką po głowie, jakby miał tam włosy. Jego łysina pociła się w cichej muzyce ludowej płynącej z magnetofonu i świeciła jak szklane kule w kwiatnych ogródkach przed domami. Trudno było oprzeć się myśli, że pęknie, jeśli coś w nią uderzy.

— Jak tam, znowu wytańczyła pani dziury w butach — żartował. Nie wiem, czy żartował. Wiem tylko, że tuż przed tym, jak przyszłam do zakładu i stanęłam przed nowym szewcem, rzeczywiście po raz pierwszy tańczyłam w takt piosenki, w której śmierć nadchodzi jak podarowana część życia. Nie tańczyłam od czasu potańcówki w restauracji z moim pierwszym mężem, a z Pauliem jeszcze nigdy. Nie powinnam była od razu po tańcu z Pauliem pójść do szewca, powinnam odczekać przynajmniej jeszcze jeden dzień, wtedy szewc by żył. Ja byłam winna jego śmierci.

Zanim jego żonę wzięli do szpitala wariatów, szewc był muzykantem, tak jak jego brat, szwagier i zięć,

którzy do dziś co wieczór grają w restauracji na korso. Nie muzykiem, podkreślał, muzycy grają z nut, muzykanci — jak im dusza każe.

Nie lubię tańczyć i nie chciałam nigdy więcej mężczyzny, który robi to chętnie. Kiedy poznałam Paula, od razu skierowałam rozmowę na tańczenie.

— Czy to takie ważne, nie lubię tańczyć, kobiety tańczą chętniej. Znam tylko takich mężczyzn, którzy są zmuszani do tańca — powiedział Paul. — Tak, tańczą pół nocy z kobietą, żeby ją potem przez kwadrans pieprzyć.

— Niekoniecznie, mój były mąż tańczy chętnie — powiedziałam — przepada za tańcem. Mówisz, że jest to sprawa drugorzędna. Widać, że nigdy nie byłeś jeszcze żonaty.

Kiedy grała muzyka, przestawałam rozumieć mojego męża. Jego żądza tańca i moja nienawiść do tańca rozrywały więź między nami. Kiedy grała muzyka, dzieliły nas całe światy. Ja pogrążałam się w sobie, schodziłam na bok, stawałam się nijaka, on wychodził z siebie, swawolny jak nakręcona małpa. Kiedy się klóciliśmy, miałam wrażenie, że byłoby lepiej, gdybyśmy milczeli, żeby nie powiększać rozdarcia. Jednak kiedy milczeliśmy, lepsze byłoby każde grubiaństwo, ponieważ klótnię, podczas której dało się upust wściekłości, łatwiej sobie przebaczyć niż bezgłośnie liczone urazy. Musiało to być na początku września, oboje wzięliśmy urlop. Nie mieliśmy pieniędzy, żeby pojechać nad Morze Czarne albo w Karpaty. Postanowiliśmy więc zafundować sobie chociaż miły wieczór i poszliśmy w weekend do restauracji. Mój mąż chciał do Palace przy korso, gdzie rodzinna orkiestra szewca gra najlepszą muzykę w mieście. Moim zdaniem było tam za drogo. Pozostał w takim razie jeszcze Central, gdzie za dwieście lei można zjeść i potańczyć. Widocznie wielu ludzi podobnie jak my musiało się liczyć z pieniędzmi, bo restauracja była pełna. Mięso miało kwaskowaty posmak, surówka z kapusty pachniała proszkiem przeciw pchelkom ziemnym. Ponieważ białe wino można ochrzcić wodą, gdyż jest i zostanie przezroczyste, serwowano tylko takie. Większości ludzi jedzenie smakowało, talerze wycierali chlebem do czysta, oby tylko nic nie wróciło do kuchni. Żuli jak zające, żeby szybciej zacząć tańczyć. Ja marudziłam i zyskiwałam na czasie. Mój mąż jadł szybciej, ale w porównaniu z innymi dosyć spokojnie. Na rękę mi było, że orkiestra grała niemrawo, nie chciałam tańczyć. Ale mojemu mężowi to nie przeszkadzało, jego porywała każda muzyka. Spojrzałam na parkiet, tańczący podzielali jego nastrój. Ponieważ wszyscy tutaj liczyli się z pieniędzmi, wieczór musiał być wart wydatku, trzeba było się cieszyć. Mężczyźni piali, kobiety wydawały z siebie to warczące, głębokie „brrr, brrr”, to brzęczące, wysokie „juhu, juhu”. Po każdym utworze wszyscy śmiali się, wywracając oczami, i zataczali jak ciężkie ptaki, które muszą wylądować. Mój mąż zjadł, wytarł serwetką usta. Kiedy patrzyłam na niego przez kieliszek, jego nos był pofalowany i drgał. Mąż machał nogami, nad stołem pozostał sztywny, pod stołem trzęsła się ziemia. Powiedziałam:

— A może jednak jesteśmy w podróży — ziemia trzęsie się jak w wagonie restauracyjnym. Tańczylibyście nawet do skrzywienia drzwi albo grania świerszczy.

Nie, nie powinnam była powiedzieć „wy”, włączając go do nich, skoro przecież od jakiegoś czasu musiał się przyglądać tańczącym i cierpieć. Przesunął swój kieliszek z winem na środek stołu, popatrzył na mnie podłużnymi, wytrzeszczonymi oczami, których kąciki stały się nagle ostre jak dziurki od klucza. Wysunął wargi, gwizdał i wystukiwał obiema rękami takt na stole. Powiedziałam:

— Teraz jest gorzej niż w wagonie restauracyjnym, jesteś na głodzie.

Wkrótce będę mu potrzebna do tańca. Wkrótce to było teraz. Rozciągnął wysunięte do gwizdania wargi, przelotnie się uśmiechnął, zagwizdał ponownie, i ten chwacko uprzejmy przymus. To opanowanie, żadnych

kłótni, żebym tylko była poslušna. Kelner sprzątnął ze stołu, zostawił jedynie kieliszki. Przezroczyście drżący siedzieliśmy za nimi jak na szpilkach, tak jakby nie było ich na pustym stole — ja żadna kłótni, on przyczajony do tańca. On zwyciężył, ponieważ się opanował i nie wykorzystał żadnego zapalnego momentu, a mnie zaczęło się to wydawać zbyt głupie. Na co wydaliśmy pieniądze, których będzie nam jutro brakować. Przynajmniej on powinien powetować sobie tańcem złe jedzenie. Pociągnęłam go za rękę na parkiet. Wytańczyliśmy drogę wśród par, naprzód, do orkiestry. Okręcał mnie, klawisz akordeonu zlewały się jak żaluzja.

— Musisz się tak wieszać. Ramię mi drętwieje — powiedział.

— Nie mogę być lżejsza, niż jestem.

— Podczas tańca najgrubsze kobiety stają się lekkie, ale ty nie tańczysz, ty wisisz.

Pokazał mi najgrubszą kobietę w restauracji, matronę, która już podczas jedzenia rzuciła mi się w oczy. Przy stole niewiele zobaczyłam z jej białej sukienki w czarne figury szachowe, zauważyłam tylko, że musiała odsunąć talerz na środek stołu, żeby widzieć coś sponad piersi. Nóż i widelec na końcach jej krótkich, tłustych rąk ledwo dosięgały jedzenia.

— Jej sukienka wiruje, bo ma głębokie fałdy, a nie dlatego, że to ona jest lekka. Na ubraniach trochę się znam — powiedziałam.

— Ale nie na kobietach — odrzekł.

Figury szachowe wylatywały z białych fałdów. Śnieg i włosy ostów, biały koń mojego teścia, tort weselny, którego śnieżny lukier drapał mi podczas jedzenia czubek nosa. Ciężyła mi głowa. Nawet jeżeli musiałam tańczyć, nie miałam prawa wyrzucać mężowi, że jego ojcem był perfumowany komunista. Wzięłam się w garść, ale już robiłam to, co właśnie chciałam sobie wybić z głowy. Innym można wiele zabronić, najlepiej najbliższym, ale nie sobie samej. Gdy podczas tańca przed pływającymi klawiszami akordeonu mózg katował mnie tym, co minęło, mój mąż rozkoszował się bliskością matrony. Lekko dotknął ramienia mężczyzny, który prowadził figury szachowe i właśnie piał:

— Pana partnerka dobrze tańczy.

— No pewnie, a ja dobrze prowadzę — powiedział tamten.

Potem tancerz matrony piał dalej, matrona warczała, a mój mąż piał z nimi.

— Jeżeli jeszcze raz zapiejesz — powiedziałam — wezmę nogi za pas i pobiegnę, jak daleko tylko potrafię.

Zapiał jeszcze raz, ja wryłam się nogami w ziemię, matrona warczała „brr”, a ja nie ruszałam się z miejsca.

Pary wciąż się wymieniały. Zmiana partnerów następowała bez słowa. Ulegano intymnym prawom, które rządzą mężczyznami i kobietami, albo korzystano z szybkiego przypadku. Nie było widać żadnego dogadywania się. Wypadłam z taktu.

— Można by cię w garści zamknąć, ale kiedy tańczysz, twoje kości robią się ciężkie — powiedział mój

mąż.

— To złap sobie tę cysternę — powiedziałam — będziesz miał co obłapiać.

Staruszka z trzęsącą się głową szturcha mnie palcem: Słuchaj, nie masz aspiryny. Nie. Ale motorniczy, on ma przecież wodę, czy źle widzę. On ma przecież butelkę. Tak, ma butelkę, mówię. Jej oczy były kiedyś większe. Ale teraz, jak często u starych ludzi, zarastają od skroni bardzo cienką skórą jakby surowym białkiem. Kolczyki kiwają się wraz z głową, dwa owalne zielone kamienie. Od ich trzęsienia dziury w płatkach uszu są rozciągnięte, prawie rozerwane. Mogłabym dać jej tylko pastę i szczoteczkę do zębów. Może motorniczy ma aspirynę, mówię. Ten z teczką sięga do kieszeni: Wydaje mi się, że mam jeszcze jedną. Zmięty pasek celofanu szeleści, rozprostowuje go: Pusty, teraz przypominam sobie, dzisiaj rano wziąłem ostatnią. Przy targu jest apteka, mówi młody mężczyzna obok drzwi. Staruszka odwraca głowę: Potrzebuję tabletki teraz. Kiedy będzie targ. Idzie od oparcia do oparcia, trzyma się obiema rękami, aż dociera na środek wagonu. Motorniczy widzi ją w lusterku, usiądź, babciu, bo jeszcze się zdarzy nieszczęście. Powinnaś była pojechać inaczej, to byłoby bliżej. Staruszka toczy się aż do niego. Człowieku, przecież cię pytałam, powiedziałeś, że dobrze wsiadłam. Masz przynajmniej aspirynę.

— Bez miłości taniec jest bardziej męczący niż tłok w tramwaju — powiedziałam do teścia. — A jeżeli się kocha, zawsze znajdzie się coś lepszego do roboty, można też inaczej wyciągać nogi i wywoływać zawrót głowy.

— Co to znaczy: coś lepszego do roboty — zaprotestował. — Taniec nie jest przecież pracą, tylko przyjemnością, może nawet wrodzonym talentem, predyspozycją. I kawałkiem kultury. W Karpatach są inne tańce niż na pogórzcu, a nad morzem inne niż nad Dunajem, a w miastach inne niż na wsi. Tańca uczy się już małe dziecko od rodziców i krewnych. Twoja rodzina była lekkomyślna. Jeśli nie nauczyłaś się tego, coś przegapiłaś.

— Nie — powiedziałam — moja rodzina była raczej posępna niż lekkomyślna, po obozie nikomu u nas w domu nie było do śmiechu.

— Od tego czasu upłynęło już przecież wiele wody, to było przed twoim urodzeniem — powiedział. — Niektórym ludziom nie szczęści się w życiu i szukają usprawiedliwień. Mieli kiedyś pecha i zakładają, że to jest przyczyną wszystkiego. No proszę, ty jesteś za młoda, ale ja jestem wystarczająco stary. Uwierz mi, również bez obozu nie poszczęściłoby się im w życiu.

Był sylwester, famuła — tak ojciec mojego męża nazywał swoją liczną rodzinę — świętowała w bawialni teściów. Nigdy nie dowiem się dokładnie, co znaczy famuła. Mnie to słowo kojarzyło się ze sforą, ponieważ krewnych było tak wielu i każdy z nich na swój sposób czał się do ataku. I chociaż nie znosili się nawzajem, spotykali się nieustannie. Już sam mój teść wystarczał przynajmniej za dwie osoby. Wił sobie gniazdko w każdej piersi, żeby móc potem od środka dobrze kopać po żebrach. Przyszli Dawid, Olga, Walentyn, Maria, George i jeszcze kilku innych. Nie wiem, które imię do kogo należało. Wszyscy zdjęli buty, naliczyłam dziesięć par obok drzwi. Zjawił się najmłodszy i najstarszy brat mojego teścia, jeden z grubą, drugi z zasuszoną żoną. Średni brat leżał chory w domu, ale jego żona przyszła z bratem i ze swoją lub jego najstarszą córką i zięciem. Zięć był pijany jak bela. Ledwo teść wziął od niego płaszcz, już rzygał w łazience w kapeluszu i szaliku. Tej nocy zapamiętałam sobie dwa imiona: Anastazja i Martin. Kuzynka teścia nazywała się Anastazja, tak jak moja zmarła babcia. Miała około pięćdziesiątki, była jeszcze rzekomo dziewicą i od trzydziestu lat księgową w fabryce ciastek. Martin był owdowiałym ogrodnikiem i kolegą teścia. Miał w tego sylwestra zdobyć Anastazję. Jest raczej zimnokrwista, powiedział teść, ale u każdego kiedyś to zaskoczy.

Siedem, osiem razy w roku, kiedy przychodzili krewni, mój teść odwracał zdjęcie w bawialni tylną stroną do przodu. Pojawiała się famuła: jego rodzice z sześciorgiem dzieci. Matka i ojciec na koźle, każde z nich z jedną dziewczynką na kolanach. Na grzbiecie każdego z dwóch brązowych koni siedziało po dwóch chłopców. We wszystkie inne dni w pokoju wisiał biały koń, na którym siedział młody mężczyzna z krótkim pejszem w dłoni, w błyszczących butach do konnej jazdy. Był to i nie był mój teść, wtedy nazywał się inaczej niż teraz.

Tańczyłam z moim mężem, prosiłam, żeby mnie nie okręcał, kołysaliśmy się tylko na boki. W obecności ojca bardziej nad sobą panował. Tańczyłam z zięciem, który po wyrzyganiu się nie był już tak pijany jak na początku. Powłóczył nogami, przy fokstrocie zgubił skarpetkę. Martin podniósł ją i powiesił na ramieniu żyrandola. Potem taniec z jego teściem czy wujkiem, potem z braćmi mojego teścia, potem z Martinem. Starzy mężczyźni chwyтали mocno, niemi tancerze, musiałam pozwolić okręcać się bez słowa. Kiedy stanął przede mną teść z rozpostartymi ramionami i rozluźnionym krawatem, powiedziałam:

— Usiądź ze mną przy stole, można przecież też sobie coś poopowiadać.

— No co ty — powiedział — taniec odmładza.

Tuż przedtem był w łazience, unosił się nad nim zapach perfum. Z miseczki na rogu stołu wziął czereśnię z likieru. Czereśnię smakowały jak kompot i można było się nimi upić. Zjadłam już o kilka za dużo i czułam ich opary w głowie. Teść włożył czereśnię do ust i oblizał czerwony sok ze wskazującego palca. Jego druga ręka dawała mi znaki. Wstałam. Ssał pestkę od czereśni i wcisnął mi rękę w krzyż, aż poczułam, co ma w spodniach. Nie byłam tego ciekawa, rok później też nie, kiedy jego syna powołali do wojska. Układałam ręczniki w szafie, a on uklęknął za mną i całował moje łydki.

— Chodź, zobaczysz, to pomoże ci przetrwać jego nieobecność.

Zwarłam nogi, zamknęłam szafę i powiedziałam:

— Nie cierpię cię.

Mógł zapytać, czemu, wtedy bym mu coś opowiedziała. Ale on powiedział:

— No proszę, człowiek wysila mózg, jak pomóc dzieciom, a spotyka go coś takiego.

Chciał zastąpić swojego syna. Kiedy oferowałam się mojemu tacie, żeby zastąpić warkoczastą, było to nagląco konieczne, i byłoby też możliwe. Tym razem nie. Mąż i teściowa nigdy się o tym nie dowiedzieli, nie przeczuwali również, co wiedziałam o białym koniu, perfumowanym komuniście i zmianie nazwiska. On zastąpił już raz samego siebie, miał w tym wprawę. Zabiłaby mnie szafa, gdybym zapomniała. Nie zrobiłam z tego szumu, również wtedy trzymałam głębę na kłódkę, żeby famuła nie spotkała swego nieszczęścia.

O trzeciej nad ranem noc sylwestrowa zmieła nasze twarze, jakbyśmy przeżyli w tym pokoju cały rok. Ochota na wżenione w rodzinę ciała przeszła w ziewanie. Małżeństwa, które we wzajemnym zaufaniu spuściły siebie na tę noc z oka, znowu się odnalazły. Teściowa klóciła się z mężem, ponieważ zbiła się kryształowa karafka. Najstarsza córka ze swoim zapitym, ponieważ wypalił sobie papierosem dwie dziury w spodniach. Mój mąż wyrzucał mi, że wypijałam za Nowy Rok najpierw z Martinem, potem dopiero z nim, i że w ogóle tego nie zauważyłam. Zaszuszone małżonka lamentowała, że jej mąż zgubił jeden ze swoich złotych guzików do mankietów. Pokazał nam wszystkim ten, który jeszcze został na prawym rękawie,

szukaliśmy w łazience, pokoju i na korytarzu, znaleźliśmy stare guziki od spodni, monety, spinki do włosów, zakrętki do perfum i ułożyliśmy je w rzędzie na obrusie. Najmłodszy brat kłócił się ze swoją grubą żoną, ponieważ zapodziała gdzieś kluczyki do samochodu. Wysypała zawartość torebki na stół. Wypadła z niej chusteczka, dwie aspiryny i malutki święty Antoni z zardzewiałego żelaza.

— On nam pomoże — powiedziała i pocałowała go.

— Zezryj go — powiedział jej mąż — może wtedy będziesz czynić cuda i otworzysz drzwi do samochodu palcem.

Martin oparł brodę na stole i jeszcze raz oglądał sobie po kolei łydki kobiet. Nikt nie zwracał na niego uwagi, o tej porze nie należał już do rodziny. Światło kłuło, przy skórze jego głowy błyszczał srebrzysty półcentymetrowy odrost, nitka po nitce. Włosy miał pofarbowane na brązowo.

Nikt nie znalazł guzika od mankietu, w końcu przestali szukać i nakładali w korytarzu płaszcze i buty. Anastazja wyszła z łazienki z zardzewiałą pęsetą. Kapało jej z rąk, włosy wokół czoła były mokre, a z podbródka zwisała kropla wody.

— Dlaczego pijesz z ręki — spytała moja teściowa. — Szklanek mamy pod dostatkiem.

Anastazja zaczęła płakać:

— Muszę wam to powiedzieć: wdowiec prześladował mnie dzisiaj w nocy w łazience. Do czego to podobne, to przecież nie uchodzi.

Peseta leżała obok innych znalezisk na stole, do złudzenia podobna do małego świętego Antoniego, tyle że nikt jej nie całował. Anastazja włożyła płaszcz i z rozmachem otworzyła drzwi.

— Poczekaj — odezwał się mój teść — inni też zaraz idą.

— Nie potrzebuję towarzystwa — powiedziała.

Brat ze zgubionym guzikiem od mankietu pokazał na jej nogi:

— Nie chcesz chyba pójść w pończochach.

Anastazja znalazła kluczyk do samochodu w swoim bucie.

— Święty Antoni przyniósł jednak szczęście — powiedział teść do swojej zasuszonej szwagierki.

— I tak nikt w to nie wierzy — odpowiedziała i przycisnęła Anastazję do siebie: — Martin chciał spróbować szczęścia, nie bierz sobie tego za bardzo do serca, mogło przecież z tego coś wyjść.

Martina już nie było, nikt nie wiedział, kiedy i jak wyszedł. Zapomniał szalika, który wisiał w korytarzu.

Kiedy wszyscy poszli, teść przekręcił zdjęcie na właściwą stronę. Teściowa zdjęła skarpetkę z żyrandola, otworzyła okna i drzwi między ulicą a podwórzem. Wwiał do środka lodowato zimną noc. W przeciagu kołysał się żyrandol, powiewał krawat teścia i włosy jego syna. Wtedy biały koń ze ściany zrobił krok w moim kierunku, pierwszego stycznia przyszedł zabrać zmęczonych świętowaniem ludzi. Wycofałam się na



korytarz. Teść ziewał i ściągał krawat przez głowę. Jego żona zbierała z dywanu do ręki okruchy chleba i ciasta, i pestki czereśni.

— Zanim pójdziemy spać, trzeba zanieść naczynia do kuchni — powiedziała.

Nie miałam zamiaru pomagać. Jej mąż położył krawat na stole, manipulował przy jego pętli, aż spoczęła w akuratnym kole, jak w witrynie sklepu.

Szybko powiedziałam „dobranoc”.

— Sny z dzisiejszej nocy sprawdzą się — oznajmił. Wszystkie noworoczne rozmowy famuły zaczynały się od zgubionego guzika od mankietu. Tutaj w domu go nie ma, chyba że wpadł do klozetu, to się zdarza. Ja wiedziałam, że było inaczej, i powiedziałam mojemu mężowi, że złoty guzik od mankietu leży w szkatułce na biżuterię na nocnym stoliku jego rodziców.

— Po co wężysz — spytał.

— Ponieważ guzik od mankietu nie ma nóg — powiedziałam. Kiedy znowu zajrzałam do szkatułki, już zniknął. Na Wielkanoc teść pysznił się złotą szpilką do krawata:

— Od mojej kochanej żony.

Tak znowu kochana przez niego nie była, o czym dobrze wiedziała. W zakładzie ogrodniczym miał kochankę w moim wieku, która zajmowała się zwalczaniem roztoczy i mszyc. Ponieważ jej pełnego tytułu — towarzyszką inżynier od zwalczania pasożytów roślin uprawnych — nikt nie mógł wymówić, nie wybuchając śmiechem, nazywano ją towarzyszką inspektorką od mszyc. Teściowa co niedziela była szczęśliwa, że jej mąż nie idzie do pracy. Ale na Wielkanoc jej twarz skruszała jak ciasto francuskie, nie mogła się na niego napatrzeć, a on był tak zajęty swoją szpilką do krawata, że w tę niedzielę nie wymknął się chyłkiem z telefonem do łazienki, żeby zadzwonić do kochanki. Teściowa zaczerpnęła powietrza i powiedziała:

— Zaniósłm mój stary pierścionek do złotnika, był już na mnie za mały.

Ścisnęło mnie w gardle. Mój mąż patrzył na mnie podłużnymi, znieruchomiałymi oczami, jak zawsze, gdy zmuszał mnie do milczenia. Powiedziałam mu na ucho:

— Twoja matka kłamie prawdą, guzik od mankietu naprawdę nie wystarczył na szpilkę do krawata dla twojego ojca, jej pierścionek też zniknął.

Tłusta mucha bzyczy, zataczając strome koła wokół głowy motorniczego. Siada mu na ręce, on zamierza się na nią. Siada mu na szyi, on podnosi rękę. Potem uderza się w kark, aż słycać donośne klaśnięcie. Ona ucieka i siada na ramie okna. On chce ją wygonić przez otwarte okno na ulicę. Ona ucieka. Nie słycać bzyczenia, szyny są głośniejsze. Co jest, pyta staruszka, jesteś taki zdesperowany. Mucha, odpowiada motorniczy. Ach tak, bez okularów nie widzę takich drobiazgów. Zaraz przyleci do ciebie, mówi on. Dlaczego jej nie zabięś, pyta ona. Nie może jej dopaść, wyjaśnia mężczyzna z teczką, musi przecież kierować, a nie polować na muchy. To by dopiero było, wykoleić się z powodu muchy. Do mnie nie przyleci, śmieje się staruszka, ja za bardzo się trzęsę. To dobrze, mówi motorniczy, dzięki temu masz spokój z muchami. Nie, mówi ona, to nic dobrego. Sam zobaczysz, jak będziesz stary. Komary przylatują mimo tego, no tak, i pchły. Ja mam grupę krwi A, to najlepsza krew dla pcheł, tak powiedział mi lekarz. Ja

mam grupę AB, mówi ten z teczką. A panienska, pyta staruszka, zaciska krzywo usta i czeka. Zero, odpowiadam. Zero to jest krew cygańska, mówi staruszka. Zerowi mogą oddawać krew dla wszystkich, ale dostawać mogą tylko od zerowych. Motorniczy uderza się w skroń. Ty ścierwojadzie, krzyczy, poszukaj sobie kogoś innego, ja jeszcze nie zdechłem, a kupą gówna też nie jestem. Przepędza muchę w naszą stronę. My też nie zdechliśmy. Ja jestem tutaj najmłodsza, byłabym ostatnia w kolejce do zdychania. Ja też mam zero, mówi motorniczy. Mucha trzepocze się na szybie jak migotanie w oczach. Jej brzuch błyszczy tak zielono i jest tak duży jak drzące kamienie w uszach staruszki.

Chętnie chodziłam do warsztatu starego szewca, ponieważ był rozmowny.

— Muzyka jest moim życiem — mówił — ale tutaj jest potrzebna też po to, żeby nie słyszeć szczurów. W domu również słucham muzyki przed zaśnięciem. Kiedyś moja Wera podśpiewywała cały dzień. Wieczorami była czasem tak zachrypnięta, że musiała pić gorącą herbatę z miodem.

Jego żona co roku sadziła latem dalej wzdłuż siatki, tam gdzie przed południem świeciło słońce.

— Moja Wera miała dobrą rękę do roślin — opowiadał — wszystko, co wsadziła w ziemię, kwitło. Jednak ostatniego lata, które spędziła w domu, dalej wypuściły w połowie łądyg obce liście: korony cesarskiej, cynii, ostróżki, floksów. Podobnie stało się potem z kwiatami, na każdej łądyżce chaos. Te dalej były cudem, ale jakimś szalonym. Ludzie przystawali przy ogrodzeniu. Moja córka wykopała wszystkie dalej, zanim przekwitły, żeby wiatr nie rozniósł nasion obłądu. Wera była zawsze cichym człowiekiem, ale od tamtej pory nie odzywała się ani słowem. Ponieważ fizycznie nic jej nie dolegało, a w domu nie było z niej żadnego pożytku, córka wysyłała ją codziennie na zakupy. Kiedy Wera wracała ze sklepu, przynosiła fasolę zamiast ziemniaków, ocet zamiast wody mineralnej, zapałki zamiast papieru toaletowego. Jej stan nie poprawiał się, dlatego pewnego dnia córka dała jej listę zakupów. Moja zapominalska Wera pokazała kartkę w sklepie, ale do domu przyszła znowu ze sznurowadłami zamiast pasty do zębów, z pinezkami zamiast papierosów. Córka poszła natychmiast do sklepu. Sprzedawca i kasjerka pamiętali kobietę z kartką. Nie, powiedzieli, nie kupiła ani sznurowadeł, ani pinezek, tylko pastę do zębów i papierosy, dokładnie tak, jak było napisane na kartce. Sznurowadeł w ogóle nie mamy, od tygodni są już zamówione, ale jeszcze ich nie dostarczyli. A pinezek w naszym sklepie nie było nigdy. Potem wysyłaliśmy Werę tylko na godzinny spacer przed południem. Często wracała z nie swoją torebką. Zazwyczaj był w środku jakiś dokument. Na podstawie adresu córka mogła oddać cudzą własność i odebrać rzeczy matki. Od czasu kiedy torebka Wery nie znalazła się, a coraz więcej cudzych pojawiało się w domu, Wera mogła wychodzić tylko z pustymi rękoma. Któregoś dnia po spacerze zamiast chustki miała na głowie kapelusz. Zimą nie wypuszczaliśmy jej na dwór z powodu zimna. A następnego wiosny wyszła jeszcze trzy razy na ulicę w sukience, a wróciła zadyszana w spódnicy i bluzce. Wtedy zgodziłem się, żeby oddać Werę do domu wariatów. Jak okiem sięgnąć nie było koło nas żadnego sklepu z ubraniami, z kradzieżą ta cała historia nie miała nic wspólnego, jedno jest pewne, Wera nigdy by niczego nie ukradła. Ludzie z sąsiedztwa mówili, że Wera na ulicy sprawiała zupełnie normalne wrażenie, była wprost niezauważalna. Ale gdy ją ktoś pozdrawiał, nie odpowiadała. W biegu mówiła: Muszę się pośpieszyć, mam ryż na ogniu.

Stary szewc przystawił kciuk i palec wskazujący do kącików ust: Dzisiaj to już nieważne, bagatela, tak jak wiele rzeczy w życiu.

Ja też opowiedziałam szewcowi o mojej zmarłej babci i o tym, jak dziadek po śmierci mojego taty powiedział, że życie jest jak pierdnięcie w latarni, nie oplaca się nawet założyć butów.

— Ma rację — stwierdził szewc — to musiał być prawie filozof, głupi człowiek na to nie wpadnie.

Potem pokazał na drewnianą ścianę, gdzie na każdym gwoździu wisiały buty:

— Tylko to z butami widzę inaczej, w przeciwnym razie nie miałbym co do gęby włożyć.

Napięta pod wargami, poźółkła od wosku skóra między kciukiem a palcem wskazującym szewca zamieniła się w błonę.

— Moja Wera przynajmniej sama doprowadziła się do takiego stanu. Ale w domu wariatów są z nią dwie młode kobiety, które zwariowały na policji, chociaż nic nie zrobiły. Jedna ukradła z fabryki wosk na świecę, druga worek kolb kukurydzy z pola. No niech pani sama powie, cóż to takiego.

— Nie mam ani gumy, ani skóry na zelówki — powiedział młody szewc. Wsunął ręce w sandały Paula jak w rękawice z jednym palcem, przekreślił je podszwami do góry i przyjrzał się rozdeptanej jeźynie. Jego wystające zęby otwierały się i zamykały, byłam myślami gdzie indziej. Chłopiec z wężami z pyłu umarł, bo nie miałam cierpliwości do zabawy. Tato, ponieważ nie chciał się dłużej przede mną ukrywać. Dziadek, gdyż skłamałam, że nie żyje. Lilli z powodu powiedzenia: słońce okrągłe jak kula. A stary szewc dlatego, że tańczyłam za nasycenie się światem. Krzywogęby znowu zawinął sandały w gazetę.

— Niech pani zajrzy za dziesięć dni, to zobaczymy, co dalej.

Widziałam już wystarczająco daleko, skinęłam głową i wyszłam.

Na ulicy ze sklepami fruwał wiatr, lipy upuszczaly zielone wiązki grochu. Na każdej wiązce dwa płatki skóry. Nie miały nic wspólnego z ząbkowanymi listkami w kształcie serca na gałęziach. W górze na niebie, w letnim wieczorze, stała kanapa z białych chmur. Z drzwi apteki wysliznęła się kobieta z buteleczką w ręce. Płyn, zatyczka z gazy i kciuk kobiety były w kolorze indygo. Spytałam o godzinę. Kobieta powiedziała:

— Zaraz będzie wpół do dziewiątej.

Nie za dziesięć dni, jak sugerował młody szewc, tylko właśnie tego dnia między siódmą a wpół do dziewiątej chciałam zrobić coś dla Paula. Nie udało mi się. Aptekarka siedziała w witrynie plecami do ulicy, na bosaka, obok stopy małych pudełek z chińskimi podpisami. Nie zmieściłyby się w nich nawet guzik od płaszcza. Przypominały pudełka prezerwatyw, na których obok chińskich liter widniał motyl. Lilli powiedziała kiedyś:

— Chińczycy są sprytni, swoje dobre gumki eksportują do Ameryki dla Chińczyków w Chinatown, dzielnicy Nowego Jorku. Dziurawe przysyłają Bułgarom i nam.

W każdym z pudełek aptekarki tkwił kłębek waty, a w każdym kłębku szklane oko. Układała szklane oczy, jasno- i ciemnobrązowe, w zielone cętki, jasno- i ciemnoniebieskie, w szeregu na gołym drewnie. Jasnobrązowe oczy pasowały do Paula, policzyłam je. Potem ciemnobrązowe dla mnie. W aptecce było więcej oczu dla Paula. Za szybą, w głębokiej czerwieni słońca, aptekarka zaczęła układać drugi rząd. Siedziała w akwarium. Zastukałam w szybę, odwróciła głowę, odgarnęła włosy z czoła i wróciła do pracy. Oczy w szaro-zielone cętki były dla niej.

Biała kanapa na niebie, aptekarka w akwarium, groch na lipach, sandały Paula jako jednopalczaste rękawice młodego szewca, ulica Morwowa z akacjami — po śmierci starego szewca nic już nie trzymało się w ryzach. Wiatr nie rozniósł po mieście nasion obłędu z dali Wery, ale posiał szwindel między

sznurowadłami a pastą do zębów, papierosami a pinezkami, chustką na głowę a kapeluszem. Tego czerwonego wieczoru w mieście jest zalecana ślepotą, dla wszystkich starczy szklanych oczu. Ale wieko od trumny stuka szczególnie tym, którzy w takt piosenki o nasyceniu się światem chcą wytańczyć sobie szczęście. Tak, chcielibyśmy nosić koronę i nasycić się światem. Ale czy nie jest na odwrót, czy to nie świat nasycił się nami, a nie my nim.

Nami, to nie znaczy wszystkimi. Nie wszyscy wariują, tak jak nie wszyscy zostają wezwani. Lilli nie została wezwana, chociaż liczyłam się z tym jeszcze wiele tygodni po mojej pierwszej kartce. Chciałam ją przygotować na to, że podczas pierwszego przesłuchania podniebienie wzniesie się jej słodkavo do mózgu. Tak samo podczas drugiego przesłuchania i następnych, ale potem człowieka trudniej przestraszyć. Lilli się nie bała.

— Przecież nie widziałam twoich kartek.

Jak gdyby to mogło uchronić przed wezwaniem. Jak gdyby ci, którzy nie wiedzą nic, poza tym, jak skacze serce ze strachu, nie byli najłatwiejszą zdobyczą. Z podniebieniem w mózgu podpisuje się szybko. Prawdopodobnie wypytywano Nelu i dziewczyny z pakowni o mnie. Nelu mnie nienawidził, dziewczyny prawie nie znały, byłam im obojętna. One mnie też, ale to, że słowa utykały im w gardle, kiedy na korytarzu otwierały się drzwi, nie oznaczało niczego dobrego.

Lilli miała rację, nigdy nie została wezwana. Na szczęście, chociaż wiem, że chroniłaby mnie. Siebie jednak by nie uchroniła. Jedyną rzeczą, o jaką mnie Lilli zapytała w związku z przesłuchaniami, było:

— Ile lat ma twój major.

— Dobra jesteś, dlaczego mój — powiedziałam. Odmłodziłam go o dziesięć lat: — Koło czterdziestki.

— O mój Boże — powiedziała Lilli, teraz, kiedy już nie wchodził dla niej w rachubę. Przy tym wiedziałam, że już za pierwszym razem palce Albu powędrowałyby po ciele Lilli. Ona by się zgodziła lub go odrzuciła, w obu przypadkach okrutnie by się na niej zemścił. Kilka dni po tej rozmowie Lilli powiedziała, że jej rodzice pokłócili się. Matka nie chciała wypuścić ojczyma z domu. Powodem było rendez-vous, ale nie z kobietą. Mowa była o kiosku z gazetami w parku, gdzie ojczym miał się zjawić po południu o piątej. Matka Lilli powiedziała:

— Dzisiaj nigdzie nie pójdziesz, zadzwonię do centrali i powiem im, że jesteś chory. Po co wszędzie, gdzie się spojrzy, rosną dzieci, ostatnie słowo należy do ciebie, niech poszukają sobie młodszych.

Stanęła mu na drodze. Ojczym wetknął do kieszeni portfel i odsunął ją:

— Ostatnie słowo, chyba ostatnie słowo skazańca, ty to masz wyobrażenia. W domu jesteś bohaterką — krzyczał — ale na targu szybko wciskasz mi do ręki arbuza, trzymasz łapę w pogotowiu, żeby ten osioł podporucznik mógł cię w nią pocałować. A potem jeszcze jako kobieta mówisz: Zaszczyt po mojej stronie. Tutaj w domu zbiera ci się na odwagę, ale jak ktoś taki się pojawia, nie możesz przelknąć śliny ze strachu. Weź lepiej krople na serce.

Chciałam wiedzieć, jak pogrywa sobie życie, i w drodze od szewca do domu przebiegłam w myślach wszystkie możliwości nasycenia się światem. Pierwsza i najlepsza: nigdy nie być wzywaną i nie zwariować, jak większość ludzi. Nigdy nie być wzywaną, ale zwariować, jak żona szewca i pani Micu, ta z parteru, to jest druga możliwość. Trzecia: zostać wezwaną i zwariować, jak te dwie doprowadzone do szaleństwa

kobiety w domu wariatów. Być wzywana i nie zwariować, jak Paul i ja, to jest czwarta. Możliwość szczególnie dobra, ale w naszym przypadku najlepsza z dostępnych. Na chodniku leżała rozgnieciona śliwka, osy obżerały się, młode i stare. Jak to jest, kiedy cała rodzina mieści się na jednej śliwce. Słońce opuszczało miasto, idąc w stronę pól. Na pierwszy rzut oka miało krzykliwy wieczorowy makijaż, na drugi było ranne — czerwone jak grządka polnego maku, powiedział oficer Lilli. Tak, to jest piąta możliwość: być młodą, piękną nie do zniesienia, mieć po kolei w głowie, ale być martwą. Żeby być martwą, nie trzeba nazywać się Lilli.

Zaniosłam znoszone sandały z powrotem do domu. Czerwony samochód nie stał już na chodniku, po pustym asfalcie niczego nie można było poznać, niedopalki papierosów nie wiedziały, co się tu działo. W kontenerach na śmieci tłukły się koty, szukały czegoś do jedzenia, zanim noc zniesie wszystkie rewiry, zanim przyjdą obce koty z zielonym światłem w oczach i obsłużą się tak, że lament głodu i skowyt parzenia zleją się w jedno. W porównaniu z tym letnim wieczorem moja twarz była chłodna. W bloku obok dźwięczały naczynia, ktoś coś upuścił. Ludzie jedli o tej porze. W połowce księżycy przepychała się twarz kozy i twarz psa. Zaraz powinno się rozstrzygnąć, która nadaje się na tę noc, czasu pozostało niewiele. Kapało ze skrzynek z kwiatami na pierwszym piętrze, wiatraczek kręcił się i warkotał między petuniami, które miały dużo wody, żeby rosnąć, kiedy księżyc zdecyduje się na jakąś twarz. Wiele zrobiłam tego dnia, na przekór wszystkim niepowodzeniom znalazłam dla nas najlepszą możliwość: Nie zwariujemy.

Moje szczęście na opak beczelnie pulsowało w skroniach, nie byłam najgłupsza. Sklepy były już zamknięte, a w naszym kuchennym oknie paliło się światło. Paul czeka pewnie z dwiema parami nowych butów i z pytaniem, które powinien założyć, a które odłożyć do szafy z narzędziami. Powinien założyć ładniejsze. Może jego ładniejsze będą dla mnie brzydsze, tak jak było ze zdjęciem Lilli. Mam tylko jedno jej zdjęcie, często na nie patrzę. Kiedy mówię o jej urodzie, w którą nikt nie wątpił, Paul marszczy czoło:

— Co w niej było takiego pięknego, ty podobasz mi się o wiele bardziej, nie kłamie. Najpiękniejsze w niej jest to, że tak bardzo ją lubiaś.

Kiedy to słyszę, chciałabym nie mieć twarzy, już wiele razy powiedziałam:

— Paul, masz dobre serce, ale kiepski gust.

Jednak tego wieczoru pragnęłam opowiedzieć Paulowi podczas mierzenia butów o szklanych oczach w witrynie i o możliwości, że nie zwariujemy, a przede wszystkim o tym, że nie jestem najgłupsza.

Obok bloku stał motor z oberwanym lusterkiem i światłem, z rozdartymi siedzeniami, przekrzywioną kierownicą i wygiętymi pedałami. Czerwona jawa Paula, przeszedł mnie dreszcz. Kiedy czekałam na windę, czułam się, jakbym nie była w swojej skórze, tylko leżała podzielona na kawałki w skrzynkach na listy na ścianie. Ale skrzynki na listy zostały na ścianie, kiedy otworzyła się winda, a ta, co wsiadła, to byłam ja, najgłupsza z głupich.

W drodze powrotnej ze sklepu szara ciężarówka jedzie za Paulem, cały czas widać ją w lusterku. Paul chce ją przepuścić i zjeżdża na bok. Nie ma dużego ruchu. Jedzie powoli, ciężarówka podjeżdża bardzo blisko, pośrodku ronda tak blisko, jakby chciała przejechać pod jawą. Naraz motor wylatuje w powietrze, potem leci Paul bez motoru i spada jak martwa gałąź z drzewa. Kiedy ośmiela się otworzyć oczy, widzi trawę i słyszy głosy. Wokół niego stoją buty, spodnie, spódnice, a w górze twarze. Paul pyta:

— Gdzie jest motor. Leży przy krawężniku.

— Gdzie jest ciężarówka.

Nikt jej nie widział.

— Gdzie są moje buty.

— Masz je na nogach — mówi stary mężczyzna w krótkich spodenkach.

— Te na kierownicy w torbie, gdzie są tamte.

— Do diaska — mówi stary — cudem masz nadal zęby w gębie, a teraz potrzebujesz jeszcze butów. Masz anioła stróża, czy to ci nie wystarcza.

— Mój anioł stróż jeździ szarą ciężarówką — mówi Paul — gdzie on się podział.

— Ciężarówka... musisz raczej przestać szarżować.

Nogi w krótkich spodenkach są jak marmur, całe w żyłki, bez jednego włoska. Kiedy zebrani zobaczyli, że Paul ma wszystkie zęby i z głową też wszystko w porządku, każdy poszedł swoją drogą. Stary pomaga mu wstać, potem postawić motor. Potem daje mu swoją chusteczkę:

— Wytrzymaj sobie przynajmniej krew z brody.

— Czy widział pan szarą ciężarówkę.

— Wiele rzeczy widziałem.

— Czy widział pan jej numer rejestracyjny.

— Los nie ma numeru.

— Ale ciężarówka ma.

— Pozostańmy lepiej przy losie, bo twój anioł stróż może się obrazić — mówi stary.

W tym czasie Paul wyciera sobie świeżo wyprasowaną chusteczką krew z brody.

Teraz Paul leżał w ciemnym pokoju na łóżku, a kiedy skończył opowiadać o wypadku, spytał mnie:

— Czy brudną chusteczkę się oddaje, czy zatrzymuje.

Wzruszyłam tylko jednym ramieniem; im więcej Paul opowiadał o starym, tym mniej był on jedynie przypadkowym przechodniem. Po chwycie z chusteczką pojawił się następny.

— Chyba jeszcze bardziej niż wypadek wkurza mnie to, że znowu ktoś mi ukraść dwie pary butów.

Spoglądałam przez okno, ulica daleko na dole, cicha, pusta, a księżyc, księżyc zdecydował się na twarz kozy. Jeśli nie popełnił żadnego błędu, ona nada się na tę noc. Do połowy wychylona przez okno, powiedziałam:

— Kiedy ostatnim razem zostałam wezwana, Nelu, całując mnie w rękę, powiedział z dziwnym uśmiechem na twarzy: Często jeździsz przecież z mężem nad rzekę, od czasu do czasu zdarzają się wypadki samochodowe.

Kozia twarz trwała w bezruchu, niebo jechało, a pokój kołysał się, kiedy przestałam wyglądać przez okno. Może jednak ludzie nie bez powodu pytają, czy się nie boję, że blok się przewróci.

Paul zapalił światło:

— Dlaczego mówisz mi to dopiero teraz.

Cóż można wyjaśnić płonącym oczom.

— Nie wierzyłam w to. Myślałam, że dla odmiany Albu wymyślił sobie wypadek, bo zużyły się już zaczerwienione oczy, skurczone dziąsła, zimne dłonie.

Na zewnątrz ciemna noc, a w środku jasno, przez gadanie w zmroku nie zabraliśmy się do ran na czole Paula, na brodzie, na kostkach u rąk, kolanach i łokciach. Krew zaschła w brudzie. Przyniosłam watę i spirytus z łazienki. Chciałam objąć Paula i nie ośmieliłam się, obtarcia przeszkadzałyby nam, a nic by to nie dało. Przejechał ręką po włosach i wykrzywił twarz, jakby już to bolało.

— Poradzę sobie — powiedział.

Paul szybko i mocno przemyślił skaleczenia na kolanach, na łokciach i kostkach. Kiedy tak piekło, że potoczyły się łzy, wytarł oczy, póki jeszcze coś widział, wewnętrzną stroną ramienia. Czoło i brodę pozwolił mi oczyścić, ponieważ nie chciał stanąć przed lustrem. Robiłam to inaczej niż on, z wahaniem, on śmiał się umęczony, aż nie wytrzymałam i powiedziałam:

— Komu chcesz zaimponować. Kiedy boli, trzeba krzyczeć.

I krzyknął, ale nie „ała”, lecz:

— Przyjrzyj mi się dobrze, to zobaczysz, co przemilczałaś.

Chwyił mnie za szyję i ścisnął jak kleszczami. A ja zrobiłam to, co mi rozkazał, naskoczyłam na niego oczami. Oczyszczona przeze mnie rana na brodzie błyszczała surowizną, czułam ją w oczach jak kęs wyplutego arbuza. Potem zobaczyłam walizkę mojego pierwszego męża stojącą na moście. W tej chwili powinnam była powiedzieć, musiałam powiedzieć, powinnam umieć powiedzieć: Nikt więcej nie może mnie tak dotknąć w miłosnej nienawiści, zrozumiałaś, nigdy w życiu. Zamiast tego oderwałam jego ręce od szyi. Co się zaczyna tym chwytem, kończy się głową do dołu na barierce. Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała odpowiedzieć tym samym. Mam nadzieję, że pewnego dnia nie będę musiała tak sobą pogardzać przed Paulem, jak pogardzał sobą przede mną mój pierwszy mąż.

— Od jutra jeździmy autobusem i tramwajem — powiedział Paul — nie będziemy ułatwiać życia tym szarlatanom.

Niepewnym krokiem poszedł do kuchni. Drzwi lodówki otworzyły się, zamknęły, słychać było bulgotanie, Paul pił z butelki, oby nie wódkę, ale przecież na pewno nie wodę. Kieliszek zabrzęczał na regale, stuknął o stół. Słyszałam, jak Paul go napełnia, nie był duży. On pił powoli, a ja czekałam. Nie

odstawił kieliszka, nie odsunął krzesła, żeby usiąść. Stał teraz w kuchni z kieliszkiem w podrapanej ręce. I jeżeli księżyc tam dowędrował, kozia twarz widziała jego bezradność, a jego pokiereszowana twarz odwzajemniała spojrzenie.

Na futrynie drzwi, tuż koło mnie, siedział komar, beczynnie pojmany w świetle niczym broszka. Nie miał się na baczości, mogłabym go zabić. Kiedy zgasimy światło, zaczniesz śpiewać i zaspokoisz głód. Ma szczęście, dzisiejszej nocy nie musi się wkluwać, może zebrać krew ryjkiem. Niestety, ma wyczulony węch, więc wybierze mnie, krew Paula będzie mu na pewno zbyt mocno pachniała wódką.

— Ten stary z chusteczką wydaje mi się jakiś podejrzany — zawołał Paul z kuchni. — Uśmieł się pewnie ze mnie do łez. Z tego szczęścia, że żyję, nie zrozumiałem niczego, prawie niczego.

Wódka albo kozia twarz wyzwoliły Paula od strachu, mnie natomiast komar nie pomógł.

Spytałam:

— Czy widać księżyc z kuchni.

Następnego ranka słońce przebierało palcami po łóżku, na moim ramieniu swędziały dwa ukąszenia, jedno na czole i jedno na policzku. Poprzedniego wieczora wódka zanurzyła Paula we śnie, mnie wciągnęło do niego zmęczenie, zanim jeszcze nadleciał komar. Przystałam zastanawiać się przed zaśnięciem, jak trzeba ułożyć głowę, żeby wytrzymała dnie, ponieważ nie wiedziałam tego. Wiedziałam natomiast, że zadając sobie takie pytanie, można się oduczyć spania. Pierwszy tydzień po kartkach, kiedy trzy dni pod rząd byłam wzywana, nocą nie mogłam zmrużyć oka. Nerwy zamieniły się w migoczący drut. Żadnego ciężaru, jaki powinno mieć ciało, tylko naciągnięta skóra i powietrze w kościach. W mieście musiałam się mieć na baczości, aby nie wymknąć się sobie jak oddech zimą albo żeby samej siebie nie połknąć podczas ziewania. Nie potrafiłam otworzyć ust tak szeroko, jak bardzo marzłam od środka. Zaczęłam się czuć, jakbym była niesiona przez coś lżejszego ode mnie i tym większe znajdowałam w tym upodobanie, im bardziej głuchłam wewnątrz. Z drugiej strony bałam się, że ta cała upiorność stanie się jeszcze piękniejsza, i że palcem nie kiwnę przeciwko niej i po to, żeby zawrócić. Trzeciego dnia droga do domu zapędziła mnie od Albu do parku. Położyłam się twarzą do dołu w trawie i nie czułam jej. Chętnie leżałabym pod spodem obojętnie martwa, ale i żyłam tak piekielnie chętnie. Chciałam się wypłakać, a zamiast łez dostałam ataku śmiechu. Dobrze, że ziemia brzmi głucho, wyśmiałam się do upadłego. Kiedy wstałam, byłam tak pusta, jak już dawno mi się to nie zdarzyło. Obciągnęłam z każdej strony sukienkę, doprowadziłam do porządku fryzurę, sprawdziłam, czy źdźbła trawy nie utknęły w butach, czy nie mam zielonych rąk i brudnych paznokci. Dopiero wtedy wyszłam z parku, z zielonego pokoju na chodnik. Zaraz potem zaszeleściło mi w lewym uchu, wpełzł mi do niego żuk. Hałas był jasny i głośny, w całej głowie szczydła kołatały się po pustej sali.

Tak, komar wybrał mnie, ja mu się poddałam. Nie musieliśmy sobie nawzajem przeszkadzać. Powinno być zabronić mu mojej twarzy. Przy świetle dziennym strupy na czole i brodzie Paula wyglądały jak brudne sito, o którym nikt nie wie, co się w nim zatrzyma, a co przeleci.

— W nocy paliło mnie całe ciało — powiedział Paul — było mi sucho w ustach, musiałem wciąż podchodzić do okna, inaczej bym się udusił.

Potarł oczy. Na ulicy ze sklepami nastąpiła przerwa w samochodowym hałasie, zaraz potem zadźwięczały butelki. Podeszłam do okna: do tylnych drzwi podjechał samochód dostawczy, a na chodniku stał czerwony samochód, na tym samym miejscu co wczoraj, tylko że nikt w nim nie siedział. Całkiem pusty w słońcu;



pytanie, co on tutaj robi, było tak niedorzeczne, jakby to samo chciało się wiedzieć o drzewach, chmurach albo dachach. Niewiele brakowało, a przyznałabym to miejsce pustemu samochodowi. Palce Paula strzelały na podłodze, na chodniku w dole jakaś kobieta weszła w swój cień. Letnie chmury były jasne i wysoko, a raczej miękkie i blisko, Paul i ja tutaj na górze, nie na tej półce, za bardzo zmęczeni, za daleko od ziemi. Nikt z nas sobie nie życzy, aby powstrzymać porażki. Myślę, że nawet Paul tego nie chce. Klęska szczęścia spada bezbłędnie i zgina nam karki. Szczęście stało się zbyt dużym wymaganiem, a moje szczęście na opak zasadzką. Kiedy chcemy się nawzajem oszczędzać, nigdy się to nie udaje. Tak jak teraz, gdy Paul podszedł do mnie do okna, a ja przejechałam czubkiem palca po jego brodzie, żeby nie wystawił głowy. On wyczuł w czułości przeszkodę i wychylił się: zobaczył czerwony samochód. Czułość ma swoje pułapki, kiedy chce utkać nici jak pająk, sama się do nich przyklejam, moja sieć zbija się w bryłki. Pozostawiłam Paulowi okno, czerwony pusty samochód również dla niego był wart tylko jednego z tych przekleństw z przyzwyczajenia. Potem jednak zszedł bez słowa w kapciach na dół i wwiózł jawę windą na górę. Wtaszczyliśmy motor do mieszkania. A dwa dni później, w niedzielę, Paul popchał go po ulicy Morwowej na pchli targ.

Postanowiłam zostać w domu. Nie chciałam przejść ulicą Morwową, nie odwiedzając Lilli i nie szukając grobu szewca. A to mogłoby potrwać. Niechętnie chodziłam na grób Lilli. Lilli i mnie mogłabym znieść, ale nie jej czerwone nagrobne kwiaty. Mój teść nazywał je Tradescantia. Na rynku nazywały się wiedenki, dla mnie były mięsnymi kwiatami. Czerwone łodygi, liście, kwiaty, każda roślina była aż po czubek garścią skrawków mięsa. Lilli karmiła je, a ja stawałam u jej stóp i wkładałam palce do ust, żeby zęby nie szczękały. Po wypadku Paula nie ciągnęło mnie na żaden grób świata. Poza tym chciałam zachować jawę, nawet jeśli nie można nią już jeździć.

Nasza miłość okręciła się wokół siebie, poznaliśmy się na pchlim targu, a motor był przy tym. Teraz Paul po raz pierwszy od tamtego czasu szedł na pchli targ — żeby pozbyć się jawy. Powiedział:

— Jeżeli zatrzymamy motor, będziemy zamknięci w podłóci.

Zamknięci czy nie, ja chciałam zostawić go w domu, ponieważ to wypadek był podłócią, a nie motor. I to, że Paul i motor, obaj równie poturbowani, stoją na pchlim targu w wirującym kurzu i czekają, to też była podłóć. Powiedziałam:

— Nie idź tam ze strupami na twarzy.

Paul nic sobie z tego nie robił:

— Zobaczmy, może wróci twoja nadmuchiwana piłka.

Ale wrócił jedynie stary z nogami z marmuru. Tip-top, w niedzielnym garniturze, w przewiewnym kapeluszu słomkowym i jedwabnym krawacie. I Paul sprzedał mu jawę i uważał, że stary nie jest ze służb bezpieczeństwa, bo nie zapłaciłby więcej niż inni. Nie wiem. Paul przyszedł z targu późnym wieczorem i pijany. Wziął sobie kielbasę z lodówki i chleb z szuflady. Przy każdym kawałku, którego dotykał podczas jedzenia, pytał:

— Co to jest.

— To jest kielbasa — powiedziałam.

— A to.

— Pomidor.

— A to co ma być.

— Chleb.

— A co to jest.

— Sól i nóż, a tamto to widelec.

Paul spojrział w moją stronę, żując, jakby musiał mnie szukać.

— Kielbasa, pomidor, sól i chleb — powiedział — ale ty też jesteś tutaj.

— A gdzie ty byłeś — spytałam.

Trzonkiem noża pokazał na swoją pierś.

— W mojej koszuli i przy tobie.

Wsadził sobie kawałek skórki od chleba do kieszeni koszuli:

— Jeśli wkrótce zostanę aresztowany... jeśli ty wkrótce...

Przeżute jedzenie ciągnęło za sobą słowa w dół, do gardła. Kiedy zjadł, włożył sztucce do zlewu, a chleb do szuflady, starł okruchy ze stołu:

— Jeżeli czekają nas jeszcze dzisiaj odwiedziny, powinno być czysto.

Po kilku minutach przyszedł do pokoju i przysiadł się do mnie na brzegu łóżka:

— Czy dzisiaj w tym domu nie będzie nic do jedzenia.

— Przecież jadłeś.

— Kiedy.

— Pięć minut temu.

— Co jadłem.

Wyliczyłam mu wszystko. Skinął głową.

— A więc człowiek jest syty.

Wtedy ja skinęłam.

Dobrze, że nie powiedział TWÓJ CZŁOWIEK. Właściwie to jego sprawa, że przepił pieniądze za jawę. Wcale nie chciałam wiedzieć, ile. Moją sprawą jest to, że już nigdy więcej nie będę podczas jazdy tak

głupia jak szczęście, że nigdy więcej nie polecą niebo, że nigdy więcej nie przywrę do pleców Paula. Boli to, że nie poszliśmy za te pieniądze do restauracji w Myśliwskim Lasku jak wtedy, kiedy poznaliśmy się na targu. Paul miał wypadek beze mnie, stracił motor i może nie życzył sobie, żebyśmy zachowywali się jak na stypie. Chciał wymieść to z pamięci, tak jak zmiótł okruchy chleba ze stołu. Tak jak i mnie po rozstaniu z pierwszym mężem chodziło o wymiecenie wszystkiego, co było.

Stałam wtedy na targu, żeby pozbyć się przedmiotów, od których mnie odrzucało. W przypadku obrączki chodziło o pieniądze, miałam długi. Paul stał koło mnie i sprzedawał anteny własnej roboty do odbioru budapeszteńskich i belgradzkich programów telewizyjnych. Anteny nie były dozwolone, ale tolerowane, i sterczały na wielu dachach w mieście. Tutaj na targu, na niebieskiej ceracie Paula, którą szarpał wiatr, przypominały poroża. Zdjęłam buty i przycisnęłam nimi gazetę, na której leżał mój kram. Miałam brudne nogi i wciąż jeszcze robiłam się tak szybko nieszczęśliwa, jak kiedyś między aleją a fabryką chleba z węzami z pyłu i uśpionym chłopcem. Nikt z tych, co się tutaj snuli, nie dostałby złamanego grosza za to, co miał na grzbiecie, ale też każdy mógłby z zamkniętymi oczyma wziąć z ziemi pierwszy lepszy łach i go włożyć. Tylko u wojskowych i policjantów rzuciłoby się to w oczy, ponieważ na ziemi nie było żadnych mundurów. Ani źdźbła trawy, ani jednego drzewa, kupa ludzi i lato ubogich w latającym kurzu. A ja sprzedawałam tutaj złoto.

Za mój wełniany szal dostałabym trzy razy tyle, na plastikowych bransoletkach i broszkach, plażowym kapeluszu i dmuchanej piłce można było zarobić grosze. Miałam wrażenie, że w mojej krótkiej, wąskiej spódnicy, z obrączką na sznurku, który zwisał mi z nadgarstka aż do ziemi, wyglądam jak mieszanka dwóch przebiegłości. W połowie nielegalna handlarza na progu bankructwa, która decyduje się pokazać ciało, uszlachetnia swój towar przez pożądlivość. A w połowie jedna z tych małych kurewek z różem na policzkach, które czasami podczas stosunku podwędzają klientowi złoto. Zepsucie zrobiłoby tutaj wrażenie, szybko i pewnie jak dwa razy dwa, można by się było w ten sposób dorobić kupy pieniędzy. W wyobraźni podobałam się sobie zepsuta i pożądliva. Zgięłam lekko prawą nogę, piętę postawiłam na lewej stopie, rozcapierzonymi palcami roztrzepałam włosy nad czołem, spoglądałam wyczekująco i miękko, wyłaniając się z tego, co miałam. Tyle że byłam pewna: moje krzywe nogi obniżają klasę krótkiej spódnicy, mojej szyi brakuje połysku mlecznego szkła, a mojemu spojrzeniu rozgoryczenia, które strąca mężczyzn na dno. Najbardziej frywolną rzeczą był we mnie zakurzony wiatr. Tak naprawdę nie wiedziałam nawet, ile gramów waży obrączka i ile kosztuje gram złota. Ja należałam do obrączki, nie ona do mnie. Miejcie litość dla tej gęsi, taką scenę odegrałabym lepiej. Ale tutaj byłoby to nie na miejscu.

Stary mężczyzna zważył obrączkę w rękę, sprawdził przez lupę próbę po wewnętrznej stronie.

— To przecież złoto, cóż by innego — powiedziałam.

— Ile chcesz za nią, dwa tysiące, zgoda.

— Nie wiem, czy ją sprzedam.

— Dwa tysiące sto, dawaj, dobijemy interesu.

— Łatwo panu mówić.

— No dobrze, zrobię jeszcze rundkę.

— Kiedy pan wróci.

- No, za jakiś kwadrans.
- Wtedy może już nie być obrączki.
- To dawaj ją.
- Hola, hola, nie tak szybko.
- Ile mam zaferować.
- Ma pan przy sobie pieniądze.
- Na Boga i wszystkich świętych, mam przykleić je na czole.
- Ostatnia cena.
- Dwa tysiące dwieście, no już. Masz zamiar coś sprzedać, czy chciałabyś do dziadka na kolana.
- Jeszcze się zastanowię.
- Czegóż to szuka taka młoda kotka na polowaniu — krzyknął.

Omijałam go wzrokiem, schował lupę i wahał się z odejściem. Chętniej zrobiłby interes niż kolejną rundę z pustymi rękami. Przede mną nie stał w tym kurzu nieznany dziadek w świeżo wyprasowanej koszuli w niebieskie paski, któremu siada się na kolana. Jego brzuch, ręce i skronie były pożyczone od oficera Lilli. Słońce okrągłe jak kula tkwiło tego dnia w wacie.

Paul miał wielu klientów, pokazywał swoje anteny i rozdawał kartki z kierunkami geograficznymi na Budapeszt i na Belgrad. Siedziałam w przysiadzie, spódnica całkiem mi się podwinęła, obciążałam ją bez sensu. Stary miał rację, lustrowałam Paula od dołu, tak jak kot przygląda się człowiekowi. Obok Paula stał motor, czasami ktoś się o niego zaczepiał. Podskakiwałam, czekając, aż upadnie, i znowu zobaczę, jak umiera tato. Paul zażądał dwa tysiące lei za antenę i zainkasował połowę. Przed młodym małżeństwem, któremu cena wydawała się za wysoka, Paul złożył ukłon:

- W takim razie wznóście wasze serca tak jak dotąd w kierunku Bukaresztu, dobrej zabawy.

Potrafił dobrze się targować, mówić bezczelnie, nie obrażając. Ja za to oddałam pierwszemu lepszemu, szczerbatemu i z podwójnym podbródkiem, mój plażowy kapelusz, do bransoletek pasowały mi mocno owłosione dziewczęce ręce i każda suma. W fabryce dwa razy w miesiącu koperta z wynagrodzeniem pojawiała się na stole jak z powietrza, przesyłka od niewidzialnej ręki. Wszyscy chowali pieniądze, nie przeliczając, i wyrzucali kopertę. Nie można było zmienić tego, co było na niej napisane, pozostawało się szarym i było z tym wygodnie. Pilnie potrzebowałam pieniędzy, nie wiedziałam jednak, jak zachwalić kram, z którym chciałam się rozstać, i jak zarobić pieniądze, stojąc z kimś nos w nos.

Przy ogrodzeniu leżała pęknięta betonowa rura. Na jednym końcu siedział mężczyzna, nalewał czerwone wino z blaszanego kanistra do starego okrągłego klosza z mlecznego szkła i wypijał je do dna. Na drugim końcu inny mężczyzna wybrał miłość, miał na kolanach dziecko, całował je we włosy. Z pęknięcia w rurze między nimi wystawał zardzewiały drut. Poprzestawiałam nas troje w mojej głowie. Ten z dzieckiem pił z klosza, ja też to potrafiłam. Potem ten z kanistrem miał pocałować dziecko, ale zapomniał, jak się to robi.

Ja, z obrączką na sznurku, nigdy się tego nie nauczyłam. A obrączkę obaj sprzedaliby szybciej niż ja. Kurz unosił ziemię do nieba, to był jakiś nieudany dzień. Jedynym klientem przed dwiema ostatnimi antenami był w tej chwili wiatr. Paulowi zwężyły się oczy:

— To twoja obrączka.

Czy zdradziło mnie słabe skinięcie, czy też od dawna już wiedział, że jestem młodą kotką na polowaniu.

— Żądać sześciu tysięcy — powiedział — nie schodzić poniżej pięciu.

Mucha usiadła na moim paluchu i ukłuła mnie, a ja przyglądałam się jej kątem oka i wstyd mi było ją ukatrupić, ponieważ natychmiast musiałam powiedzieć:

— Moje małżeństwo nie było tyle warte.

— Kto to mówi, ty czy twój mąż — spytał Paul.

Potem musiałam iść do ubikacji, na koniec targowiska, do dwóch drewnianych wychodków.

— Obrączkę zostaw — powiedział Paul.

Że też o tym pomyślał, że zatroszczył się o mnie. Rozplątywał mi sznur na nadgarstku, wyciągnęłam rękę w jego stronę, ale patrzyłam w bok, jak dzieci przy rozbieraniu. Może nie całkiem tak, ponieważ w miejscu, gdzie skóra jest cienka, mój puls wskakiwał mu prawie w rękę. Im chodziło o supeł, a mnie o dotyk. Kiedy zostałam rozwiązana, z trudem wcisnęłam buty na nogi. Paul miał moją obrączkę na małym palcu i wyciągał ją nad antenami, koniec sznurka kołysał się, a Paul, podśpiewując, recytował rymowanek:

*Pocałunek w rączkę, w złotą obrączkę, wywołuje gorączkę.*

Było to śmieszne, ale on, kuglarz, traktował wszystko poważnie i ludzie się zatrzymywali. Śmiałam się, idąc przez długie szeregi sprzedających. Za ogrodzeniem, na końcu placu targowego, panował niepewny spokój zapomnianej budowy. Między dźwigami, rurami, rozkruszonym betonem wspinały się lejkowate kwiaty, powoje polne, rdest. Od jakiejś chwili myślałam o całkiem innym palcu.

Kiedy po historii z kartkami zostałam wezwana drugi dzień z rzędu, po pocałunku w rękę nie mogłam myśleć o niczym innym, tylko o tym, że muszę iść do ubikacji. Albu powiedział:

— Proszę bardzo, korytarzem na lewo, przedostatnie drzwi, ale bez torebki.

Poszłam korytarzem na lewo, nie chciałam gonić, ale nie chciałam też przesadzić z powolnością. Za drugimi drzwiami, które mijałam, dzwonił telefon, w drodze powrotnej nadal dzwonił, nikt nie odbierał. Na wewnętrznym podwórzu była stacja benzynowa, dwa dystrybutory na olej dieslowy i benzynę, pompa z wodą. Dwie szare ciężarówki, autobus z zielonymi zasłonami, busik, niebieski samochód, biały. I dwa czerwone. Przy końcu korytarza za drzwiami ktoś płakał. Na umywalce kawałek taniego mydła, do którego przykleiły się dwa czarne włosy, w koszu na śmieci zakrwawiona chusteczka. Poczułam serce w gardle, pośpiech wkradł się w moje kroki, wróciłam na pewno szybciej, niż było to konieczne.

Teraz tramwaj dzwoni, na ukos przez ulicę przebiega pies, taki wysoki szkielet w plamy z podwiniętym ogonem, łapy oblepione na pół zaschniętym błotem. Gdzie je znalazł w ten upał. Piana kapie mu z pyska,

nie oplaca się dzwonić, lepiej gdyby zdechł, mógłby w końcu wyciągnąć łapy. Jest ich coraz więcej, mówi młody mężczyzna przy drzwiach. Ten z teczką przytakuje: A jeśli ktoś zostanie ugryziony, ma akurat czas, żeby się wypowiedzieć. Tak było z jednym dzieckiem z sąsiedniej ulicy. Toczyło pianę z ust, jak ten tutaj z pyska. Psią pianę, nic się na to nie poradzi, wścieklizna i koniec. Staruszka z trzęsącą się głową mówi: Psy wyrodnęły od tych sztucznych nawozów na polach. Tyle się nawozi, a rosną przecież tylko tłuste szczury, kalekie ptaki i ostre trawy. Wszystko inne pozostaje nędzne, zapomniane przez Boga. Co ja mam powiedzieć, kiedy mnie taki pies zaatakuje, wy, młodzi, możecie przynajmniej uciec. Przed kilku laty byłam jeszcze szybka, syn mi mówił: Jesteś jak trąba powietrzna, powoli, powoli. Jak się ucieka, jest jeszcze gorzej, informuje młody mężczyzna. Kiedy pies podchodzi, trzeba stanąć i zachować spokój, patrzeć bydłakowi prosto w oczy, jak podczas hipnozy. Jeśli ma się dobre oczy, bo chyba nie przez okulary, śmieje się staruszka. Boże kochany, a bez okularów nie odróżni przecież ogona od głowy. Może wystarczy też surowe spojrzenie na ogon, parska śmiechem motorniczy, trzeba spróbować. Ale ostatnio widziałam w parku ptaka z trzema nogami, mówi staruszka, mogę przysiąc, nie kłamię, miałam okulary. Nie wierzyłam własnym oczom i spytałam dwóch młodych ludzi, czy rzeczywiście tak jest. I tak było. Jak tam ból głowy, pyta ten z teczką. Żle, odpowiada staruszka, zapomina się o swoim wieku, przeżyte lata gdzieś znikają, ale oczy, stopy, żółć, one zapamiętują sobie czas, a potem wszystko pojawia się naraz. Motorniczy rozpina koszulę od góry do dołu. Najpierw pojawi się jednak targ, mówi, zaraz tam będziemy.

— Ciągnie cię więc na południe — powiedział Albu — również tutaj przed operą jest fontanna i gołębie. Ale takie dziewczyny jak ty kochają drzewa pomarańczowe, a gdzie kończą, ha, ha, gdzie kończą, w hotelu na godziny, u kasjarzy z grubymi łańcuchami ze złota, w butach na obcasach, u alfonsów z ropiejącymi wypryskami, długimi zębami i — trzymał obgryziony ołówek przed twarzą — takimi krótkimi kutasami.

Czy Albu ma właśnie takiego, czy ogryzek ołówka stanowi miarę.

— Co zabiorę krajowi, jeżeli wyniosę się gdzie indziej — spytałam.

Major kołysał ogryzek między palcem wskazującym a kciukiem i powiedział cicho, jakby rozmawiał sam z sobą o czymś, czego nie powinnam była słyszeć: kto nie kocha swojej ojczyzny, nie pojmie tego. A kto nie potrafi myśleć, musi poczuć.

Lilli przykładła dużą wagę do rąk swoich mężczyzn. Nie mogłaby przyglądać się balansowaniu tych dłoni, przyciągnęłaby do siebie palce Albu. Cokolwiek by się stało tutaj w biurze, Lilli nie zapomniałaby, że jej nie oprze się nikt, wezwałaby go do miasta i już by go miała. Kiedy serce pęka z pośpiesznego pożądania, zawsze znajdzie się podłoga, ławka, odrobina trawy do leżenia. Albu błędziłby po pięknym cieple Lilli niczym duch, bez stopnia służbowego i rozsądku. Po powrocie do swojego dużego stołu i funkcji majora uczesałby się spieszony, myśląc przy tym o dobrych wymówkach dla swojego szefa. Musiałby kłamać z rozczochranym strachem, jak ja. Życzyłabym mu tego i nie rozumiałabym Lilli. Z parą oczu, w których tarnina zabarwia się na ciemno dla starych mężczyzn, Lilli opowiedziałaby mi, co się dzieje. Rozdarłaby kilka powłok tajemnicy, sedno przemilczała, z tym swoim lubianym przez wszystkich kwiatem tytoniu na twarzy. Zraniłybyśmy się nawzajem, ja ją i ona mnie. Ale ktoś, kto obserwowałby nas z zewnątrz, zobaczyłby dwie zaprzyjaźnione kobiety siedzące w przytulnej kawiarni. Albo spacerujące.

— Tak nigdy nie dojdziemy do końca — powiedział Albu.

Dla wyjaśnienia stanu rzeczy miałam wypisać wszystkich Włochów, jakich znam. Stanu rzeczy miałam powyżej dziurek w nosie, czas przeciągnął się do wieczora, nie znałam żadnego Włocha i nadaremnie to mówiłam. On się wściekał:

— Kłamiesz.

Przy czym utrzymywał, że wie wszystko. Z pewnością wiedział, że nie kłamię. Tym dłużej zmuszał mnie do pozostania w jego stanie rzeczy, aż skończył się czas pracy. Rozprostował nogi, poluzował krawat, odchylił do tyłu głowę. Uczesał się nerwowo, spojrział, czy zostały na grzebieniu włosy, wsadził go do tylnej kieszeni spodni. Uderzył w stół i stanął przede mną. Przycisnął mój nos do pustej kartki, za ucho podniósł mnie z krzesła, paliło jak żar. Potem chwycił mnie za włosy na skroni, nawinął je ukosem na palec wskazujący i pociągnął jak za frędzel przez biuro do okna i z powrotem na krzesło. A kiedy znowu siedziałam przed kartką, napisałam: Marcello.

Przygryzłam wargi, poza Mastroiannim i Mussolinim nie przychodziło mi na myśl żadne nazwisko, a te dwa również on znał:

— Nazwiska nie znam.

— A skąd znasz tego Marcello.

— Znad morza.

— Skąd znad morza.

— Z Konstancy.

— Czego tam szukałaś.

— Portu.

— Zasyfiałego portu, a on.

— On był ze statku.

— Jak nazywał się statek.

— Nie widziałam go.

— Statku nie widziałaś — powiedział — ale jego mundur.

— Miał na sobie normalne letnie ubranie.

— Był jednak marynarzem, wywęszyłaś to.

— On tak powiedział.

Albu wiedział, że kłamię, i zmuszał mnie do tego, a ja z samotności zaczynałam sobie wierzyć. Potem odłożył obgryziony ołówek do szuflady, zajrzał do niej, zanim ją zamknął, i powiedział: Idź do domu i pomyśl. Do jutra, punkt dziesiąta, ale punkt. Są tu też kartki do Francji i Szwecji. Chyba i inni pisali z tobą, wyjdzie z tego duża sprawa. Punkt dziesiąta.

Kartki do Francji, o tym słyszałam po raz pierwszy. Czy Nelu mu skłamał, czy dwa razy napisał kartki, a

może któraś z dziewczyn z pakowni. Czy Albu ma je w swojej szufladzie i pokaże mi je jutro. Czy też wymyślił to właśnie i powiedział mi na pożegnanie, żebym do jutra na wpół zwariowała. Mój język zrobił się zimny, czy to nigdy nie będzie miało końca.

Kiedy znowu szłam po ulicy, słońce wyszło z miasta na czerwono, wszystko było przygotowane na przyjscie nocy, cienie położyły się. Niosłam swój mętlak w głowie, na nim luźną skórę, a włosy na niej niósł wiatr. Wiatr jest stworzony do latania, światła do świecenia, samochody do jeżdżenia, drzewa do stania. Czy jest w tym jakiś sens, czy tylko zajęcie. Język wędrował mi słodkavo po mózgu, zobaczyłam kiosk i ubzdurałam sobie, że jestem albo powinnam być głodna. Poprosiłam o kawałek makowca, sięgnęłam do torebki po portmonetkę. Moja ręka natrafiła na twardego papier, nie było go tam przedtem. Przeszłam kilka metrów do ławki, położyłam makowiec na kolanach i wyciągnęłam papier z torebki. Cukierek z papieru do pakowania, żółtoszary, końce mocno skręcone, coś twardego w środku, luźno zawinięte. Otworzyłam paczuszkę i wyteżyłam wzrok. To, co zobaczyłam, to nie były papierosy ani gałązka, ani pietruszka, ani pazur ptaka, był to palec z czarnoniebieskim paznokciem. Szybko wsadziłam go z powrotem do torebki. Zza tylnej ściany kiosku promienie światła prześlizgiwały się przez szczeliny w deskach, trzymałam makowiec przed ustami, jakbym karmiła chorą. Kiosk przesunął się w moim kierunku, ciągnięty do przodu za promienie światła. Gryzłam powoli, ziarenka cukru zgrzytały mi w głowie, nie myślałam o niczym albo też nic mnie już nie obchodziło. Byłam przecież zdrowa, a ciasto jadła jakaś słabowita kobieta, myślała, że musi jeść, i jadła, aby żyć. A ja wmawiałam jej, że jej smakuje, aż w mojej ręce nic nie zostało z makowca. Wtedy zawinęłam palec w papier do pakowania, skręciłam znowu jego końce, ale wewnątrz byłam rozbita. Śmierć, którą tu czy tam się kokietuje, żeby ją przepłoszyć, mogła się ośmielić i ustalić mój ostateczny termin, jeśli nie był zaznaczony jeszcze w kalendarzu Albu. Kiosk zatrzymał się, ławka stała pusta, ja szłam i szłam. Widziałam, jak chude i tłuste śmierci z gęstą czupryną i przedziałkami, z wianuszkami włosów i łysinami szukają po mieście mojego terminu. Widziałam zapięte i rozpięte koszule, długie i krótkie spodnie, sandały i półbuty, reklamówki, torby, siatki, puste ręce. Na różne sposoby przechodnie pomagali śmierci w szukaniu.

Przeszłam tuż przy pięciu słupach od latarni, zaglądałam do koszy na śmieci, dwa z nich były do połowy puste. Śmieci wyrzuca się szybko i nieuważnie. Paznokieć palca był czarny, skóra wymieniona na zimny winyl. Jak długo palec wędrował w mojej torebce. I to właśnie ja miałam go wyrzucić. Letni asfalt śmierział gorącą smołą, brzydziłam się makowca, wieczornego powietrza, trzciny, wierzbowych zarośli nad rzeką. Woda lizała je i bulgotała, ale nie była wystarczająco głęboka. Kilku spacerowiczów zanurzonych w wieczorze szło w przeciwnym kierunku, głowami do dołu, pojedynczy parami, pary czwórkami pod prąd do drugiego mostu. A na moście, przy balustradach, gdzie kiedyś stała wypchana papierem walizka, było miejsce palca. Nie chciałam, a szłam tam, trzymałam paczuszkę nad wodą i upuściłam ją. Papier się nie rozwinął, palec uderzył o powierzchnię. Woda zakolysała się, ale nie chciała go połknąć. Rzeka wolałaby całego człowieka. Dla mnie już ten kawałeczek to było za dużo i to, że nie wiedziałam, do kogo należy. Czy cały człowiek był martwy, czy tylko palec.

Albu nigdy nie wspomniał o palcu. Ja też nie. Ta przezroczysta, czyhająca zapominalskość następnego dnia punkt dziesiąta. Do dzisiaj puszcza oko przy każdym pocałunku w rękę. Od czasu historii z palcem nie chodzę u Albu do ubikacji.

Wstręt rozmiękcza mnie, robię się twarda jedynie wtedy, kiedy chcę zarazić nim innych. Tylko Lilli opowiedziałam o żółtoszarym cukierku z papieru pakowego. Po trzech dniach spędzonych u Albu przysłałam po raz pierwszy do fabryki. Nikt nie spytał, gdzie byłam. Nelu wypełniał czas złodziejskimi spojrzzeniami, gotowaniem kawy, wietrzeniem i przekładaniem stosów papieru. Miałam już zdanie o modelach guzików, które ułożył mi po południu w półokręgu na stole. Ale nie mogłam przecież powiedzieć, że białe są piękne jak szkliwo zęba, brązowe jak półówki skorupek od orzechów, szare jak deszcz w kurzu.



Po pracy siedziałam z Lilli w kawiarni i mówiłam bez ogródek. Zupełnie odrzuciłam powłoki, zaczęłam od sedna. Dlatego Lilli nawijała sobie kosmyk włosów na wskazujący palec i odsunęła ode mnie swoje krzesło. Niezauważalnie, jak myślała, ale skąd ta luka, przecież nie byłam ślepa. Te małe złe oczy, którymi strzeliła we mnie, kiedy spytała:

— Czy jesteś pewna, że to był ludzki palec.

Krnąbrny i zimny kwiat tytoniu nie chciał zostać nadgryziony przez wstręt. Zacisnęłam dłoń w pięść i położyłam palec wskazujący na stole.

— No, co to jest.

— Zabierz palec — powiedziała.

— Czy można to z czymś pomylić.

— Widziałam, zabieraj palec.

— Co widziałaś, papieros czy ptasi pazur.

— Muszę to powiedzieć, czy też zadowolisz się tym, że wierzę ci.

— Ach tak, wierzysz mi. Mam szczęście, że jesteś taka łaskawa.

Ponieważ ja również byłam łaskawa i nie chciałam Lilli dłużej męczyć, zabrałam palec i nie spytałam, czy sądzi, że kot zjadłby go na śmietniku. Nie spytałam też, po jakim czasie paznokieć robi się czarny. I nie powiedziałam Lilli, jak bardzo boję się naparstnicy, która kwitnie w ogrodzie na długich, cienkich łądzkach. Zatrzymałam dla siebie również to, że ze wstrętu, jedząc makowiec, postanowiłam oddać Albu jego paczuszkę. I to, że kiedy pływała już w rzece, wierzyłam, że jutro rano punkt dziesiąta on zajądła jej z powrotem.

— Ubiegłej zimy — powiedziała Lilli — kupiłam sobie w spożywczym obok fabryki mały słoik kiszonych ogórków i zjadłam je w dwóch ratach. Ostatnie wyłowiał widelcem ze słoika. I na widelcu był ogórek, a potem mysz. Czy to nie potworniejsze niż palec.

— Mysz wpadła przecież sama do ogórków — powiedziałam. — A jeżeli ktoś w fabryce włożył ją do słoika specjalnie, nie zrobił tego z myślą o tobie. Każdy mógł przecież kupić ogórki.

— Każdy mógł, ale kupiłam ja.

Jak gdyby chciała bronić Albu, Lilli przejechała palcami po włosach nad karkiem. Były napuszone, a my milczałyśmy, zwrócone do siebie twarzami, ale nie oczami. Ni z tego, ni z owego nagle powiedziała:

— Jutro muszę koniecznie zapłacić za prąd.

Wspólne milczenie weszło nam w krew. Czasem siedziałyśmy obok siebie bez słowa tak długo, że zaczynało to zwracać uwagę. Wtedy jedna z nas zaczynała znowu mówić, i mówiła cokolwiek. Jeżeli dwoje ludzi dobrze się zna, mysz po palcu i milczenie po myszy, i rachunek za prąd po milczeniu znaczą to samo. Dalsze mówienie o czymś, czego się nie wypowiada. Na twarzy czoło i usta są też możliwie daleko od

siebie.

Przy drewnianych wychodkach na pchlim targu stały dwie kolejki, a młody policjant pilnował, żeby nikt nie załatwiał swoich potrzeb na zewnątrz przy płocie. Pierwszy z nich był wolny, nie miał drzwi, ale kolejki były dwie. Z drugiego wyszedł mężczyzna z drzwiami w rękach. Podał je facetowi, który już jakiś czas przestępował z nogi na nogę przed pierwszym wychodkiem. Ten wszedł tyłem do środka i postawił przed sobą drzwi. Dopiero wtedy ten, który już sobie ulżył, zapiął rozporek. Miał opryskane buty.

— Dlaczego nie przepuście go — spytała kobieta w okularach przeciwsłonecznych — on jest przecież jeszcze mały.

Chłopiec w krótkich spodenkach i sandałach podciągał jej sukienkę i płakał, a ona uderzyła go po rękach:

— Zostaw sukienkę w spokoju, przestań.

— Daj mu popłakać — powiedział jakiś mężczyzna — to nie będzie musiał tak często sikać.

Wyciągnął pudełko zapalek z kieszeni spodni i potrząsnął nimi chłopcu przed twarzą:

— To dla ciebie.

Dziecko odsunęło głowę.

— Jak się nazywasz.

— Cukrowa pchła.

— Przecież nie nazywasz się cukrowa pchła — powiedział mężczyzna i potrząsnął pudełkiem zapalek.

A matkę uspokoił:

— Bez obawy, w środku są tylko pestki słonecznika.

Kobieta chwyciła dziecko za kark:

— No, powiedz mu, jak się nazywasz.

Dziecko podniosło rękę i osłoniło twarz. A potem było za późno, pociekło mu po nogach w sandały. Zawróciłam i poszłam z powrotem do Paula:

— Nie dostałam drzwi.

Siedział rozparty na motorze, sprzedał dwie ostatnie anteny. Rzucił pusty sznur w powietrze.

— I co powiesz.

Pieniądze za moją obrączkę Paul zatrzymał w kieszeni spodni, tam były bezpieczne. Poszedł ze mną. Przy wychodkach stały wciąż jeszcze dwie kolejki. Drzwi to był kawał blachy, wielki jak blat od stołu. Muchy bzyczały, czekający klócili się, pokazywali złote i czarne zęby trzonowe, resztki zębów i szczyrby.

Paul przepchał się na początek. Toczyły się pertraktacje: Dostaniesz moje drzwi. Potem dostanę je ja. Potem on.

Kiedy kolejna osoba załatwiła swoją potrzebę i wyniosła przed sobą drzwi, umowa straciła moc. Ludzi przypiliło i zaczęły się wrzaski. Policjant opierał się o ogrodzenie, jadł ciastko i czyścił paznokcie zębami czerwonego grzebienia, zaczynając od kciuka po mały palec, był już zresztą na to najwyższy czas.

— Nie drzyjcie się tak — zawołał, nie podnosząc wzroku.

— Niechże pan pomoże słabszym — poprosiła kobieta z końskim ogonem — jestem w ciąży, nie mogę już dłużej stać, odpadają mi nogi.

— W jakiej ciąży — powiedziała stara kobieta i popatrzyła na policjanta — chyba nosisz dziecko w dupie, nie masz przecież brzucha.

— Nie jestem sędzią rozjemczym — powiedział policjant.

A ciężarna:

— Wielki Boże na niebiosach, łatwiej dorobić się bliźniaków niż tych drzwi.

— Bliźniaki są ładniejsze niż dwie drewniane nogi — zaśmiał się policjant — zatroszczę się, żebyś ich nie potrzebowała.

Wsadził grzebień do kurtki, wsunął kawałek ciastka do ust i stanął przed zajętej ubikacją.

— W ciąży czy nie, teraz ona dostanie drzwi, stoi już tu całą wieczność.

Ciężarna obiecała drzwi Paulowi. Kiedy wyszła z wychodka, wypuściła kawał blachy, zanim zobaczyła, czyje ręce go szarpały. Grubas, który stał za Pauliem, wymachiwał rękami i klął, drzwi były jego. Paul nie spuszczał wychodka z oczu i kiedy drzwi zaczęły chwiać się od środka, Paul sięgnął po nie i je zabrał.

— Hej, nie w środku modlitwy, nie tak szybko — powiedział grubas — tutaj w sraczu sam Pan Bóg podejmuje człowieka, a na zewnątrz jest piekło.

— Bóg — powiedział policjant — może osioł, który ma twoją twarz i mieści się w sraczu.

Paul wpełznął mnie do wychodka i postawił przed wejściem blaszane drzwi. W środku nie było dachu, niebo zsyłało zielone, natrętne muchy. Nad dziurą w ziemi leżały dwie zafajdane deski. Można było się łatwo poślizgnąć, szukałam dwóch suchych miejsc. Na ścianie ktoś napisał czerwoną farbą olejną:

Całe życie jest zasrane

Zasługuje, by zostać olane.

Słyszałam ludzi na zewnątrz, również głos Paula krzyczał. W środku było bezpiecznie. Nie można stać się czymś gorszym niż to, co cuchnie pod nogami. Czy grubas, mówiąc o Bogu, miał na myśli to, że jest się tutaj pijanym od ostrego smrodu. Głęboko wdychałam i wydychałam, nie śpieszyłam się, mimo niebezpieczeństwa, że mogę się poślizgnąć, zamknęłam oczy. Dopiero na zewnątrz byłam kawałkiem

ludzkiego gówna. Szłam obok Paula, z targu znikwały rzędy ludzi i rupieci. Pety leżały między wzorami rowkowanych podeszew. Kurz bił nas w karki, powinnam była podziękować za drzwi do kibla, ale język zastygł mi w ustach. Moje złoto sprzedane w tym brudzie, sześć tysięcy lei były dla mnie majątkiem. Kurz obrał tę samą drogę, co nasze stopy, i sunął przodem. Wiatr brał rozbieg, zakreślał długie pętle i opadał. W drucianym ogrodzeniu wokół targu uwięzły skrawki papieru i stare ubrania. Paul składał swoją ceratę, stawała się coraz mniejsza, aż zamieniła się w niebieską aktówkę, zaczepił ją na bagażniku. Potem odliczył mi do ręki pieniądze, mój łokieć zapomniał się i ustąpił, Paul splunął w rękę. On liczył banknoty, a ja czekałam, żeby jego palce, zamiast ubijać interes, osunęły się na mój puls.

Dmuchana piłka i broszka wciąż jeszcze leżały na gazecie, nikt nie zapytał o nie, chciałam zostawić je i odejść. Paul nadmuchał piłkę, rzucił ją wysoko. Odfrunęła ode mnie, uwolniona od ziemi, od brudnej niedzieli, jak obrany arbuż. Była taka piękna, odkąd nie należała już do mnie. Miałam ochotę szybko przykucnąć, śmiać się oczami i płakać ustami. Było to moje pierwsze szczęście na opak z Paulem. I w samym jego środku Paul zapytał:

— Co robi się w niedzielę z pełnymi kieszeniami i pustymi sercami.

Podniósł broszkę, wypolerował ją o nogawkę spodni, szklany kot z wygiętymi wąsami z miedzianego drutu. Przypiął go do koszuli. Kiedy pchał motor, poruszyły się wąsy kota, zwierzę zaczęło oddychać.

— Jeżeli chcesz, pojedziemy do Myśliwskiego Lasku — zaproponował — tam można posiedzieć w restauracji na zewnątrz, jeżeli tylko chcesz.

— Jeśli pozbędziesz się kota — powiedziałam — wyglądasz jak wałkoń.

— Nie wierzę — oświadczył, ale wyrzucił go za siebie w kurz, o mało nie trafiając mężczyzny, który tylko na chwilę podniósł wzrok i dużymi krokami spóźnionego człowieka szedł do wyjścia.

— Czekaj na niego teściowa z rosołem z kury — powiedział Paul — bez pośpiechu, i tak jest już zimny.

Sprzedaw w tym wietrznym kurzu moją obrączkę, czy uważał mnie za łatwowierną latawicę, z którą można przehulać kupę pieniędzy. Mały ogród botaniczny przy Myśliwskim Lasku i kilka łacińskich nazw kwiatów znałam ze spacerów z moim mężem i jego rodzicami. Mieszkałam wtedy u nich, na dole w podwórzu. Ze ścieżki ogrodowej wchodziło się bezpośrednio do pokoju. Zimą węglowy piec zamiast ciepłem dmuchał w sufit gęstym jak kadzidło powietrzem. Od wiosny do późnej jesieni wzdłuż ścian i ram okiennych sznury mrówek, w kątach pokoju i w szufladach gniazda, na stole i w łóżku skrzętni samotnicy. Również w kuchni. Teściowa rozlewała zupę. Kiedy jej mąż podstawiał talerz, długo grzebała chochlą na dnie garnka, jakby szukała kawałków warzyw. Odsuwała mrówki na brzeg. Mimo to i w jego talerzu znalazło się zawsze kilka. Wyławiał je łyżką na brzeg talerza, jakby to było coś niezwykłego.

— Skąd się tutaj znowu wzięły.

Teściowa mówiła:

— Nie denerwuj się, to pieprz.

— Jeżeli to jest pieprz, to ja jestem słowik.

— To jest mielony pieprz, kochanie.

— A odkąd to pieprz ma nogi — pytał.

Po rozwodzie wyprowadziłam się z dwoma workami ubrań i gratami. Od mostu nie brałam walizki do ręki. Kamień z Karpat mąż przyniósł za mną do furtki, w plastikowej torebce. Prawie o nim zapomniałam, a teraz jest taki ważny dla moich orzechów. Czułam się tak, jakbym nie miała wieku, nie potrafiłam rozróżnić między „wolna” a „samotna”, nie wiedziałam, jaka jestem. Samotność nie była ani ciężarem, ani przyjemnością. Nic nie sprawiało mi przykrości, poza tym, że z trzech lat małżeństwa byłam w nim o dwa za długo. Obciąłam krótko włosy, kupiłam nowe ubrania. I pościel, lodówkę i dwa dywany na raty do świeżo wynajętego mieszkania. Chciałam się szybko zmienić, póki nowy czas wyznaczał jeszcze kierunek. Lilli nie musiała się nigdy zmieniać, jej nos nie był próżny, bo chłodnemu kwiatowi tytoniu nic nie może przecież zagrozić. Kiedy miłość się kiedyś kończyła, zostawiała wdzięczny ślad na twarzy. O roztrwonionych uczuciach Lilli swoje wiedziała, ale wiedziała też, że szybko znajdzie się kolejna para oczu, która dla niej będzie ginąć. Ja chciałam się zmienić za pomocą rąk, ale w rękach potrzebna była portmonetka, a w niej zwitek banknotów. Kupowałam wszystko prędko, bez namysłu. W porównaniu z dniem dzisiejszym miałam wtedy malutkie zmartwienia, to był czas przed kartkami. W dwa, trzy popołudnia trwoniłam całą pensję i pożyczalam pieniądze. Nie tylko od Nelu, także od ludzi, których znałam tylko przelotnie. Również pożyczka wyfruwała mi z rąk i zamieniała się w ubrania. Rankami przychodziłam do biura i od razu kładłam lusterko na biurku. Między listami guzików ciągle się przeglądałam. Nelu chwalił mnie każdego dnia coraz bardziej. Włosów nie można było sobie obcinać codziennie. Dla odświeżenia przekonania, że wiedzie mi się nieźle, pozostawały jedynie nowe ubrania. Były przynajmniej o jeden dzień nowsze niż moja twarz. Oczywiście myślałam o długach i kupowałam jeszcze więcej. Wielkie, rozgorączkowane oczy, tylko wokół krtani coraz bardziej zaciskało się gardło. Bieżąca chwila była zawsze silniejsza niż moje nieczyste sumienie. W popołudniowym słońcu na korso ludzie odwracali się za Lilli, ponieważ była piękna, i za mną, ponieważ trzymałam ją pod rękę i głośno śpiewałam:

*Tak, drzewo ma liście,*

*a wodę herbata,*

*pieniądze papier,*

*a serce śnieg, co napadał w oczy.*

Udawałyśmy pijane, ja zataczałam się i śpiewałam, Lilli zataczała się i śmiała do łez. Aż powiedziałam:

— Sukienka nie robi długów, but też nie. Ja też nie, ale pieniądze robią długi. U niektórych odrastają jak włosy na brodzie, a ja, ja jestem zawsze łysa. Kiedy pieniądze są w mojej torebce, mam coś. Potem nagle nie mam nic, ponieważ leżą w sklepowej kasie. Ale tam pozostają warte tyle samo, co były. Leżą tam i widzę je. I nie mam nic, ponieważ tkwią tylko dwadzieścia centymetrów dalej od torebki, rozumiesz?

— Na starość pieniądze zbierają się — powiedziała Lilli — chcesz dlatego być stara. Nie przesadzaj, nikt z tych, co ci pożyczyl, nie siedzi tylko na tych kilku banknotach. Przecież nie uciekniesz.

To, czego w mojej próżności nie sposób było nasycić, Lilli myliła z samodzielnością. Pewnie, że nie uciekłam. Nie z fabryki, ale od mojego rozumu, od żelaznej lalczki w głowie, która przypominała zardzewiałego świętego Antoniego na serwecie, pod koniec nocy sylwestrowej.

Przez cały czas mieszkania u teściów zawsze, kiedy stałam w ogrodzie, ogarniało mnie trwożliwe

zdumienie, że dzikie róże, które mój teść w kilka minut uszlachetniał, co lata kwitły aksamitnymi kłębkami. Nigdy nie zdziczały ponownie na nowo wyrosłej lodydze. Uszlachetnianie róż przywodziło mi na myśl operację twarzy na biodrach. Przynosiłam do pokoju wszelkie kwiaty, ale nie uszlachetnione róże. Kto wie, czy przy ścinaniu nie zmieniają się jeszcze trochę. Ja po rozwodzie przy całym wysiłku potrafiłam zmienić w sobie tylko liście. Po długich kłótniach małżeńskich nadeszły dni, podczas których nikt na mnie nie krzychał. Każdy dzień odsuwał mnie od ludzi, znikłam z wszystkich oczu jak odstawiona do szafy i życzyłam sobie, żeby tak już zostało. Skłonność do zdziczałej samotności pobyla u mnie i przepadła, zanim przeniosła się do mojej mamy. Kiedy ostatni raz ją odwiedziłam, stanęła przede mną bez żadnych tajemnic, całkiem sama w domu. A ja jej nie współczułam. W przeciwieństwie do niej nie odsuwałam tej predyspozycji. Nie jestem taka uparta, a przede wszystkim nie tak spóźniona ze swoim życiem jak ona, której wszyscy powymierali, a ja wyfrunęłam. Jakbym to ja była matką, a ona dzieckiem, w tym, co teraz robiła, widziałam siebie z tamtych miesięcy. W świetle okna była tak obca, że można było zwariować, przy naczyniach na suszarce tak znajoma, że chciało się uciec. Tak chodziła po domu. Zrozumiałam, że ta skłonność przeznaczona jest na późniejsze lata, mnie dotknęła w zbyt młodym wieku, było jeszcze za wcześnie.

Wynajmowałam mieszkanie u chudego, zawsze uśmiechniętego mężczyzny. Jego uśmiech zdawał się rysem twarzy, nie wyrazem czegoś. Z tyłu zgarbione ramiona, z przodu wybrzuszone obojczyki, kiedy przychodził w sprawie czynszu, przed drzwiami stała klatka na ptaki. Przezroczysta skóra na twarzy, jakby miała się przetrzeć na kościach, żadnej zmarszczki, a mimo to bardzo stary. Po raz piąty powiedziałam mu, że zapłacę później, i zaprosiłam do pokoju na herbatę. Odmówił, skinął i pisnął, a ja zadałam sobie pytanie, jak długo ta ptasia głowa będzie miała do mnie cierpliwość. A może dlatego się nie wścieka, ponieważ jego skóra pęka, kiedy się denerwuje.

Zdziczała samotność z pewnością mi nie służyła. Ale z Nelu miałam pecha, brodziłam teraz w jego nienawiści. Pojechałam z nim służbowo do małego miasteczka między Dunajem a Karpatami. To jego wyznaczyli na ten wyjazd, mógł sobie wybrać, z kim chciałby jechać, i zaproponował mnie. Krótka podróż była mi na rękę. Centrali guzików, jak nazywano miasteczko w fabryce, nie wyobrażałam sobie zbyt atrakcyjnie, ale nie sądziłam też, że będzie to pustkowie z dziesięcioma szeregami brudnych domów, otoczonych porośniętymi trawą fabrykatami z betonu i wykopami pod budowę, gdzie niczego nie budowano ani nie uprzątno. Z powodu największej fabryki guzików w kraju miejscowość nie była nazywana wsią. Wijąca się przez trzy kilometry asfaltowa droga biegła z hotelu do fabrycznej bramy przez pole pokrzyw. Duż wiatr, powietrze falowało czarno-zielono, jakby trzeba było płynąć. Wczesnym rankiem szliśmy po tej drodze, która wciąż się gubiła i zaczynała na nowo. Nawet dziewiątego dnia zabłądziłabym tam, pokrzywy sięgały nam nad głowę. Nelu był tu nie po raz pierwszy, orientował się w nich jak w fabryce guzików. Nasze buty były brudne od kurzu i rosy. O ósmej czyściliśmy je przed bramą chusteczką Nelu, a potem biegaliśmy z listami i próbkami materiałów między biurami i działami. Do piątej po południu napatrzyłam się do oślepienia na guziki z plastiku, masy perłowej, rogu, na guziki niciane, z dwiema, trzema, czterema dziurkami i na obciążone lnem i zamszem guziki na stopce. W tych ilościach guziki przypominały pigułki w fabryce lekarstw. Aż się prosiły, żeby zapakować je w pudełka, do zażycia na przykład trzy razy dziennie po jedzeniu, i wysłać do aptek, a nie do fabryk konfekcyjnych do przyszycia. Popołudniami pokrzywowa droga była tak samo czarno-zielona jak rankami. Rosa wyschła, kurz był biały. Krzychały ptaki, nie wiadomo skąd, w powietrzu nie widziałam żadnych. W drodze powrotnej do hotelu rozmawialiśmy o guzikach sezonu, cenach i terminach dostaw.

Z frontowych pokoi hotelu widać było czerwony, jednopiętrowy dworzec. Obok torów pasła się biała koza przywiązana do kołka. W kole wytyczonym przez sznurek zjadała niebieskie kwiaty cykorii i oklapniętą trawę. Albo tylko stała i patrzyła na tory. Noc połykała ziemię, kołek i sznurek. Jedynie koza pozostawała połyskującą plamą. A wysoko w górze na frontonie błyszczał cyferblat dworcowego zegara.

Już drugą noc spoglądałam z łóżka na zegar. Pociągi towarowe przetaczały się na ukos przez niebo, nawet nie można było myśleć o śnie. Od pierwszego dnia czas tutaj był służbowy, również wypchana pociągami noc. Nawet jeżeli nie jechał właśnie żaden pociąg, korytarz pełen był łomotania i męskich głosów, a wszyscy mówili po rosyjsku. Już drugiej nocy położyłam na wszelki wypadek pod poduszką wazon z ciężkiego szlifowanego kryształu. Woda z kranu smakowała chlorem, a chlor smem, którego mi brakowało. Piłam bez pragnienia, tylko dlatego, żeby wstać, a potem znowu się położyć. Wieczorami jedliśmy w restauracji. Obok naszego okrągłego stolika, pod ścianą, stał długi stół bankietowy. Wokół niego naliczyłam trzydziestu czterech małych mężczyzn z szerokimi kośćmi policzkowymi, oczami i włosami czarnymi jak noc, w letnich garniturach z szarego materiału i białych koszulach bez kołnierzyków.

— Oni chcą wieczorami siedzieć przy jednym stole — powiedział kelner — żeby obradować nad tym, jak sikać z konia i sierpem przyszywać guziki. Delegacja z Azerbejdżanu, już cały tydzień na wymianie doświadczeń w fabryce guzików, a potem jeszcze tydzień z przyjacielską wizytą.

— Gdzie — spytałam.

— Też w fabryce guzików — powiedział i puścił oko. — Przy tym przyjacielska wizyta zaczęła się już pierwszego dnia. Odkąd są tutaj, do tylnych pokoi na parterze przychodzi po północy pięć dziewczyn z fabryki. Przed drzwiami jest tłok, a za nimi jęki, jakby ktoś grał na kobzie. Wystarczy posłuchać, zwala człowieka z nóg. Jeden się spuszcza, a drugi już dosiada. Co za potomstwo pojawi się w miasteczku, mówię państwu, zasmarkani, płaskonosi pół-Azjaci.

Przy długim stole mówił wciąż jeden mężczyzna, chropawe, szybkie zdania, jakby przeklinał bez złości w twarzy. Reszta słuchała, od czasu do czasu wszyscy się śmiali, również ten, który dopiero co przeklinał. Często spoglądał na mnie. Wpuszczałam go do moich oczu, bo nie miałam nic lepszego do roboty. Nelu przerabiał ze mną jeszcze raz guziki sezonu. Chętnie zrobiłabym kilka uwag na temat Azerbejdżan, ale kiedy powiedziałam: ilu ich jest, usłyszałam od Nelu:

— Ludzi się nie liczy, oni przecież to czują.

No i co z tego, dlaczego nie powinno się ich liczyć, przecież są tutaj. Pole z pokrzywami albo dworcowa koza byłyby bardziej jednoznaczne, ale Nelu nie dostrzegał tego. Nelu sprawiał na mnie wrażenie wypoczętego. On może spać w hałasie pociągów, pomyślałam, on i koza. Człowiek-zegarek, który nocami śpi, żeby za dnia pracować, stworzony do podróży służbowych. Powód tego wyjazdu był śmieszny już od pierwszego dnia. Zamówić guziki z pokrzywowej drogi, gdzie w oczach stają łzy, a góry ubrań w fabryce przestają być prawdziwe. Już trzecią noc patrzyłam od jedenastej na dworcowy zegar. Była punkt druga. Pociągi szumiały w oddali jak drzewa, potem jak żelazo w niebie, w końcu wewnątrz czaszki, aż głowa pękała. Potem cisza była poraniona, psy szczekały, aż nadjeżdżał kolejny pociąg. Mój mózg kurczył się. Raptem, w przerwie między pociągami, ktoś zapukał do drzwi. Wyjęłam wazon spod poduszki i krzyknęłam:

— Paszoł, towarzyszc.

— To ja.

Na progu stał Nelu, w piżamie, na bosaka.

— Pukam już dobrą chwilę.

— Myślałam, że śpisz, ja na tym dworcu nie mogę zmrużyć oka.

Usiadł na łóżku z głową w dłoniach. Otworzyłam okno i zobaczyłam w ciemności połyskującą plamę śpiącej kozy, czerwone światło sygnalizacyjne daleko za zegarem, a jeszcze dalej zielone. Nelu położył się.

— Nie śpię przez ciebie.

Okno zostawiłam otwarte, przykryliśmy się kołdrą. Wiedziałam, że teraz przyszła pora na nasze wygłodzone jęki, jak na pociągi na torach. Nie miałam nic przeciwko temu. Po dniu i nocy na tym pustkowiu dojrzałam do tego, że każdego Azerbejdżanina przyjąłabym z wazonem w ręku, ale później wpuściłabym między nogi. Nelu dyszał, trzymał się mocno moich piersi, leżeliśmy na dworcu skóra przy skórze, a on mówił o miłości. Pozwoliłam na to.

Niech będzie i tak, sprostować mogę po powrocie. A może u mnie uczucia potrzebują jeszcze czasu.

Nelu przychodził co noc około jedenastej. Górna lampa była wyłączona, świeciła się żarówka nad umywalką. Wygięcie szyi przechodziło w ramiona, linie zgiętych rąk i nóg zaczynały pływać, para uwięzionych białych oczu to był Nelu. Wszystko inne tonęło w ciemności. To, co wykrzywiła pustka tego miasta, naprostować miała miłość. Chciał mnie przez całą noc, jego ciało i mózg były zgodne, spotykały się tam, gdzie nie myśli się o niczym więcej. Mnie nie udawało się nic, jęczałam, nie zapominając, gdzie jestem. Patrzyłam na dworcowy zegar, a on spoglądał na mnie. W mojej mózgowicy było tak jasno, jak na cyferblacie na froncie. Z własnej inicjatywy nie zrobiłabym tego kroku przeciw pustce. A jeżeli już, to z jednym z Azerbejdżan. Skróciłby mi noc, jedną albo wszystkie, które potem jeszcze miałyby nadejść. Ale w restauracji przy długim stole nie rozpoznałabym go. Każdego wieczoru czułabym się tak, jakbym szukała podczas kolacji jednego konkretnego guzika między trzydziestoma czterema jednakowymi. Każdej nocy mógłby przyjść ktoś inny, z zewnątrz nie ma żadnej różnicy. Jeżeli w ogóle zauważyłabym ją, to tylko po sposobie bycia. A może i w łóżku byli tacy sami. Po podróży służbowej nigdy więcej nie spotkałabym mężczyzny na dziesięć nocy czy też dziesięciu mężczyzn, z których każdy był na jedną noc. To Nelu ze mną zaczął, ja nie byłam prowokatką. Koło drugiej odsyłałam go co noc z powrotem do jego pokoju. Nawet ostatniej nocy poszedł, niechętnie, ale posłusznie, żeby niczego nie zepsuć.

Przed podróżą do domu o piątej rano koza snuła się wokół kołka. Dałam jej kawałek chleba. Zjadła go, nie powąchawszy nawet przedtem. Ledwo weszłam do przedziału, a już zasnęłam, nadrobiłam wszystkie noce, nie słyszałam szumu ani niczego więcej wokół mnie. Kiedy pociąg wjechał na dworzec główny i Nelu mnie obudził, moja głowa leżała na jego ramieniu, jak do tego doszło. Weszliśmy w głośny miejski ranek i ruszyliśmy w stronę przystanku. Nelu niósł swoją torbę z brzegu, ja moją między nami, tak żeby nie mógł objąć mnie wolną ręką. Już przed czerwonym dworcem, kiedy koza w porannym chłdzie zjadała chleb, a Nelu narzucał swoją kurtkę, wiedziałam: czasu upłynie jeszcze wiele, ale nie przyjdzie żadna miłość.

Przez kolejne dni przed wyjściem z biura do domu mówiłam:

— Nie, nie pójdę do ciebie. Nie, ty też nie pójdziesz do mnie.

— Dlaczego — pytał Nelu.

Trzy lata czy dziesięć dni — mężczyźni zawsze potrzebowali powodu. Nelu powiedział, że to wykluczone, żeby nie było żadnego. Po rozwodzie chciałam życia pasującego do moich krótkich włosów. Jak długo jestem jeszcze młoda, muszę wynieść się do pięknego kraju, dokąd wędrują ubrania na eksport. Chciałam być warta takich pięknych i jeszcze piękniejszych ubrań, i wspaniałomyślnego męża, który by mi



je kupował. Trzy dziewczyny z zakładu ogrodniczego wyszły za mąż we Włoszech. Mój teść wypytał je i opowiedział nam w domu, jak to było. Mężczyźni poszukujący dziewczęcych ciał stąd to zazwyczaj starzy kawalerowie, szanowani w pracy; o małżeństwie myślą dopiero wtedy, kiedy ich matki odchodzą do grobu. Łagodni, pedantyczni panowie, których troskliwość niewiele różni się od ofermowatości, zadbani mężczyźni w wieku podwójnie dojrzałym. Może zaczęłabym dzielić gust Lilli, żeby tylko stanąć gdzieś po drugiej stronie granicy. Nie trzeba być koniecznie piękną, tylko świeżą. I wyglądać skromnie. Zezwolenie na ślub można dostać dwa lata po złożeniu wniosku. Z gołym tyłkiem wprowadza się do rodzinnego gniazda. Ma się noże i widelce, przy odrobinie szczęścia nawet srebrne, i marmurowy wazon na stole. Chciałam jakoś przeczekać te dwa lata, aż będzie to możliwe. Chciałam do Włoch, nie powinno go to obchodzić.

— Ty nie jesteś powodem — powiedziałam — nie ciebie miałam na myśli. Ja też nie, byliśmy służbową podróżą.

Jego twarz stężała. Gałki oczne zabłysły kwadratowo. Zamachnął się i wymierzył mi policzek, zręczniejszy niż jego gotowanie kawy, zawiązywanie sznurowadeł i temperowanie ołówka. Policzek siedział dobrze, a mnie huczało w głowie. Śmiałam się, aż przestało mi być do śmiechu. Dobrze, może było sprawiedliwe to, że uderzyłam głową w ramę od drzwi. Ale to, że on tydzień później doniósł na mnie z powodu kartek do Włoch, było niesprawiedliwe. A to, że dołożył mi jeszcze kartkami do Szwecji, które sam napisał i wsadził do tylnych kieszeni spodni, żebym została zwolniona, to była nagonka. A kartki do Francji...

Babciu, jesteśmy na miejscu, informuje motorniczy. Staruszka musi teraz wstać, potrząsnąć dziesięć, piętnaście razy głową, potem jest przy wyjściu. Przy tylnych drzwiach pobrzękują konewki, szurają buty. Chętnie bym tutaj wysiadła, coś sobie kupiła, żeby kupić jabłko na sztuki, nie trzeba stać w kolejce. Gdyby poszło to szybko, złapałabym jeszcze tramwaj. Zaraz będzie dziewiąta, ale nie punkt dziesiąta. Albu nie zobaczyłby przecież jabłka w torebce. Letnie jabłko zielone jak trawa, nawet jeżeli te wczesne są zazwyczaj robaczywe i pełne plam przypominających znamiona. Przy każdym kęsie pieni się sok i ściągają usta. Takie jabłko pasuje do bluzki, która jeszcze rośnie. Mogłabym je zjeść podczas jazdy albo od razu jak wysiadę, tuż przed dziesiątą. Mogę zachować je też na później. Jeżeli Albu mnie zatrzyma, długo nie dostanę nic do jedzenia. Ale co będzie, jeśli jabłko popsuje orzech i to przez nie Albu mnie zatrzyma. Choćbym była nie wiem jak głodna, przyjdzie mi do głowy, że jabłko mogło się w torebce zbratać z pastą i szczoteczka. Zjem je niechętnie, na pewno nie będę tak głodna, żeby mi smakowało. Ten z teczką podrywa się ze swojego miejsca, podchodzi do motorniczego: Wskoczę tylko szybko po aspirynę, ty przecież jeszcze postoisz jakiś czas. Już niedługo, mówi motorniczy, też chętnie bym kupił pomidorów, ale jesteśmy spóźnieni. Jeżeli poczekaasz, przyniosę ci je, mówi ten z teczką. Motorniczy otwiera butelkę: Nie, następną rundę zrobię szybciej, to będę miał czas, żeby samemu pójść. Zanim się napije, wyciera brzeg butelki ręką, jakby ostatnim razem pił z niej ktoś inny, nie on.

Miałam zamęt w głowie, kiedy tej niedzieli po targu siedziałam pierwszy raz w życiu za Paulem na motorze. Drogi wyginały się w górę. W centrum miasta wielopokoleniowe rodziny opuszczały niespiesznie kościół, żeby utknąć na placu przed nim. Dorośli mieli sobie dużo do opowiedzenia po śpiewach i modłach, dzieciom wolno było znowu śmiać się i skakać. Stara kobieta w czarnym ubraniu i białych rajstopach szła przez platanową aleję jak przez dolinę i wołała:

— Georgiana.

I nikt do niej nie podchodził. Ale kilka drzew dalej stała przy koszu na śmieci dziewczynka z czerwoną kokardką na środku głowy, stuknęła czerwonym lakierkiem w asfalt i śpiewała piosenkę. Między dorosłymi,

którzy zatopieni w rozmowie poszli dalej, a dzieckiem, które nie przychodziło, stała staruszka i nie wiedziała, co ma zrobić. Oglądałam się podczas jazdy do tyłu, aż szyja zrobiła mi się za krótka. Straciłam z oczu czarne ubranie, a motor warczał mi we wszystkich palcach.

Przez całe życie tato chodził w niedzielę do kościoła. Jeżeli mama, dziadek i ja nie szliśmy, siedł sam. W drodze powrotnej, w knajpce za parkiem, pozwalał sobie wypić na stojąco jedną wódkę i wypalić jednego zagranicznego papierosa. Punktualnie o pierwszej siedział za stołem przy obiedzie. Nawet w ostatnich latach, kiedy był na wskroś przesiąknięty grzechem, chodził do kościoła. Z taką kupą grzechów zostałabym na jego miejscu w domu. Nie mogę sobie wyobrazić, że w niedzielę przyrzekał Bogu, że skończy z warkoczastą, skoro był już umówiony na następny dzień. Wypatrzyłam, że w poniedziałki warkoczastą przychodziła na targ bez dziecka. Ponieważ tak jak mój tato obok swojej żony, tak i ona niedzielami liczyła godziny u boku swojego męża. W poniedziałki ani Bóg, ani diabeł nie byli w stanie przeszkodzić im w spotkaniu. W niedzielę mama przygotowywała na obiad dwie kury, a co zostało, jedliśmy na kolację. Tato zjadał grzebienie z obu kurzych głów, ponieważ potrzebował ich w poniedziałki do grzechu. A ja dzieliłam z dziadkiem mózg, żeby nauczyć się milczeć tak jak on. Całkiem możliwe, że tato prosił Boga, aby pozwolił mu na grzech, bo Pan musiał przecież wiedzieć, że z mojej mamy niewiele miał pożytku. Po prawej stronie od drzwi kościoła wisiał Jezus, na wysokości ust, żeby dorośli przy wchodzeniu i wychodzeniu całowali mu stopy. Dzieci podnosiło się. Dopóki było to konieczne, podnosiła mnie mama lub dziadek, tato nigdy. Jezus nie miał palców u stóp, wszystkie zostały scałowane. Kiedy byłam dzieckiem, tato powiedział mi:

— Te pocałunki zostaną. Gdy człowiek umiera i staje przed sądem ostatecznym, świecą wokół ust. Po tym zostaje się rozpoznany i idzie do raju.

— W jakim kolorze świecą — spytałam.

— Na żółto.

— A pocałunki, które my sobie dajemy.

— Te nie świecą, bo nie zostają — powiedział.

Każdy, kto mieszkał w okolicy kościoła św. Teodora, nosił na wargach odrobinę kurzu z palców u nóg Jezusa. Kiedy chciałam zmienić warkoczastą, a on nie dawał się odciągnąć od jej ciała, miałam nadzieję, że i jej pocałunki zostaną. Ze będą ciemnym blaskiem świecić pomiędzy pocałunkami w stopy, i zdradzą oszusta.

Lilli powiedziała, że jej matka nie chodzi już do kościoła, ponieważ teraz msza zaczyna się modlitwą za szefa państwa.

— Pięknie — powiedziałam — a może żyć z tym, że jej mąż co tydzień wlecze swoje stare kości na spotkania przy kiosku z gazetami.

— Może, bo musi — powiedziała Lilli.

Moja głowa wciąż jeszcze była pijana jazdą, chociaż już jakiś czas siedziałam z Paulem w Myśliwskim Lasku. Na ostatnim odcinku drogi, przez las, dolne gałęzie drzew były nas po włosach. Drzewa szumiały zielono, całe niebo było z liści. Żebrałam z głową wtuloną w ramiona:

— Nie tak szybko.

Paul przysunął swoje krzesło tuż do mojego, pocałował mnie z pianą z piwa na ustach. Byłam jeszcze odurzona jazdą, doszły do tego pocałunki. Moje serce uderzało tam i z powrotem na najcieńszej nitce. Chciałam zachować trzeźwą głowę, tyle że szczęście nie dawało mi na to czasu. Zbyt powoli zaczynałam rozumieć, że brudny targ staroci, z rupieciami i ludźmi, od których nie chciałam niczego oprócz pieniędzy, może przynieść szczęście. Że prawdziwe szczęście w głowie nie potrzebuje czasu, lecz dobrego przypadku. Moje palce to na ciepłej szyi pod brodą Paula, to na zimnej butelce z piwem. Ponieważ tak mało o sobie wiedzieliśmy, dużo mówiliśmy, najczęściej nie o sobie. Paul wypił sześć butelek i mógł jeszcze więcej, kiedy późnym popołudniem przyszły do lasu rodziny. Po obiedzie w blokach chcieli na chwilę wpuścić niebo do swych głów przed następnym tygodniem zamkniętym w fabryce. Starsza para z grubymi obrączkami, wygrawerowanymi zgodnie z najnowszą modą w kwiatowe wzory, zajęła dwa wolne krzesła przy naszym stoliku.

— Pytam cię po raz ostatni — powiedziała kobieta.

— Nie wiem — powiedział mężczyzna.

— To kto.

— Przecież nie ja.

— Jak to nie ty, nie udawaj głupszego, niż jesteś.

— Nie pluj tak przy mówieniu. Na Boga, zapomniałem.

— Rozumu zapomniałeś, już przy narodzinach.

— Tak, w przeciwnym razie nie byłby przy twoim małym mózdzku.

— Tylko w lepiance u twojej matki.

— Ty tego potrzebujesz, moja słodka.

— Twoja słodka, żadna inna cię nie weźmie.

— Zobaczymy, jeszcze po mnie zapłaczesz.

— Co masz na myśli.

— Co mam powiedzieć.

— Miałeś na pewno coś innego na myśli.

— Nie, nie miałem nic innego na myśli.

— Nie wierzę ci.

— Naprawdę.

— Nie, wydaje się, że oddychasz, a ty już kłamiesz.

— Tak, tak, nawet kiedy cię rżnę.

— Wtedy tak czy inaczej.

— Ale i tak chcesz tego dosyć często.

— Ponieważ do niczego innego się nie nadajesz.

— Mówisz, a przecież jesteś tylko dziurą z trwałą undulacją.

— Powiesz w końcu, jak było, czy nie.

— Przestań, nie wiem.

— To kto...

Zacząło się od początku, jak wir w wodzie, ton zaostriął się, lepianka stała się kurnikiem, a dziura z trwałą undulacją materacem z frędzlami. Jad sączył im się z oczu. Kobieta wypytywała go, jakby byli sami, mężczyzna gapił się w powietrze, jakby był sam. Słońce wciąż jeszcze było mleczne, słychać było szum wielkich drzew, niebo napierało, prawie nie miało miejsca wśród liści, buty skrzypiały na żwirze. On miał jej dosyć i uzależnił się od niej. A ona nie spuszczała nas trojga z oczu. Również Paul i ja byliśmy jej więźniami, milczeliśmy, nie patrząc na siebie, żeby nie mogła pomyśleć, że dajemy sobie znaki. Odcięci od siebie, nasłuchujący, a mimo to głusi, nie zrozumieliśmy, czego od niego chciała. Paul zdjął rękę ze stołu, kobieta oszacowała ruch, popatrzyła na mnie i czekała, co ja teraz zrobię. Pochyliłam się do Paula, a on chwycił mnie za kolano i powiedział:

— Chodź.

Znowu usiadłam prosto, ona jednak czekała, żeby ręka Paula pojawiła się na stole. Paul musiał to wyczuć i zostawił ją na moim kolanie. Drugą skinął na kelnera.

— Pozwól mi zapłacić, sprzedana obrączka będzie się cieszyć — powiedziałam.

Chciałam pomniejszyć szczęście, tych dwoje właśnie milczało i słuchało tak jak Paul i ja do tej pory, i byłam zadowolona, że oni też jeszcze coś usłyszą i nie zrozumieją. Paul wziął pieniądze ze swojej kieszeni, moich nie chciał. Kobieta patrzyła na swoją obrączkę, a Paul i ja powiedzieliśmy jednocześnie:

— Do widzenia.

Brzmiało to, jakbyśmy byli dwiema nakręcanymi mówiącymi lalkami. Ona w pozdrowieniu podniosła na krótko dłoń ze stołu.

Mężczyzna popatrzył, jakby był skazany na nasze wsparcie, i powiedział:

— Wszystkiego dobrego.

W tej sytuacji on potrzebował tego bardziej niż my, my jechaliśmy wśród drzew do przesuniętego bloku

w kształcie wieży. Tej nocy po raz pierwszy spałam u Paula i już u niego zostałam.

Kochaliśmy się tej pierwszej nocy, aż ciała stały się starsze i młodsze od nas, oddech cichy albo tak szybki, że płuca groziły pęknięciem. Potem słyszałam szczekanie, jakby psy wałęsały się po niebie. Później ulica spała w tykaniu zegara, ziemia była cicha. Dzień zaczął szarzeć, do cyferblatu nie dochodziło jeszcze światło z zewnątrz. Na dole, na ulicę ze sklepami nadjechały wkrótce samochody dostawcze. Podniosłam się z łóżka i wysliznęłam z pokoju z moimi rzeczami w ręku. Stałam w korytarzu z gęsią skórką na całym ciele i wkładałam ubranie na łóżkowe ciepło skóry.

Chciałam szybko wskoczyć w buty i zniknąć, zanim Paul się obudzi. Jednak tego nie zrobiłam. Móc zostać tak jak stoją tu buty, jak wisi w kuchni ścienna szafka, a na oparciu krzesła jasny jak ostrze skrawek słońca, który rośnie i niedługo położy się na stole. Zostać tutaj, ponieważ w papierach, które już od dawna są wypełniane w fabryce, po każdej sobocie jest poniedziałek. Nalałam wody do szklanki i spijałam mączny smak języka. Nie zostawać tu jak coś kupionego na pchlim targu, myślałam, lepiej zebrać się i zniknąć. Kto odchodzi, może wrócić. Na stole stała czerwona emaliowana puszka, otworzyłam ją, powąchałam zmieloną kawę, zamknęłam wieczko, odstawiłam ją i zobaczyłam tłuste odciski moich palców i to, co przyśniło mi się w nocy:

Tata leży w białej niedzielnej koszuli na podwórzu przed domem, na drewnianym stole, a obok jego lewego ucha brzoskwinia z jednego z drzew, które sam przed laty posadził. Mężczyzna z wypukłą klatką piersiową i ptasią twarzą, który we śnie nie jest jednak moim gospodarzem, wycina tacie przez koszulę czworokąt między czubkiem kołnierzyka a żołądkiem, od trzeciego do piątego guzika, pedantycznie jak przy linijce. Wyjmuje swojego rodzaju drzwiczki z ciała.

Ja mówię:

— Leci krew. Mężczyzna mówi:

— To z arbuza jego żony. Widzisz, jest zniekształcony, nie rośnie i nie jest większy niż jajko. Wyjmiemy go i włożymy brzoskwinię.

Wyciąga arbuza z piersi i wkłada na jego miejsce brzoskwinię. Brzoskwinia jest dojrzała, z czerwonymi policzkami, ale nieumyta, widać to po włoskach.

— To jest brzoskwinia warkoczastej — mówię — ona przecież nigdy nie urośnie, warkoczasta nie potrafi o nią zadbać.

— Jedno musisz jej przyznać, na warzywach się zna.

— Ale to jest owoc — mówię.

— Zobaczymy — mówi on.

Mężczyzna wkłada drzwiczki z powrotem do piersi, pasują jak ulał. Podchodzi do ściany domu i myje sobie pod szlauchem ręce.

— Czy drzwiczek nie trzeba przyszyć — pytam.

— Nie — mówi on.

— A jeżeli wypadną.

— Są hermetyczne, zarosną, robię to nie po raz pierwszy — mówi — w końcu jestem z zawodu stolarzem.

Po tym jak kochaliśmy się z Pauliem ponad wszelkie zmęczenie, które przychodzi falami, ogarnął go spokojny sen, a mnie taki, który rozsiewa obrazy. Drzwiczki z ciała pojawiły się może z powodu przenośnych drzwi do wychodka, właściciel mieszkania jako chirurg, ponieważ miałam teraz pieniądze na zapłacenie długu za czynsz. Tato i warkoczastą nie mieli żadnego powodu, żeby tutaj przyjść. Moje życzenie, żeby zastąpić warkoczastą, nie miało prawa wmieszać się w pierwszą noc z Pauliem. Czerwona emaliowana puszka na kawę ma za dużo światła, to ona niezrozumiale fantazjuje w słońcu, nie ja.

Paul od tyłu zasłonił mi oczy.

— Zastanowiłem się, wprowadzasz się do mnie.

Nie słyszałam jego kroków i czułam się przyłapana z tatą.

— Nie — powiedziałam.

Zgadzałam się jednak na to, jakbym nie miała wyboru. Kiedy zdjął ręce z moich oczu, w oknie na ukos kobieta trzepała dwie białe poduszki, a ja powiedziałam:

— Tak.

I wątpiłam w to. I w następnej chwili wsypałam cztery czubate łyżki kawy z puszki do garnka, a Paul powiedział:

— Dobrze.

Było to piękne słowo, ponieważ nie mogło być złe. Paul postawił na stole słoik dzemu morelowego i pokroił chleb, o wiele za dużo kromek.

Rano skubię coś, stojąc lub chodząc, żeby oszukać żołądek, a nie jeść śniadania. Ale teraz siedziałam. Opowiedziałam o tacie i drzwiczkach z ciała, o arbuzie i brzoskwini. Warkoczastą wykluczyłam z gry. Przemilczałam również to, że sen odbijał się w czerwonej puszcze na kawę. I że peszyła mnie ona. Wobec ludzi, którzy od razu mi się nie podobają, peszę się mniej, jeśli nie mówię o tym. Tak było z Nelu, kiedy przyszłam do fabryki. Przedmioty peszą mnie, ponieważ mi się podobają. Wmyślam w nie coś, co jest przeciwko mnie. Kiedy tego nie wypowiadam, znika, tak jak speszzenie wobec ludzi. Myślę, że z czasem wrasta ono we włosy.

Po rozstaniu z mężem, podczas spokojnych dni, kiedy nikt na mnie nie krzychał, zaczęło mi się rzucać w oczy speszzenie innych. Jak często ludzie czeszą się w cudzej obecności. W fabryce, mieście, na ulicach, w tramwajach, autobusach i pociągach, przed okienkami albo w kolejkach po mleko i chleb. Ludzie czeszą się w kinie, zanim zgaśnie światło, a nawet na cmentarzu. To robienie przedziałków od środka głowy aż do czoła. Speszzenie widać po grzebieniach. Tylko nieme speszzenie daje się wyczesać, a grzebień robi się od niego tłusty. Kto ma czysty grzebień, mówi o speszzeniu i nie pozbędzie się go. Moje myśli powędrowały w przeszłość: mama, tato, dziadek, teść, mój mąż, wszyscy mieli brudne grzebienie, Nelu również, Albu też. Lilli i ja czasem czyste, czasem lepkie. Tak to było ze speszzeniem między nami, z mówieniem i

przemilczaniem.

Piłam z Paulem kawę, słońce leżało na stole. Opowiedziałam o moim śnie, a potem nie mówiłam już o niczym, a już z pewnością nie o grzebieniach. Paula speszył mój sen, unikał mojej twarzy i patrzył przez okno.

— Słabe nerwy — powiedział — twój chirurg obiecał w końcu, że drzwi zarosną.

Za szybą trzy jaskółki przeleciały przez skrawek nieba. Leciały przodem, czy też były tylko we trzy i nie miały nic wspólnego z tymi, które przyleciały za nimi i były już nie do policzenia. Powinnam dać sobie spokój z liczeniem, lecz mimo to zaczęłam poruszać wargami.

— Chcesz wiedzieć, ile ich jest — spytał Paul.

Wiele rzeczy liczę. Niedopałki papierosów, drzewa, żerdzie w płocie, chmury albo płytki chodnikowe od jednego słupa telegraficznego do następnego, rankami okna aż do przystanku albo z autobusu pieszych między przystankami, po południu czerwone krawaty w mieście. Kroki z biura do bramy fabryki. Tak utrzymuje się świat w porządku, powiedziałam.

Paul przyniósł z pokoju zdjęcie, nie wisiało na ścianie, bo zobaczyłabym je. Ale miało ramki, pod szkłem leżał zgnieciony karaluch.

— Kiedy umarł mój ojciec, włożyłem zdjęcie w ramki i powiesiłem w pokoju. Wisiało dwa dni, potem pojawił się karaluch, stał się członkiem rodziny. Karaluch miał rację, kiedy ktoś umiera, ze strachu o siebie zachowujemy się tak, jakbyśmy kochali go bardziej niż tych, co jeszcze żyją. Zdjąłem zdjęcie ze ściany.

Poza karaluchem zobaczyłam matkę Paula w letniej sukience, z dołeczkami w policzkach, z prawą ręką opartą na lewym biodrze, lewą obejmującą biodra męża. Ojciec Paula był w koszuli w kratę, rękawy miał podwinięte, na głowie czapkę z daszkiem, szerokie spodnie do kolan, w sandałach skarpetki do łydek. Jedną ręką objął żonę za ramiona, drugą oparł o prawe biodro. Oboje równego wzrostu, przyciśnięci do siebie, ich ręce na biodrach jak dwa ucha. Wtedy jeszcze nie zastanawiałam się nad opartymi o siebie policzkami.

Przed rodzicami jeden z pierwszych wózków dziecięcych z budką, którą można było zamknąć. Budka była otwarta, a w wózku siedział Paul, ze sztywnym daszkiem swojej czapeczki jak z sierpem księżycy nad czołem. Pod brodą miał kokardkę, której końce zwisały mu do brzucha. Zgięte lewe ucho wystawało spod czapki. Wyciągał do góry rękę z łopatką do piasku. Z wózka zwisała skopana w nogi kołderka. Za rodziną pagórek, kwitnące na biało śliwy, a na górze kombinat metalurgiczny, nieostry jak dym z fabrycznych kominów. Robotnicza rodzina w szczęściu przemysłu, zdjęcie dla gazety. Musiałam Paulowi opowiedzieć przy stole w słońcu o moim perfumowanym teściu na białym koniu, jego zdjęcie było też z lat pięćdziesiątych.

— Twój ojciec jest zupełnie inny niż ten na siwku — powiedziałam — a przecież obaj są komunistami. Jeden przy wielkim piecu w mieście, drugi w lśniących butach dojazdy konnej na wiejskich drogach. Jeden haruje i wynosi rozżarzoną stal ponad własny rozum, drugi jeździ konno, wpędza ludzi w tarapaty i pachnie perfumami.

Na moim weselu dziadek zatańczył ze mną tylko jednego walca. Przycisnął usta do mojego ucha i powiedział: Już w 1951 ten pies śmierdział perfumami, i ktoś taki wchodzi do naszej rodziny. Jeszcze raz chce się zabawić z nami, tak. Chce z nami jeść, tak. No dobrze, to dostanie talerz dla honorowego gościa.

Mam dla niego coś w domu, wsypię mu truciznę do jedzenia. Jakże spokojnie potrafił to powiedzieć, oddychać przy tym lekko i utrzymywać takt w walcu, jak ktoś, kto zrobi to, co zapowiada. Na zewnątrz mnie kołysała się długa suknia, wewnątrz byłam kołkiem. Kilka razy nastąpił mi na brzeg sukni i przeprosił. Powiedziałam tylko:

— Nie szkodzi.

Przeszkadzało mi raczej coś innego. Miałam po dziurki w nosie długiej sukni, chciałam, żeby wciąż na nią nadeptywał, aż w końcu opadnie ze mnie. Po tańcu odprowadził mnie przez salę na miejsce, na koniec stołu do mojego męża. Trzy krzesła dalej teść pochyłał się nad ramionami swojej córki, rozpiął się jej koleczyk. Dziadek pogładził mnie po rękawie.

— Chcesz u niego zostać.

Nie zdążyłam zapytać, czy ma na myśli teścia, czy męża. Odchodził przez salę, miał na myśli obu. Szukałam go wzrokiem. Mąż przyciągnął do siebie moją rękę, żebym oczy też ku niemu zwróciła. I kiedy moje oczy stały się już obecne, a palce leżały między jego rękami na czarnych spodniach, czułam się tak, jakby biały rękaw wyciągał się w dal. Tym bardziej chciałam, żeby zachował palce na zawsze i żył ze mną tak, jakby wszystkie trzy ręce należały do niego. To, co dręczy mojego dziadka, nie jest naszą winą. Potem znowu zagrała muzyka, serwowano jedzenie. Między stolami zjawili się kelnerzy z półmiskami, weszli przez drzwi, przez które mój dziadek wyszedł i już nie wrócił.

Teść skończył jeść, jego ręce świeciły się od tłuszczu, paznokcie jak polakierowane, gorące policzki, żywe oczy, ani śladu trucizny. Na talerzu leżały obgryzione do czysta kości z kury. Potem znowu zagrała muzyka. Przypominający marynarza kucharz w białym kitlu z niebieską chustką na szyi i w białej czapce wyniósł na stół tort ślubny. Był to filigranowy domek, trzy piętra z oknami i zasłonami z lukru, na dachu dwa woskowe gołębie. Kucharz dał mi nóż do ręki, musiałam rozkroić dom, przez białą skorupę po brązowe ściany, aż wszyscy wkoło mieli przed sobą kawałek na talerzu. Uprzątnięto również duży i głęboki talerz mojego teścia. Podstawił swój talerzyk na ciasto:

— Poproszę taki cienki kawałek.

Ale kciukiem i palcem wskazującym pokazał gruby. Źle słyszałam i brakowało mi powietrza, moje serce porosło futrem, jakbym to ja zażyła truciznę. Poszłam szukać dziadka.

Nie było go na zewnątrz na ulicy ani w kuchni, ani przy instrumentach w komórce muzykantów. Siedział przy beczkach z winem i wódką, nie czekał na nic ani na nikogo i powiedział, kiedy chciałam się do niego przysiąść:

— Pobrudzisz sobie sukienkę.

Oparłam się o drabinę pożarową w kącie.

— Ten się perfumował, a nas pognali na dworzec, i jechaliśmy dwa tygodnie, potem staliśmy, około czterysta pięćdziesiąt rodzin, gdzieś w świecie przed jakimś kołkiem. Kołki w prostych jak sznur szeregach, na górze niebo, na dole glina, pomiędzy nimi my i szalone osty. Słońce wypaliło wszystko. Przez wiele dni twoja babcia i ja grzebaliśmy sobie w miejscu, gdzie stał kolek, dziurę w ziemi i przykrywaliśmy ją ostami. Przy ich zrywaniu pękała skóra. Wysuszał nas wiatr ze wschodu i to pragnienie, w promieniu trzech kilometrów żadnej wody. Z garnkami i miskami wybieraliśmy się do rzeki, ale kiedy z powrotem



docieraliśmy do naszej dziury w ziemi, nie było już w nich wody. Mieliśmy świerzb i wszy, twoja babcia musiała ogolić się na лыso, ja też. Tyle że dla kobiet ma to inne znaczenie, nawet osty mają długie białe włosy, wszędzie fruwały, wiatr nie dawał spokoju. Twoja babcia powiedziała: Widzisz, biały koń jest tutaj, biegnie za nami, porośniemy futerkiem. Wymachiwała wokół siebie rękami, wciągała głowę w ramiona i krzyczała: Precz stąd. Zaczęła błądzić, nawet w najdłuższe dni nie znajdowała powrotnej drogi między dziurami w ziemi. Wołałem: Anastazjo, Anastazjo. Jej imię słychać było za każdym liściem ostu, a ona nie odpowiadała. Od wołania rosło pragnienie. Kiedy w końcu stanąłem przed nią, jadła glinę, jakby siorbała wodę. Często śmiała się brązowymi, połamanymi zębami, dziąsła były przez jakiś czas popękane, potem skurczyły się, potem ich nie było. Nic więcej nie krwawiło. Sowie oczy i to zgrzytanie w ustach, upiór siedział w glinie. Ja umierałem z pragnienia, a ona się nie wstydziła, sięgała po ziemię i siorbała. Biłem ją po rękach, po ustach. Ze strachu przed włosami ostów wyrwała sobie brwi i rzęsy. Nagie jak jej głowa były też oczy, dwie krople wody. Boże, przy tym pragnieniu miałem ochotę je wypić. Postanowiłem przeszkodzić jej w umieraniu, zatrzymać ją tutaj siłą, bo miłość nie była możliwa. Coraz mocniej ją biłem, ponieważ nie wiedziała, jak się nazywa, ile ma lat, skąd przybyła i z kim. Oboje byliśmy o krok od zdechnięcia, ona bezlitośnie pomyłona i dobra, a ja przekłęcie jasno widzący i zły. Ona zostawiła siebie na lodzie, a mnie na świecie, śmierć wołała Anastazję głośniejsz niż ja. Ta fałszywa śmierć, a ona była jej niewolniczo posłuszna. Któż potrafi brać rzeczy takimi, jakie są, ja reagowałem biciem, wielu się przyglądało i nikt mi nie przeszkadzał. Inni nie byli lepsi ode mnie, ale to niczego nie zmienia. Chodzi o to, że byłem grubiański, a ona pozostała dobra. Miałem nie po kolei w głowie. Pchałem ją triumfalnie, trzymając za kark, i krzyczałem: Jeszcze się zdziwisz, wyschniemy jak strąki fasoli, tutaj nikt nie staje się koniem. Rozumiesz, nie rośnie tutaj żadne drzewo, które nadawałoby się na trumny. Już to widzę, jak z samych siebie robimy trumny. Czasami powłóczyła nogami i zaciskała oczy, czasami zwiślała bezwładnie, gapiała się na mnie i pytała: Jesteś strażnikiem, płacą ci za to. Dzięki Bogu nie brała tego łajdaka za swojego męża. Ledwo znalazła się w grobie, nadeszła pierwsza zima. Było jej dobrze, nie musiała patrzeć, jak dużo białych włosów spadało. Śnieg biczował, żaden jeszcze nie pokrył ziemi tak potwornie jak ten. Nie leżał, widać było tylko, jak biegnie. Słońce szlifowało go, fale i fale jak nóż. Także glina biegnęła latem przez upał, żółta i czerwonożółta i szara. Czasami białoniebieska, jak gdyby dopłynęło się do końca nieba, kręciło się od tego w głowie jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Ale śnieg pali inaczej niż glina, nawet jeżeli nie patrzeć, czyni oczy pustymi. Wielu z nas straciło rozum, w pojedynkę lub we dwoje, to nie miało już znaczenia. Tuż po jej śmierci przyjechał traktor i wyrównał nasze dziury w ziemi. Mieliśmy budować, w końcu byliśmy ludźmi, mówiono, powrót do domu powinniśmy wybić sobie z głowy. Może tak właśnie było dobrze, musiałem wyrabiać glinę i suszyć cegły, było mokro, wkrótce miała nadejść zima. Nie miałem czasu na myślenie. Jej zapleśniałe ubrania wymieniłem na siedem desek. Jak wszyscy inni budowałem dom, możesz sobie to wyobrazić, musiał być osiem metrów długi, cztery metry szeroki, 2300 cegieł to był dom. Każda cegła 38 centymetrów długości, 20 szerokości i 12 centymetrów grubości. I każdy mur był tak gruby, jak długa była cegła. Przy tej pogodzie wszystko wykrzywiało się i wykoślawiało. A na dachu słoma, osty, trawa, ciągle zabierał je wiatr. Na ścianie zewnętrznej rysowało się znak — czworokąt, szpic, koło, swego rodzaju numer domu, ponieważ liczby były zabronione. Żeby ujarzmić śmierć, namalowałem konia. Do końca wiedziałem, że nikt z nas nie zostanie koniem. Tylko okolica stawała się nim każdej zimy, ponieważ śnieg zawsze tak biegał. Zostałem jeszcze cztery lata w tym domu, nie pytam mnie, jak. A teraz musisz iść — powiedział mój dziadek — jeżeli kochasz jego syna, musisz teraz iść.

— Co on może na to poradzić — spytałam.

Podniósł wzrok.

— To złe pytanie.

— Co ja na to mogę poradzić — spytałam.

— Czy on może coś naprawić — sprostował dziadek — nie, nie może.

Kiedy wróciłam do sali, chciałam, żeby ktoś wyjął mnie ze skóry. Ponieważ nikt tego nie zrobił, musiałam coś w nią wepchnąć. Z tortu weselnego zostało jeszcze pół ściany z dwoma oknami, zjadłam firankę. Mój mąż tańczył ze swoją matką i z jej białą lakierowaną torebką. Kołysała się na jego plecach. Tato tańczył z białym kokiem mamy. Teść tańczył ze swoją córką i jej białymi butami. Zmierzyłam siebie wzrokiem, ten kolor przyjął się w rodzinie. Kto może to naprawić, ktoś w końcu musi.

*Kiedy koń przybywa na dziedziniec obozu,*

*ma okno w głowie,*

*czy widzisz, jak niebieścieje wieża strażnicza*

— śpiewał czasem dziadek podczas pracy w ogrodzie, i nie była to piosenka weselna.

Tramwaj stoi na światłach. I znowu czerwone, mówi motorniczy, ciekawe dla kogo, przez cały tydzień ludzka noga nie stanie tu na przejściu, ale ci stawiają światła i kleją się nadmuchanymi tyłkami do krzeseł w biurach. Przecież żaden z nich nie pójdzie do miasta, żeby przyjrzeć się swoim światłom. Jeszcze dostają za to premie, a mnie się je skreśla, bo za długo robię trasę. Stojący spoglądają na światła i milczą. Ktoś kicha. Raz, dwa, trzy razy. Od światel przecież się nie kicha, on kicha od słońca. I czwarty, i piąty raz. Nie mogę znieść, jak ktoś tak często kicha, zawsze tacy mali, chudzi mężczyźni, ci nie mogą przestać i brak im dobrych manier. Te blaszane jamniki, najwyżej za pierwszym razem zasłaniają usta, potem już nie. Za każdym razem ma się nadzieję, że to już koniec, a mimo to nie można nie czekać na następny raz. Głupiej się w głowie, odlicza i pomaga. Teraz kicha po raz szósty, dlaczego nie zatka sobie nosa i nie zaczerpnie siedem razy powietrza, powinien też trochę policzyć, to mu minie. Najwyraźniej nie zna tych sposobów, czy mam je wykrzyczeć przez cały wagon. Nie, polykanie powietrza wcale nie jest metodą na kichanie, siedem razy połknąć powietrze to lekarstwo na czkawkę. Trzeba tak długo masować nozdrza, aż przestanie wiercić w nosie, to jest sposób na kichanie. Jego oczy są już duże jak kasztany, jeżeli zaraz nie przestanie, wyskoczą mu z orbit. A co mnie to obchodzi. Ma szyję czerwoną z wysiłku, uszy go palą. Teraz kicha po raz siódmy „a psik”, od przyglądania się mam już pustkę w głowie. Mógłby przecież choć raz kichnąć inaczej niż „a psik”. Ale teraz to już koniec, nie, kicha po raz ósmy. Nic z niego nie zostanie, wykicha się, skurczy do wielkości kulki ze smarków.

Paul włożył zdjęcie do szuflady i spytał:

— Kim był twój teść wtedy, w latach pięćdziesiątych.

— Aktywistą partyjnym — powiedziałam — odpowiedzialnym za wywłaszczenia. Mój dziadek miał winnice na wzgórzach sąsiedniej wsi. Perfumowany komunista skonfiskował jego złote monety i biżuterię, wpisał jego i babcię na listę przeznaczonych do deportacji na stepy Baraganu. Kiedy dziadek wrócił, jego dom należał do państwa. Procesował się tak długo, aż znowu mógł się do niego wprowadzić, fabryka chleba miała tam biura. O domu rozmawiało się często, zazwyczaj podczas jedzenia, o babci mówiono tylko czasami: Postanowiła szybko umrzeć, nie dała sobie rady z tym przeklętym pierwszym latem. Nie umiała czekać i nie dożyła domu z gliny. W dniu mojego wesela perfumowany komunista po raz pierwszy wrócił do miasteczka. Nierozsądnie, jak się okazało. Myślał pewnie, że nikt go już tam nie pamięta, a może w ogóle się nad tym nie zastanawiał. Miejscowi ludzie byli dla niego plagą. Może zapamiętał tych kilkoro, którzy gotowi byli mu służyć. Nazwiska hołoty znał z list, ale nie twarze. Moja babcia była tylko jedną martwą z jego wyboru, a było ich dużo. Kiedy wrócił, chciał świętować. Dziadek rozpoznał go natychmiast,

po chodzie, po głosie, chociaż przedstawił się nowym nazwiskiem. Wtedy miał służbowe nazwisko, z terazniejszym się urodził. Jest synem dorożkarza, który po wojnie z dwoma brązowymi końmi zarabiał na życie jako furman. Woził drewno i węgiel do domów, również wapno i cement. Czasami też trumny na cmentarz, kiedy ludzie nie mogli opłacić elegancko rzeźbionego karawanu. Przez całe życie zmiótł więcej końskiego łajna, niż zobaczył pieniędzy. Jego synowie musieli biec za wyładowanym wozem, żeby oszczędzać konie, a kiedy się zatrzymywał, rozładowywali, machali łopatą albo nosili worki. Biały koń był dla mojego teścia pożegnaniem ze zwierzętami roboczymi, wsiadł na jego grzbiet i wydobył się z błota. Jak małpa na oślece jeździł przez wieś i nienawidził tych wszystkich, którzy byli bogatsi od furmana. Perfumy były jego drugą skórą. Perfumowany komunista, jak to możliwe — spytałam Paula. — Kto to jest właściwie komunista.

— Ja — powiedział Paul. — Zostałem przykładowie wychowany, odrabiałem prace domowe, a kiedyś ojciec zawołał mnie do kuchni. Jego miseczka do golenia stała na stole, a na piecu gorąca woda. Namydlił mnie aż po dziurki od nosa i przyniósł swoją brzytwę. Miałem wtedy na brodzie trzy włosy na krzyż. Byłem dumny z siebie, zacząłem się golić i wstąpiłem do partii, dla mojego ojca wszystko to się łączyło. Mówił, że urodził się przed czasem i może tylko iść z nim ramię w ramię. Najpierw faszysta, potem illegalista. Ale ja wrodziłem się w czas i muszę go wyprzedzić. Tych kilku prawdziwych illegalistów mawia dzisiaj nie bez powodu: Było nas mało, zostało wielu. Potrzebowano wielu, wyłazili jak osy z dawnego życia. Kto był wystarczająco biedny, zostawał komunistą. I wielu bogatych, którzy nie chcieli trafić do obozu. Teraz ojciec nie żyje i jeśli istnieje niebo, przedstawia się tam jako chrześcijanin. Motor należał do niego. Moja matka była ślusarką. Teraz jest na emeryturze i co środa spotyka się z pomarszczonymi towarzyszami ze swojej brygady w cukierni koło sklepu żelaznego na placu targowym. Kiedy jako dziecko szedłem z ojcem przez miasto, pokazywał mi swoje zdjęcie jako przodownika pracy na tablicy honorowej w parku ludowym. Chętniej przyglądałem się wiewiórkom, z których każda nazywała się Mariana i chrupała pestki z dyni, ponieważ ludzie nie mieli orzechów. Pestki można było kupić przy wejściu do parku. To czysty wyzysk, mówił ojciec, garść pestek z dyni za jedną leję. Nie kupował mi ich nigdy.

— Wiewiórki same znajdują pożywienie — mówił.

Musiałem wołać Mariany z pustymi rękoma, a one przychodziły nadaremnie. Wołając je, wsadzałem ręce do kieszeni spodni. Pamiętam, jak przed tablicą honorową na głównej alei ojciec powiedział:

— Chłopcze, nigdy nie patrz ani na lewo, ani na prawo, zawsze przed siebie, ale pozostań elastyczny.

Potem wcisnął mi czapkę na głowie, tak że lewe ucho zakrywała bardziej niż prawe, i poszliśmy dalej. Na skrzyżowaniu wywrócił oczami i stwierdził:

— Najpierw trzeba popatrzeć na lewo i prawo, mój chłopcze, czy nie jedzie samochód, przy chodzeniu jest to konieczne, przy myśleniu szkodliwe.

Jeden jedyny raz odwiedził mnie tutaj w mieście, dumny, że mieszkam w bloku w kształcie wieży, to coś całkiem innego niż dom taki jak nasz, z górą przed nosem, tutaj ma się powietrze i widok. Wyszedł na balkon, ale nie zdążył się rozejrzeć. Natrafił na narzędzia i anteny i spytał:

— Co, pracujesz tutaj na czarno.

To, że anteny są na zagraniczne programy, skomentował tak, jakby mówił o trzeciej osobie:

— Mojemu synowi smakują pieniądze, tak wystawia się socjalizm na drwinę. A co po tym przyjdzie,

czysty kapitalizm. A tam aż do padnięcia na nos można majsterkować przy antenach, a i tak nie będzie się należeć do tych, co wymachują pieniędzmi.

Powiedziałem:

— Zarabianie pieniędzy nie jest drwiną, i nie jest to zabronione.

Wtedy stwierdził:

— Nie jest to też dozwolone, ale i tak nikogo nie pytałeś.

— Jak to kapitalizm — powiedziałem — nie zarabiam dolarów, a w Jugosławii i na Węgrzech jest socjalizm, tak jak tutaj, też w telewizji.

— W ostatnich czasach więcej jest w partii spekulantów niż bojowników — powiedział — a tak w ogóle pieniądze psują charakter.

— Ale ty mówisz o swoim synu — powiedziałem — masz tylko jednego, i to ja nim jestem. A co ty osiągnąłeś. Karierę na żelazie stopionym na widły do gnoju i traktory. I co jeszcze. Wciąż jeszcze nie mamy raju na ziemi. Ale twój mózg kwitnie na czerwono. Kiedy staniesz przed Panem Bogiem, on zobaczy twoje światełko na czole i spyta: No, mój grzeszniku, co mi przyniosłeś. Dwa przeżarte płuca, zrujnowane dyski w kręgosłupie, chroniczne zapalenie oczu, niedosłyszenie i przetarty garnitur, odpowiesz. A co zostawiłeś na ziemi: moją książeczkę partyjną, czapkę z daszkiem i motor, odpowiesz.

Ojciec zaśmiał się:

— Oj, oj, do tego dojdzie, jeśli zostaniesz Panem Bogiem. Ale wiesz, że ja jeszcze w niebie będę musiał się za ciebie wstydzić, ponieważ tam twoją czarną robotę na dachach widać jak na szachownicy.

Mnie odechciało się mówić, jemu nie. Spojrzał na zegarek i powiedział:

— Mam nadzieję, że w tym mieście tylko parę procent potrzebuje zagranicznych rozgłośni. Kiedy te dzwońce dostaną już swoje anteny, skończy się to.

Powiedziałem:

— Jesteś zły, stary i zazdrosny, nawet o mnie.

Ojciec milczał, zaczerpnął powietrza i nasunął czapkę na lewe ucho. Wyglądała dokładnie tak samo jak moja, kiedy jako dziecko stałem przed honorową tablicą. Tyle że teraz ojciec miał ją na głowie, spojrzął na zegarek i oświadczył:

— To wszystko na nic, teraz jestem głodny.

— Twój ojciec był zgorzkniały — powiedziałam — inaczej nie obstawałby z takim uporem przy swoim, ale nie był niebezpieczny dla innych. Mój teść wspinał się wysoko i żadna ludzka dusza nigdy się od niego nie dowie, dlaczego spadł z tych wysokości. Są tylko plotki. Wszyscy jednak pamiętają, jak perfumowany komunista jeździł od domu do domu, swojego siwka przywiązywał w cieniu drzew, a pejcz do grzywy konia. I że siwek nazywał się Nonjus. Mój dziadek opowiadał, że chłopci musieli przynosić siano i wiadro

świeżej wody. Siwek jadł i pił, jeździec szukał w tym czasie w domach zboża i złota. Plany pól były ponumerowane w jego papierach. Po każdym wywłaszczeniu szedł z powrotem do konia, zdejmował z szyi siwka kolorowy upleciony ze skóry pejcz. Na końcu sznurka był jedwabny frędzel, a na końcu trzonka nakrętka z rogu. Otwierał trzonek, w środku miał ołówek. Wyciągał z kurtki kartkę i przekreślał jedną liczbę. Kiedy jechał przez wieś, czekały za nim psy. Czują, że ten typ na koniu zabiera wsi spokój. Nienawidził tych kundli, jego pejcz strzelał w powietrzu i doprowadzał je do jeszcze większej wściekłości. Małe pieski, właściwie szczekające koty, przewracały się obok kopyt. Trzeci, czwarty, czasem dopiero dziesiąty strzał z pejcza trafiał je w kark albo między uszy. Potem jechał dalej, w kurzu prawie nie było słyhać kopyt. Martwe psy zbierało się z ulicy dopiero, gdy nastał późny wieczór i wiadomo było, że on już nie wróci. Leżały tam jasne brzuchy, nabrzmiwały w słońcu zabite na miejscu, ich oczy i pyski należały do much.

Służbom bezpieczeństwa dostarczał chłopów wielkorolnych, średniorolnych, potem małorolnych. Był pracowity, powoli zrobiło się ich za dużo i byli za biedni. Panowie z miasta odsyłali wielu następnym pociągiem z powrotem do wsi.

Pewnego ranka martwy siwek leżał w stajni, zatruty koniczyną. Dzień i noc mężczyźni z okolicy byli wypytywani i bici, dwaj jego wyrobownicy, łajdacy ze wsi, zmieniali się. Trzech mężczyzn zostało oskarżonych i aresztowanych. Cała trójka nie żyje, ale żaden z nich tego nie zrobił. Dwóch łajdaków załadowało siwka nocą na traktor i pogrzebało w dolinie między wsią a miasteczkiem, za winnicami. Mój teść pojechał z nimi. On i jeden z łajdaków siedzieli z latarnią obok końskich zwłok na przyczepie. Musieli pić wódkę, ponieważ koń tak śmierdział. Drugi łotr siedział trzeźwy za kierownicą, jechali w stronę pagórków. Dużo padało, traktor ugrzązł w miękkiej ziemi. Typ zza kierownicy opowiadał następnego dnia, że świerszcze, żaby i inne nocne stworzenia krzyczały na wyścigi w świeżo umytej trawie, że końskie ścierwo śmierdziało aż do księżyca. Byliśmy w worku diabła, powiedział. Wielki komunista wściekł się tej nocy. Grzązł w błocie, szlochał i przeklinał. Rzygał nieustannie, oczy mu prawie pękały, już nic nie miał w żołądku. Kiedy grób został wykopany i koń zdjęty z traktora, rzucił się na ziemię i uwiesił na końskim karku. Nie chciał go puścić. Dwaj łajdacy musieli go zaciągnąć do kabiny i przywiązać do siedzenia. Tam siedział też w drodze powrotnej, przywiązany, brudny, zarzygany i niemy. Kiedy traktor w połowie drogi do domu był znowu na pagórku, kierowca rozwiązał go i spytał: Zrobić małą przerwę. Rozwiązany potrząsnął przecząco głową. Księżyc świecił mu w oczy, błyszczwały martwo niczym śnieg. W warkocie traktora zaczął się modlić. Jąkając się, wyrzucał z siebie jeden *Ojcze nasz* za drugim, aż pojawiły się domy na skraju wsi. Ludzie we wsi do dziś wierzą, że ten pogrzeb był jego końcem. Nie tylko szlachetnego komunistę ogarnął tej nocy strach, który tkwi w każdym człowieku. W worku diabła również jego dwaj posługacze usłyszeli, jak im bije dzwon. Kierowca zaczął chodzić do kościoła i opowiadał każdemu, kto tylko chciał słuchać, o nocnym pogrzebie. Perfumowany komunista został zdjęty z rewiru. Nigdy nie ucichła plotka, że kierowca nie tylko pogrzebał, ale i otrul konia. Na krótki czas zniknął, we wsi sądzono, że został aresztowany, tak jak sobie na to zasłużył. Ale pojawił się znowu, a kilka dni później miał tylko lewą rękę. Ponieważ wszyscy w okolicy go znali, chciał zniknąć, zaczął ubiegać się o posadę kościelną w innej wsi i dostał ją. Tam powiedział, że stracił rękę na wojnie. Znalaziono ją w puszczy na mąkę w jego kuchni, kiedy się wyprowadził. Ponieważ kilka lat po wojnie na kościelnych przyjmowano tylko kaleki, sam sobie obciął rękę.

Paul gotował kawę, na ogniu szumiała woda, przed oknem kuchennym przeleciał kos, usiadł na blaszanym gzymsie i dziobał swój własny cień.

Przez jakiś czas przylatywały dwa, powiedział Paul, potem jeden leżał obok wejścia, mrówki zabrały się już do roboty.

Paul zamieszał kawę, łyżeczka zabręczała, położyłam palec wskazujący na wargach:

— Ciii.

— Możemy mówić dalej, i tak zaraz odleci. — Ale łyżeczkę odłożył bezgłośnie. Na stole przed moimi rękoma czerwona puszka do kawy, żółta jak żółtko marmolada i białe kromki chleba. Na zewnątrz pionowe niebo, bladożółty dziób i pióra ze smoły. Każdy przedmiot przyglądał się drugiemu. Paul nalał kawę do filiżanek, para zakręcała się wokół jego szyi. Dotknęłam filiżanki i pokazałam gorącym palcem okno — kos odleciał, kawa wciąż jeszcze była za gorąca.

Perfumowanego komunistę przeniesiono do zakładu ogrodniczego, i tam już został. Biały koń do dzisiaj zachował swoją moc, mój teść nadal nie należy do piechoty, od tamtej pory nie musiał przepracować ani jednego dnia. Ponieważ nie było z niego pożytku ani jako z szefa, ani jako z robotnika, został strażnikiem i jest nim do dziś. Nauczył się recytować łacińskie nazwy roślin płynnie niczym modlitwę. W niedzielę chodził z żoną, córką i synem na spacer, później również ja w tym uczestniczyłam. Wyłamywał sobie małą, zawsze prostą gałąź z zarośli, obskubywał liście, kijkiem pokazywał barwinek na drodze i mówił: *Vinca minor*, i wszystko, co o nim wiedział. Koło ławki mówił: *Aruncus dioicus*, i wszystko, co wiedział o parzydło leśnym. A na następnej dróżce: *Epimedium rubrum* i *Plumbagum*. Obok niecki rosła jego *Hosta fortunei*. Trzeba było przystawać i słuchać. Mój mąż mówił, że wcześniej był jeszcze surowszy. Kiedy on lub jego siostra roześmieli się, całymi dniami nie odzywał się do nich ani słowem. Pewnego dnia ostatniego lata, kiedy jeszcze u nich mieszkalam, chciałam przynieść sobie z głębi ogrodu stokrotek do wazonu. Zobaczyłam, jak teść głośno ze sobą rozmawia pod orzechem, nie tylko ustami, również rękami i nogami. Był tak w tym pogrążony, że zauważył mnie dopiero wtedy, kiedy stanęłam koło niego. Wiedział, że musiałam go widzieć, idąc w tę stronę, ale uśmiechnął się bez zażenowania i zadał pytanie, które ja właściwie powinnam była mu postawić:

— Boli cię głowa od słońca.

— Nie, chcę nazbierać stokrotek.

— Naprawdę dobrze się czujesz.

— Tak, a ty.

— Dlaczego ja, ja mam nos pośrodku twarzy. — Ja też, a ty pytasz mnie mimo to.

— Nie mam powodów do skarg — powiedział.

Zastanawiałam się, czy nie istnieją dwa egzemplarze mojego teścia. Jeden z bliska, spokojny, i jeden z daleka, w którym mamrocą zmarli. Żeby ich przepłoszyć, musi strząsnąć brzemię. Potajemnie, jeśli to możliwe. Jeśli nie, to publicznie, ale tak, żeby go podziwiano, a nie obdarzano współczuciem. A jak to możliwe — najlepiej w tańcu. Byliśmy sami w domu, ja i on. Mój mąż i teściowa mieli tego popołudnia coś do załatwienia w mieście. Nie zrywałam więcej stokrotek, nie ze strachu przed nim, lecz przed białymi stokrotkami...

Przez to recytowanie łacińskich nazw już wtedy nie rosły na świecie żadne liście. Jego ręce nie nauczyły się niczego poza uszlachetnianiem róż. Dwa lata temu zakład ogrodniczy miał dostarczyć wieńce na państwowy pogrzeb pewnego dyrektora fabryki, dwadzieścia wieńców wielkich jak koła. Mój teść chciał się wyróżnić i zlecił uplecenie czegoś szczególnego. Zarządził lilie i paproć zamiast tradycyjnych wieńców

z goździków i bluszczu. Na cmentarzu bohaterów wyladowano z samochodów zamiast wieńców brązowe kołtuny. Po trzydziestu latach pracy nie był zdolny przewidzieć, że lilie zwiędną w ciągu pół godziny. Groziło mu zwolnienie, ale miał pod ręką główną panią inżynier. Dwadzieścia osiem lat młodsza od niego, dobrze zbudowana i prosto po szkole, uwijała się niezmordowanie i potrafiła rozkazywać lepiej niż on. Dni pracy były długie, niebo ciepłe, lato zielone. Kiedy czerwiec przechodził w lipiec i na gałęziach krzaków rosły gęsto liście, mój teść zaczął oblapywać nową panią inżynier. Od początku nie była temu przeciwna. Mszyc i roztoczy nie było dużo w tym roku, mieli dla siebie sporo czasu. Inspektorka od mszyc zapewniła dyrektora, że lilie zazwyczaj stoją długo. Że w tym roku mówi się w fachowych kręgach o południowofrancuskim mączniaku, który nawiedza cmentarze, ponieważ szkodniki ze względu na spokój zmarłych nie są zwalczane na grobach. Kiedy świeże cięte kwiaty znajdują się w jego pobliżu, schną wszystkie w mgnieniu oka. Z goździkami stałoby się to samo, powiedziała dyrektorowi. A ten jej zawierzył, gdyż jego wiedza, chociaż był tuż przed emeryturą, pozwalała najwyżej na odróżnienie goździka od rumianku.

Chętnie bym się dowiedziała, ilu ludzi z naszego bloku w kształcie wieży, ze sklepów na dole, z fabryki albo z całego miasta zostało kiedyś wezwanych. Przecież u Albu codziennie coś się dzieje za każdymi drzwiami w korytarzu. Faceta z teczką, który szybko pobiegł po aspirynę, nie widzę w wagonie. Może spóźnił się na tramwaj albo było tu dla niego za tłoczno. Jeżeli ma czas, może poczekać na następny. Koło mnie usiadła kobieta z tyłkiem szerszym od siedzenia, do tego jeszcze rozstawiła nogi, a między nie wsunęła torbę. Jej udo ociera się o mnie, ona grzebie w torbie i wyciąga rożek z gazety z rozmoczonymi, czerwonymi jak krew guzami. Wyciąga z rożka garść czereśni, akurat czereśni. Pestki wypluwa do drugiej ręki. Zajada, jakby nie miała czasu, nie obgryza pestek do czysta, na każdej zostawia trochę miąższu. Czemu się tak śpieszy, przecież nikt jej nie zeżre tych czereśni. Czy kiedyś była już wzywana. Albo czy kiedyś zostanie wezwana. W ręce ma tyle pestek, że nie może zacisnąć palców. Jeśli chodzi o mnie, mogłaby wypluwać pestki na podłogę albo niezauważalnie upuszczać, mnie to nie przeszkadza. Tramwaj pełen jest ludzi, im to również przypuszczalnie nie przeszkadza. Motorniczy znajdzie je dopiero wieczorem i się rozzłości, ponieważ będzie musiał pozamiatać wagon, ale przecież po całym dniu na podłodze będą się walały też inne rzeczy. Co też temu staremu oficerowi przyszło do głowy z Lilli. Co roku jest przecież czas czereśni, od czereśni majowych po czereśnie wrześnieiowe, będzie tak, jak długo będzie istniał świat, czy się tego chce, czy nie. I co on ma z tego, w więzieniu nie ma czereśni. Dobrze, że wagon jest teraz zapchany, u Albu mam wystarczająco dużo miejsca. I w drodze powrotnej, jeżeli taka będzie dzisiaj. Jak zrobi się późno, tramwaje będą jeździły rzadko. Poczekał, wsiałę do wagonu z kilkoma ludźmi, w nedorzeczne żółte światło. Jeśli któryś z nich późnym wieczorem, może po kolacji, ma ochotę na czereśnie, może je spokojnie jeść.

Dopiero po dwóch dniach poszłam do gospodarza. Zwróciłam dług, dwa tysiące lei. Jego dłonie były pokryte tak samo cienką skórą, jak twarz. Odliczałam banknoty, a jemu się zdawało, że liczy ze mną tylko w myślach, ale słychać było szept. Zmięty banknot upadł na podłogę, podniosłam go i nie rozprostowałam, źle go położyłam, a dłoń gospodarza nie chwyciła pewnie. Stary był w braniu jeszcze gorszy niż ja na pchlim targu. Co miał na myśli, kiedy powiedział:

— Mój Boże, mam ręce brudne od obierania kartofli, robię sobie dzisiaj puree. Lubi pani puree.

— Ja już jadłam.

— Ze sznyclem i sałatą.

W tym momencie widzę, że z kieszeni sterczy mu drewniany trzonek, i jest to trzonek noża. Nie zostawił noża do obierania kartofli w kuchni, kiedy zadzwoniłam, tylko wsadził do kieszeni. Albo kogoś oczekuje i

chce go mieć przy sobie. Albo zapomniał o nim, i dopiero podczas otwierania drzwi pomyślał o tym, że nóż w dłoni może przestraszyć gości. W pośpiechu odliczam mu pieniądze, żeby móc szybciej pójść. Potem jednak ubiliśmy interes. Uśmiechnął się, pisnął, odkupił ode mnie lodówkę i dywany i dał mi o stówę więcej, niż dostał ode mnie. Żeby ją przynieść, idzie z powrotem do kuchni. A kiedy wraca z nową stową, nóż wciąż jeszcze tkwi w jego kieszeni, ponieważ znowu o nim zapomniał albo zachował go specjalnie.

— Wprowadzam się do mężczyzny z motorem — powiedziałam.

— Do tego z targu.

— Zna go pan — spytałam.

— Jeżeli to ten.

— Pan był też na targu.

— I w Myśliwskim Lasku — powiedział. — Poszukam sobie kogoś dopiero zimą, wtedy mieszkania są droższe. Tylko dla pani nie, jeżeli coś się nie uda, niech pani wraca.

— Czy dlatego kupił pan lodówkę i dywany.

— Nie, potrzebuję tego.

W tym momencie nie wiedziałam, czy ma na myśli rzeczy, czy mnie, i powiedziałam:

— Mieszkam w przesuniętym bloku w kształcie wieży. Wiedział, gdzie to jest.

Pierwszego ranka w przesuniętym bloku w kształcie wieży Paul i ja rozmawialiśmy tak długo, aż słońce stanęło w południu. Dziwiłam się, jak daleko trzeba wrócić myślami do matek i ojców, tylko po to, żeby opowiedzieć, skąd jedno z nas przychodzi do drugiego. Chusteczki do nosa, czapki, wózki dziecięce, drzewa brzoskwińowe, guziki od mankietów, mrówki — nawet pył i wiatr miały swoją wagę. O minionych latach łatwo mówić, jeśli upłynęły źle. Jednakże gdyby trzeba było opowiedzieć, kim jest się teraz, podczas oddychania, na języku leżałoby jedynie miałkie milczenie.

Po południu Paul poszedł do sklepu i kupił sobie butelkę żółtej zubrówki. Słońce wstępowało w wieczór, wódka w głowę Paula. Na kuchennym stole śpieszyła się dokądś mrówka, Paul wymachiwał nad nią zapalką.

*Dokąd idą mrówki, do lasu.*

*Dokąd poszedł las, na drewno.*

*Dokąd poszło drewno, do ognia.*

*Dokąd poszedł ogień, do serca.*

Nagle zapalka zapaliła się, była to jakaś czarna magia, ponieważ Paul trzymał pudełko w drugiej ręce pod stołem. Zapalka wykrzywiła się, płomień lizał jego kciuk. Paul dmuchnął, popatrzył w smugi dymu.



*I serce stanęło,*

*I idą mrówki.*

Paul nie był pijany, tylko podchmielony. Rausz wisiał mu dopiero na uchu, bardziej na zewnątrz niż wewnątrz. Kiedy mrówki wędrują przez serce, mnie nie jest do śmiechu, ale Paul się roześmiał, i mnie też zaczęło korcić. Jego rausz zaraził mnie, wódka nie miała jeszcze wtedy ani śladu ciemności, a ja lęków przed piciem Paula. Przez pierwsze pół roku Paul nie pił za dużo, wieczorem żdźbło trawy stało zanurzone do połowy. I przez pierwsze tygodnie siedł po powrocie z pracy na balkon. Iskry podczas spawania, i jak szybko gasły. Dokąd poszedł ogień, wciąż widziałam zapałkę i mrówki w sercu. Czasami Paul gwizdał piosenkę, było w niej więcej opiłków żelaza niż muzyki, tak fałszował. Co tydzień kończył jedno poroże anteny, i wystarczyłoby ich już prawie na niedzielę na targu i kupę pieniędzy. Paul nie zdążył ich jednak sprzedać. Dwaj młodzi mężczyźni zapukali do drzwi.

— Praca na czarno i działanie na szkodę państwa przez zagraniczne kanały — powiedzieli.

Bez pytania zapakowali narzędzia i żelazne pręty do przyniesionych worków i zjechali windą do małej ciężarówki, widać ją było z kuchennego okna. Gotowe anteny postawili na klatce schodowej. Paul powiedział:

— Jeżeli macie już wszystko, zamknijcie za sobą drzwi.

Wziął butelkę wódki i poszedł do kuchni. Ja opierałam się o ścianę na klatce schodowej, żeby nie stać na drodze, i przyglądałam się tym dwóm. Znosili anteny na dół na piechotę, w każdej ręce po jednej. Spiesznie stukające kroki, a do tego echo, płochliwa zwierzyna ze skradzionym porożem. Jeden nie odstępował drugiego ani na chwilę, przychodzili i wychodzili trzy razy, zawsze we dwóch. Za ostatnim razem jeden z nich, zmęczony, wydał policzki, widziałam, jak klei mu się koszula do pleców, i powiedział:

— Musimy.

— No to rób swoje — powiedziałam — tylko nie próbuj mi wmówić czegoś innego, niż widzę.

Pozwoliłam im odejść ze wszystkimi porożami, potem ich nie było, a ja musiałam walić pięścią w drzwi do kuchni, aż Paul otworzył. Wódka się skończyła, a Paul przeszedł przez pokój na balkon, potykając się o własne nogi, tak jakby miał ich więcej niż dwie, i zawołał:

— Ten szpieg siedzi tam i gapi się.

W bloku naprzeciwko, dwa piętra niżej, siedziała na balkonie kobieta i coś szła.

— Zostaw ją w spokoju, przecież nie patrzy w górę.

— Może szyc gdzie chce, ale nie na balkonie.

— Przecież to jej balkon, ona się ciebie nie czepia.

— Zaraz zobaczymy — powiedział Paul.

Potoczył się do pokoju i przyniósł krzesło. Stał na nim jak niezgrabne dziecko. I podczas gdy ja

zadawałam sobie pytanie, po co, i trzymałam go, żeby nie spadł, on opuścił spodnie i zaczął sikać z balkonu na ulicę. Kobieta zebrała swoje przybory do szycia i weszła do pokoju.

W fabryce motorów odbyło się zebranie z powodu ukradzionych przez Paula żelaznych prętów. Został zwolniony. Kumple z jego hali siedzieli w ostatnich rzędach niemi jak kupa gówna w krzakach, powiedział Paul. Wszyscy kradli już wtedy i czynią to do dziś, w domu robią konewki, młynki do kawy, grzałki, żelazka, rurki do karbowania włosów, lokówki i dobrze je sprzedają. Co drugi z nich to taki Nelu, nie trzeba pisać kartek, można i bez nich.

Paul nie jest wzywany, ale się go nie oszczędza. To ja wtargnęłam w jego dni, kiedy się do niego wprowadziłam. W moim oddechu wytropiono by każde, nawet tak ciche życie, nie przeoczono by nikogo, kto jest ze mną. Paul jest karany za mnie. Ranią moje serce również w te dni, kiedy nie jestem wezwana, ponieważ zajęli się Paulem. Wypadek miał on, nie ja. Niezależnie od tego, czy zaryzykowano to, żeby mi coś udowodnić, czy z jego powodu, ponieważ sobie na to zasłużył, koniec może być taki sam. Różnica jednak pozostanie. Przed wypadkiem czekanie przychodziło Paulowi trudniej niż mnie. Kiedy był w mieście na swoich pijackich wypadach, czekałam, kiedy wróci. On jednak, kiedy byłam wezwana, czekał, żebym wróciła. Od wypadku czekam tak jak on. Kiedy myślę o wszystkich znanych mi ludziach z grzebieniami, tylko co do dwóch osób jestem pewna, że im ufam. W przypadku Lilli to już nieaktualne, pozostaje jeszcze tylko Paul. Widać, o czym myślisz, mówi major. Jeżeli to prawda, powinnam poznać po ludziach, czy i oni są wzywani, przynajmniej po sąsiadach. Możliwe, że oni widzą po mnie Albu, tylko nie chcą się z tym zdradzić.

Stary Micu, ten, co mieszka na dole koło wejścia na klatkę schodową, powiedział mi w ubiegłym roku, we wrześniu, że był wezwany w kwietniu.

— Z twojego powodu — dodał.

Jakbym była temu winna. Kiedy wprowadziłam się do Paula do bloku w kształcie wieży, zwracał się do mnie „pani”. Odkąd on został wezwany, a ja stałam się winna, mówi do mnie „ty”. Był szoferem dyrektora fabryki butów i — sądząc po wyglądzie — z pewnością również swojego rodzaju ochroniarzem, uważa Paul. Pani Micu była sekretarką w liceum muzycznym. Mają dwóch synów, którzy rzadko piszą i nigdy nie przyjeżdżają. Paul rozmawia często z panem Micu, więcej o pani Micu niż o sobie i o nim. Ona jest w jego wieku i od przejścia na emeryturę zawsze w domu. A on snuje się cały dzień koło wejścia albo po ulicy ze sklepami i szuka partnerów do rozmowy. Kiedy przyszedł do domu, siedział przy wejściu na schodach i jadł dopiero co umyte ciemne winogrona. Wstał i wszedł ze mną do środka, z jego winogron kapało aż do windy. Dopiero kiedy nacisnęłam przycisk i winda zaczęła telepać się z góry na dół, powiedział mi, że był wzywany z mojego powodu.

— Dlaczego pan poszedł — powiedziałam. — Ja muszę, bo jestem wzywana z mojego powodu. Z powodu innych nie poszłabym.

— Kto w to uwierzy — powiedział.

Kciukiem i palcem środkowym obrywał winogrona, szybciej, niż zdążyłam policzyć, a usta trzymał przy moim uchu, każde winogrono pryskało, kiedy je rozgryzał. Odchylał mały palec. Był zmanierowany, co takiego mężczyzną jak on, któremu podczas jedzenia skrzypi sztuczna szczęka, czyni jeszcze brzydszym. Czy chce kilka winogron, spytał, ponieważ nie spuszczałam z oczu jego ręki.

— Przecież niczego ci nie wyrzucam — powiedział.

— Czego więc pan chce.

— Też mam dzieci.

— Dzieci w nic się nie wtajemnicza — powiedziałam.

Kiedy winda była na dole i drzwi się otworzyły, wsadził głowę do środka, jakby ktoś mógł stać na suficie, bo podłoga przecież była pusta. Postawił nogę w otwartych drzwiach.

— Czatowałem na ciebie tutaj, ponieważ nigdy nie wiadomo, kiedy wrócisz. Muszę to zapisywać.

W jego oku odbijała się ostatnia skrzynka na listy wisząca za mną na ścianie albo może też żrenica sama z siebie zrobiła się biała i czworokątna. W jego drugie oko już nie zajrzałam, ponieważ wyszeptał:

— Dwa zeszyty do rachunków są już pełne, sam muszę je kupować.

Oberwał wszystkie winogrona, na każdym drobnym ogonku wisiał skrawek ciemnej skóry. Potem popatrzył wzdłuż skrzynek w stronę wejścia.

— Nic ci nie powiedziałem, ja przysięgałem, co znaczy przysięgałem, wszystko na piśmie, czarno na białym.

Pani Micu gra dobre pół życia w totolotka. Po tym, jak przeszła na emeryturę, gra się rozrosła. Zawsze wiedziała, że kiedyś w życiu spadnie jej prosto z nieba wielkie bogactwo. A ponieważ zrobiło się późno, wierzy w to coraz bardziej. Co środa, kiedy są odczytywane ciągnięcia, czeka w niedzielnej sukience w czerwone kwiaty. W przedpokoju stoją jej brązowe lakierki, żeby mogła w nie szybko wskoczyć, kiedy zadzwoni posłaniec z totalizatora. Zazwyczaj przez całą środę nikt nie dzwoni, ponieważ wszyscy w bloku wiedzą już, jak drażliwy jest to dzień. Najwyżej listonosz albo zapominalski sąsiad odważa się stanąć przed drzwiami. Kiedy pani Micu w niedzielnej kreacji powoli zamyka od wewnątrz drzwi, znowu została oszukana. Wtedy wali się cały świat, ona chowa twarz w fotel i szlocha. Pan Micu rozbija kilka talerzy o ścianę i zmiata skorupy. Potem panuje już nad sobą i pocieszają. Wkrótce zaczyna się lista przebojów w lokalnym radiu. Wszystko uładza się w ciągu tygodnia, aż znowu jest środa i znowu przychodzi czas na jego żonę. Paul często słyszał jej płacz zza drzwi i pytał pana Micu, jak on to wytrzymuje. Przyzwyczał się już do swojego krzyża, odpowiedział. Tak samo jak przyzwyczał się do tego, kiedy jeszcze był szoferem, a ona sekretarką, że w szkole i mieście zbierała rubiny, czerwone kawałki szkła. Zawsze była takim dzieckiem muz, mówi. Kiedy pierwsza szkatułka była pełna okruchów szkła, poszła z nią do muzeum miejskiego, a potem do złotnika. Ponieważ groziła samobójstwem, pan Micu wysłał ją do zegarmistrza, któremu przedtem postawił w barze kilka wódek, żeby w końcu ktoś przyznał jego żonie, że w szkatułce są rubiny. Z niedzielną sukienką nic się nie zmieni, w środowe wieczory będzie w milczeniu odwieszana do szafy, a od czasu do czasu rozlegnie się płacz. Z samobójstwem jest jednak spokój. Zegarmistrz opłacił się, mówi pan Micu, wiele nerwów bym sobie zaoszczędził, gdybym w porę wpadł na ten pomysł.

Krótko po tym, jak wprowadziłam się do bloku w kształcie wieży, pani Micu stała oparta o ścianę przy wejściu. Była w rajstopach, w podomce zapiętej na mnóstwo guzików. Na jej policzkach błyszczał meszek, wokół brody białe, przetarte futro, wzdłuż warg rzadki wąsik, zakręcony do góry pod każdą dziurką od nosa. Pani Micu ssła palec wskazujący i śliną zakreślała kręgi wokół oczu, jak koty, kiedy się myją. Poszłam do windy. Nie ruszając się z miejsca, zawołała:

— Panienko.

Pokazała mi czerwony odłamek szkła.

— Czy widziałaś już kiedyś taki duży rubin.

— Jeszcze nigdy — powiedziałam.

— To byłoby przecież coś dla angielskiej królowej, myślę, że wyślę go jej, co o tym sądzisz.

— A jeśli ukradną go na poczcie.

— Masz rację — powiedziała i schowała go do podomki.

Musiała zauważyć pisemne obserwacje pana Micu. Pewnego dnia, długo przed tym, zanim jej mąż mnie wtajemniczył, gdy przyszedłam po południu z miasta, stanęła pośrodku wejścia w czerwonej ścierce do naczyń wokół szyi. Zagroziła mi drogę ramieniem i powiedziała:

— Najpierw wyszłaś ty, potem Paul. Ale wrócił tylko Paul.

— Ale teraz i ja już jestem — powiedziałam.

— Po nim — odpowiedziała — a do mnie przyszedł najpierw Radu, trzy kilo dziesięć, a potem Emil, trzy kilo piętnaście. Marę pominęłam, mój mąż nie chciał, żeby przyszła. A potem znowu przyszedł Emil, dwa razy, to przecież niemożliwe, ale wtedy rozerwane bliźniaki były możliwe.

Nie wiedziała, co jest ścierką do naczyń, a co szalem. Ale wagę swoich dzieci po urodzeniu recytowała jak mój dziadek wymiary glinianych cegieł w obozie.

Częściowo ze złośliwości, gdyż zapisuje moje wyjścia i przyjścia, i kto wie co jeszcze, częściowo z wdzięczności, ponieważ zwierzył mi się z tego, kupiłam panu Micu zeszyt do algebry. Niechby ogarniała go niepewność, kiedy będzie musiał w prezencie ode mnie zapisywać swoje obserwacje. Chciałam go sparaliżować uprzejmością, bo kłótnia nic by nie dała. To nie była środa, a więc zadzwoniłam i pan Micu otworzył, w rękę miał do połowy zjedzony chleb ze smalcem. Błyszcząły na nim kryształki soli. Potrząsnął głową.

— O wiele za duży.

— Nie wiedziałam.

— Moje są małe i grubsze.

— Dla odmiany może pan popisać w większym — powiedziałam.

— Zeszyt musi się zmieścić w kieszeni kurtki — powiedział — nie, nie.

Od tej pory ja zapisuję w zeszycie do algebry to, co Albu mi mówi przy pocałunku w rękę, albo ile kamieni brukowych, żerdzi w płocie, słupów telegraficznych, okien jest stąd dotąd. Nie piszę chętnie, bo to, co napisane, może zostać znalezione, ale coś muszę robić. Często z dnia na dzień zmienia się liczba tych samych rzeczy w tym samym miejscu. Pozornie wszystko jest tak, jak było, ale nie wtedy, kiedy się gra w użyczenie palca — zamknąć oko i odrysowywać palcem chmury, brzegi dachów, drżące liście na drzewach

albo rozwidlenia gałęzi, dopóki są nagie. Im wyżej brzegi, tym łatwiej posuwa się palec. Często wślizgiwałam się z samego dołu, stromo pod górę, na wierzchołek wieży kościelnej, a wieżom domów pod kurki na dachu. Anteny Paula, które również na dachach są porożami, obrysowuję aż po najcieńsze końcówki, nie opuszczam niczego. I nie dotykam innych anten. Wcześniej przy obrysowywaniu pomagałam sobie kamykami z brzegu drogi. Od czasu cukierka w papierze pakowym używam tylko palca wskazującego, wyginam go wzdłuż wszystkich misternych szczegółów. Nie sprawdziłam, czy można zgiąć obcięty palec. Lilli obrysowałam raz. Stała pół piętra wyżej ode mnie w korytarzu fabryki, ustawiła się profilem, a ja pokazałam jej, jak prosto biegnie jej czoło, obojętny nos, broda i szyja z ciepłego mlecznego szkła. Mój palec czuł przez wszystkie schody różnicę między skórą Lilli a przedmiotami. Dotarłam do końca ramienia, Lilli położyła ręce na piersiach:

— Zrób, żebym była przezroczysta — powiedziała — na pewno to potrafisz.

Nie potrafiłam, narysowałam tylko przednie skrzydło, tylne ramię było zasłonięte, kiedy Lilli powiedziała:

— Teraz twoja kolej.

Nie doszło do tego, na korytarzu rozległy się kroki, Lilli pogoniła w dół schodami. Jej sandały miały tylko dwa cienkie rzemyki, jej kostki skakały, sukienka trzepotała. Stąd, z dołu, uda Lilli sięgały aż do szyi. Na dziedzińcu chichotałyśmy, ona głośniejsz ode mnie, ale nagle zobaczyłam, że płacze, możliwe, że już od chwili, jak zaczęła chichotać. Kiedy głośno przełknęłam, śmiała się naprawdę, wytarła oczy do sucha i powiedziała:

— To tylko woda. Pamiętasz jeszcze Antona, handlarza wyrobami ze skóry.

— Tego z brodawką na nosie.

— Nie, to był przecież fotograf.

— Tego, który przeprowadził się na wieś.

— Tak. Miał puchlinę wodną, nie chciała ustąpić. Umarł tutaj w szpitalu, przedwczoraj, a ja nic nie wiedziałam. Pamiętasz jeszcze, jak nas przyłapali.

— Nie, nie pamiętałam nawet, że się nazywa Anton.

— Ktoś zapukał, dwóch rewizorów stanęło w drzwiach, a ja byłam tylko w bieliźnie. Przełknęli ślinę tak jak ty przed chwilą. Każdy z nich usiadł na stosie skórzanych kurtek, podparł ręką brodę i szeptali ze sobą. A Anton trzymał przede mną skórzane spódnice, jakbym była klientką. Co spódnica to większa, żeby żadna nie pasowała. Potem rozcapierzoną ręką zmierzył moje biodra, tyłek i długość do połowy kolana. Dla tak szczupłej osoby wystarczy na spódnice jeden cielak, bez sztukowania, powiedział, mrugnął i spojrzął na rewizorów. Rozmiary zapisał w centymetrach na pudełku po czekoladkach, które stało tam, odkąd go znałam, a ołówek zatknął za ucho. Brzucha pani nie ma, na tyłku dwie zaszewki, to wszystko, poza tym żadnego szwu. Potem poczęstował czekoladkami. Jeden rewizor wziął całą garść, a jego kompan wysłał Antona na godzinę na spacer. A ja, ja miałam zostać. Wtedy Anton zamknął pudełko z czekoladkami, wyrzucił obu i powiedział: Raczej was pozabijam. Dlatego musiał wyjechać na wieś.

— Poszłabyś tam jeszcze.

— Tak.

— Ale wtedy powiedziałaś: teraz mam go z głowy.

— Tak też było.

— Brakowało ci go potem.

— Wcale nie — powiedziała Lilli.

Pożeraczka czereśni obok mnie opróżniła rękę, wpuściła wszystkie pestki w szparę w swojej wypchanej torbie, pusty rozek zgmiotła i też wepchnęła do torby. Upakowane ręce otarła jedną o drugą, potem o sukienkę. Na wzorze w czerwone kwiaty giną plamy. Widzę wysoko wyciągniętą rękę z teczką, głowę też widzę. Gdzie on był do tej pory, a więc jednak wszedł na targu. Chyba jednak nie ma tak dużo czasu, jak myślałam. A może nic sobie nie robi z tłoku. Niektórzy tłoczą się chętnie i szukają zwady. I jeszcze mają szczęście, bo trafiają na takie niedorajdy, które pozwalają wyżywać się nad sobą i milczą. Pożeraczka czereśni wstała i gniecie się w przejściu. Na następnym przystanku ja też muszę wyjść, na nim wychodzi dużo ludzi. Autobusy liniowe stoją za rogiem. Tam wysiadają wszyscy ludzie z koszami, workami, konewkami, a potem jadą z dworca autobusowego do swoich wsi. Również ten z teczką tam wysiada i jedzie na wieś albo mieszka tutaj w pobliżu. Możliwe, że pójdziemy tą samą drogą, może jest zatrudniony tam, gdzie ja jestem wezwana. A może jedzie jeszcze kilka przystanków, niektórzy cisną się przy drzwiach, chociaż wcale nie zamierzają wysiadać. Pożeraczka czereśni uśmiecha się do mnie ciemnoniebieskimi dżiśkami. Przciska się do tylnych drzwi. Jeżeli to będzie konieczne, przycisnę się do przednich, są trochę bliżej. Czy ta kobieta chce posadzić swoje pestki. Mój dziadek opowiadał, że na Baraganie są dzikie nasiona, które tylko wtedy kiełkują, jeżeli zjadły je i wysrały ptaki. Ale pestki czereśni muszą wyschnąć na słońcu, zanim trafią do ziemi, tylko wtedy wyrosną z nich drzewa. Jeżeli wszystkie czereśnie wyrosną, to ona niesie do domu w torbie czereśniowy sad. Ludzie lecą do przodu, do tyłu, wszyscy jednocześnie. Torba z pestkami tkwi w środku. Motorniczy dzwoni i krzyczy przez okno: Na ciebie śmierć czeka w sypialni, a ty włóczysz się po szynach. Potem wrzeszczy do wagonu: Każdy głupek wstaje rano i sprawia sobie dzień. Czy motorniczy rozmawia ze sobą, czy z nami wszystkimi, co on wie. Nie, ja na przykład chętnie zostałabym w łóżku, ale Albu wstaje.

Co wieczór, kiedy szłam z zajezdni do domu, w ciemności za aleją najpierw nie widziałam zupełnie nic, potem oczy przyzwyczajały się do czerni i dostrzegały coraz więcej. Liczyłam bramy domów. Łączyły się i rozdzielały, stąd dotąd te same domy, ale ich bramy były wciąż innymi liczbami. Kiedy skręcałam w naszą ulicę, obrysowywałam wyjętym z nocy kamykiem dach fabryki chleba, każdy komin i kurki na dachu, żeby naprawić oszustwo bram. Ponieważ lepiej mieć mętlik w głowie niż poczucie bezpieczeństwa, bawiłam się w liczenie. Lepiej mieć mętlik w głowie, tak myśli się, kiedy jest nudno. Po liczeniu bawiłam się w użyczenie palca, żeby nie wszystko tam, gdzie mieszkam, było przeciwko mnie. Po tym, jak zobaczyłam warkoczącą w autobusie, nie liczyłam bram w tej okolicy. Czas upływał również i tak. Pewnego dnia, kiedy moje odejście z miasteczka było tak odległą przeszłością, że nie poznawałam już kurków na dachu fabryki chleba, weszłam za pocztą w boczną ulicę i powiedziałam sobie w głowie: Klarnety na stół.

Zaczęło padać, przede mną szedł mężczyzna i rozłożył swój parasol, a ja się zatrzymałam. Kiedy parasol na drugim końcu ulicy zrobił się mały jak kapelusz, obrysowałam go. Znowu zaczęło się użyczenie palca. Połóż klarnety na stole, powiedział Albu, ponieważ kręciłam dużym guzikiem mojej bluzki. Położyłam ręce na stole i zapomniałam, on znowu powtórzył. Tego dnia Albu znalazł włos na moim ramieniu. Zdejmując go, przejechał mi palcami po policzku. Jego perfumy zapachniały z bliska, na szyi gładko ogolone pory, im wyżej na policzkach, tym mniejsze, jak wyszlifowane drewno. Trzymał włos w dwóch palcach, trzy miał

wyprostowane i chciał upuścić go na podłogę. Może posiadać przyrośnięte włosy na mojej głowie, nawijać je na palec wskazujący i ciągnąć mnie, dokąd chce. Ale te, co wypadły, mają zostać tam, gdzie są. Albu zamierzał z pewnością zrobić coś innego, kiedy wstał i naciągnął mankiet koszuli na zegarek. Nawet na ramieniu Lilli nie zobaczyłby włosa zza swojego stołu. Czy zapomniał, czego chciał, tak jak ja zapomniałam nazwy jego gorzkich perfum, czy też zaniechał tego. Ale zapachu nie pomylił nigdy, „Kwiecień” czy „Wrzesień”, znowu kręciłam moim dużym guzikiem i powiedziałam:

— Proszę odłożyć włos na miejsce, to mój włos.

Jak bardzo moje czoło przestraszyło się tego głosu, liczyłam się z karą, kiedy to wypowiedziałam. Podkurczył wyprostowane palce, myślę, że patrzył na dziurkowany wzór na czubkach swoich butów, żeby zdecydować, co zrobić. A ja gapiłam się w światło, które wpadało przez okno. Na biurku leżał obgryziony ołówek, a palce Albu na moim ramieniu. Rzeczywiście odłożył włos. Potem krzyknął:

— Klarnety na stół.

Stał przy oknie plecami do mnie, kołysał głową, w blasku jeden włos na potylicy przechodził w drugi, piękne futerko na karku, parsknął śmiechem prosto w drzewo, odwrócił się do mnie i rozwalił się na parapecie. Jeden but postawił na obcasie, czubek buta pionowo, pokazał czystą podeszwę i nie mógł przestać się śmiać. Atak śmiechu, taki jak moje. Jego ucho świeciło zielonym blaskiem, liście zawładnęły jego cienką, wygiętą chrząstką. Z czego się tu było śmiać, w zielonkawym przefarbowaniu widać było jego odejście ze świata, nie moje. Odrobina wiatru i drzewo już by capnęło sobie ten atak śmiechu. Ja na jego miejscu nie śmiałabym się teraz.

Tramwaj staje obok dworca autobusowego, wszyscy pchają się, aja stoję pośrodku wagonu. Facet z teczką zawołał ponad głowami do motorniczego: O Boże, tyle głupiego narodu. A mężczyzna za nim drapie się po brodzie i mówi: Uwważaj, ty gąsienico jedwabista, bo kopnę cię obcasem w wąsy i poniesiesz zęby do domu w chusteczce. On wcale nie ma wąsów, ten z teczką. Ale ten, co to powiedział, ma. Obaj wysiedli. Ten z teczką jeszcze raz odwrócił się za awanturnikiem, tamten podnosi palec wskazujący, tak jak się grozi dzieciom i śmieje się chrypliwie. Ma długie i muskularne ramiona, białe zęby, mówi to na poważnie. Jeszcze znajdzie dzisiaj kogoś, z kogo będzie mógł zrobić kalekę. Facet z teczką uważa pewnie, że szkoda go na coś takiego, lepiej odejść stąd ze wstydem, ale z całą skórą i tip-top, niż zapaskudzić sobie ubranie krwią. A byłaby to jego własna krew, zostałby pokonany, mimo swojej odważnej zapalczywości. Z wyprostowanymi plecami ruszył w innym kierunku. A więc nie czeka nas ta sama droga. Nie jest zatrudniony tam, gdzie ja jestem wezwana. Szkoda, znalazłbym teraz jednego z nich, wprawdzie nie bliżej, ale inaczej niż Albu. Skompromitowanego, tego, który został zmieszany z błotem i nie zareagował. Motorniczy krzyczy: Pospieszcie się, bo nie ruszę z miejsca przed Bożym Narodzeniem. Pożeraczka czereśni jest już na zewnątrz, podchodzi do kosza na śmieci i wyrzuca zmiętą tutkę. Przez okno wlatuje czapka, prosto w twarz motorniczego, wrzucił ją jakiś mężczyzna. Włosy ma skołtunione, spodnie zaszczone, koszulę zakrwawioną. Na czole widnieje świeża rana. Obok niego leży zawiązany worek, w którym coś się kłębi. Motorniczy wyrzuca czapkę: Zabieraj swoje wszy. Zatrzymaj czapkę, aż przyjdę, przecież zaraz wsiądę. Na pewno nie do mnie, mówi motorniczy, nie jestem klozetowym, a to jest tramwaj. O godzinie drugiej siedem w nocy zostałem ojcem, mówi mężczyzna i się zatacza, mam syna, moja żona leży na porodówce. A co masz w worku, pyta motorniczy. Jagnię, mówi mężczyzna, podaruję je lekarzowi i ucałuję jego złotą rączkę. Chce nałożyć czapkę, ale nie znajduje głowy. Wkłada czapkę do kieszeni spodni. Nie ma mowy, mówi motorniczy, jeżeli twój syn nasika mi do wagonu, może jechać dalej, ponieważ nie umie chodzić. Ale ty nie. Mężczyzna ciągnie swój worek przez szyny i ciśnie się do drzwi. Wsiadający odpychają go. Stawia stopę na środku stopni. Motorniczy wstaje i go zrzuca. On upada. Hej, szefie, jeżeli mnie tu zostawisz, przecież weźmiesz mnie, niech twój syn osłepnie... Motorniczy spluwa na schodki,

zamyka drzwi i rusza. Jagnię w worku krótko i przeraźliwie beknęło. Może koła przejechały po nim. Ludzie przede mną i za mną chcieli wysiąść, wszyscy milczą. Motorniczy mówi: To niedaleko, na następnym przystanku wszystkich wypuszczę. Niedaleko, tak mówi motorniczy, ale ja muszę się pośpieszyć. Na następnej stacji będzie za kwadrans dziesiąta.

Wiem, można stawiać duże kroki, jednocześnie iść i oddychać. Nie patrzeć na buty i na żaden punkt w powietrzu, żeby nic nie zaczęło pływać. Trzeba przesuwać spojrzeniem jak przy spokojnym chodzie, a można przemieszczać się tak szybko jak biegiem, nie męcząc się. Ale do tego potrzebna jest wolna droga, tych dwoje przede mną musiałyby w końcu zrobić mi miejsce. Niosą arbuzy, ich siatka kołysze się ponad ziemią. Sprzedawca wyciął im w każdym arbuzie trójką klin. Z pewnością każdy klin podnosił na nożu do spróbowania, a potem zatykał nim arbuza. Mają teraz dojrzałe arbuzy w siatce. Nacięte arbuzy szybko fermentują, trzeba je zjeść tego samego dnia. Czy tych dwoje z siatką ma taką dużą rodzinę. Czy też chcą dzisiaj we dwójkę w południe, po południu i wieczorem nie jeść nic innego niż arbuzy. Pięć zimnych arbuźów z chlebem, żeby tylko nie dostali biegunki i dreszczy. Ciepłe arbuzy smakują błotem, trzeba je schłodzić. Do żadnej lodówki nie zmieści się pięć arbuźów, najwyżej do wanny. Mój dziadek mówił:

— Kiedyś wkładało się arbuzy do studni. Woda je łatwo unosi, pływają. Po godzinie można je wyłowić wiadrem i jeść. Po pierwszym gryzie usta bolą jak od śniegu, ale język przyzwyczaja się do tego. Przesłodzone arbuzy są pułapką, mączno słodkie, je się ich za dużo, żołądek się odmraża. Na arbuzy ze studni co roku umierali ludzie, również w mieście. Na arbuzy z wanny nikt nie umiera, wielu jednak umiera w wannie. Tak, rankami można myć się w ciepłej wodzie, w południe chłodzić arbuzy, popołudniami zarzynać jagnięta i gęsi, i splukiwać krew, a wieczorami znowu się umyć w ciepłej wodzie. A kiedy ma się dosyć arbuźów, jagnięt, gęsi i siebie samego, można się w niej utopić — powiedział mój dziadek — tak, tak, można by.

— Lepiej w rzece — powiedziałam.

— W pobliżu nie ma przecież żadnej, trzeba by było jeździć i szukać wody, a zanim znaleźliby człowieka, byłby już może nie do rozpoznania. Zwłoki z rzek są obrzydliwe. Kto jest wystarczająco zmęczony, powinien po raz ostatni położyć świeżą bieliznę na stole i umrzeć ładnie w domu, w wannie.

Jeżeli liczyć też cienie tych dwojga, niosą arbuzy we czwórkę, czasem ludzie potrzebują tylko jednego arbuza, a biorą tak dużo, bo są tanie, potem się psują, a ludzie nadal wierzą, że zaoszczędzili. Idę tuż za siatką, zachowuję się głośno, ale samochody wyrzucają swój hałas wysoko do słońca. Dlaczego tak rozciągają tę siatkę, nie będzie przecież przez to lżejsza.

— Pardon.

Nie, nie słyszą, to za krótkie słowo.

Między domami wspinają się róże szalejki, na grządkach z warzywami kwitnie wysoki koper, niespokojny na wietrze, i gnuśne korony cesarskie, przygotowane na każdy upał południa, kurz je usypia. Sznurki do suszenia bielizny rozpięte między drzewami owocowymi, dużo brzoskwiń i pigw. Ubrania do chodzenia po domu i fartuchy, w ciemnych miejscach jeszcze mokre, łapią kurz, zanim wyschną. Jeszcze nigdy tutaj nie byłam, nawet tak bez celu. Niebieska plisowana spódnica Lilli pasuje do tej okolicy, gdzie ogrody są za ciasne na duże drzewa. Najwyżej się wkurzy, teraz pociągnę mężczyznę od arbuźów za rękaw.

— Przepraszam, ale muszę przejść.



On odwraca głowę i robi z rozpędu jeszcze dwa kroki, i patrzy na mnie ponownie. Potem wypuszcza z ręki swój uchwyt.

— Co jest — krzyczy kobieta — nie możesz powiedzieć, kiedy puszczasz siatkę.

Wyciąga but spod arbuźów, potem nogę z buta, potem zdejmuje kawałek przekrzywionego plastra z małego palca.

— No proszę, pęcherz pękł.

— He — mówi mężczyzna — popatrz, tę osóbkę znamy przecież.

Jego ufarbowane na brązowo włosy błyszczą przy skórze srebrzyście jak wtedy, kiedy światło kłuło i kiedy Martin po przetańczonej nocy nie należał już do famuły. A jej twarz jest tak skrzywiona jak wtedy, kiedy Martin prześladował ją w łazience.

— Ach — mówi Anastazja — masz krótkie włosy.

— Co zrobicie z pięcioma arbuźami.

— Już je policzyłaś — śmieje się on — świętujemy, ty już wiesz, gdzie.

— Jak leci — pyta ona.

— Dobrze — mówię.

Ciężarówka stukocze, Anastazja mówi:

— Musimy już iść.

Potem Martin pocałował mnie jednak w rękę na pożegnanie, a ja popatrzyłam na ulicę, bo nad czołem szofera latały dwa niemowlęce buty na sznurkach. A kiedy samochód przejechał, po drugiej stronie ulicy stała czerwona jawa, w otwartym garażu stary mężczyzna w krótkich spodenkach. A ten, który nadszedł z głębi ogrodu, schylił głowę przy sznurkach do suszenia i wszedł do garażu, to był Paul. Na zegarku Anastazji było pięć po dziesiątej.

Paul i stary śmieją się, szukam marmurowych żyłek na chudych nogach i widzę antenę na dachu. Jest od Paula. On bierze sobie klucz, nie szukał go, tylko sięgnął do regału. Kiedy wieczorami przepadał na swoich pijackich eskapadach, wierzyłam mu. Jak można było nie wierzyć, jego odurzenie było prawdziwe, coś w nim mogło zwodzić. Nigdy nie pytałam, z kim pije i kto płaci. W domu Paul pije też sam. Po wypadku to on powiedział:

— Pijacy znajdują się od stołu do stołu przez spojrzenia, kieliszki rozmawiają ze sobą. Niech wszyscy dadzą mi spokój z przyjaźniami od kieliszka. Piję moją wódkę z innymi, ale przy stole chcę siedzieć sam.

Ale potem Paul wyrzucił przez okno w noc pościel, najpierw nasze poduszki. Widziałam, jak leżą na dole białe i małe jak dwie chusteczki do nosa. Na bosaka zjechałam windą na dół i przyniosłam je na górę. Kiedy byłam już z poduszkami na górze, kołdry leżały na dole. A kiedy je wiozłam windą na górę, nie mogłam powstrzymać się od płaczu, ponieważ były takie duże, sponiewierane przez nocny kaprys błazna. Przy

poduszkach jeszcze się śmiałam. U pana Micu okno sypialni matowo oświetlała lampka nocna. Było późno, ale wciąż jeszcze środa, dzień totalotkowego nieszczęścia. Kto wie, jakie rodzaje pocieszenia wypróbował pan Micu o tej porze, żeby przyzwyczaić swoją żonę do następnego dnia, może stosunek, miłość cielesną.

— Młodzi mężczyźni męczą — powiedziała Lilli — ci starsi potrafią podczas seksu uczynić ciało kobiety lekkim i gładkim.

Również wyrzucanie pościeli przez okno było cielesne, wprawdzie nie była to miłość, ale coś bardziej cielesnego niż fruujące ubrania. Niedzielną sukienka, w której pani Micu czekała tej środy na bogactwo, znowu wisiała w szafie. Ale swoje ciało pani Micu nosiła nadal. Kiedy staje przy wejściu, nie zna siebie z teraz, tylko siebie sprzed lat dwudziestu, wtedy chcę od niej uciec. Jej przeżyte ciało nie patrzy w słońce, zatracając się w sobie, jak ciało mojej mamy, tylko jest gotowe do dotknięcia. Pan Micu powiedział kiedyś Paulowi:

— Seks jest łyżką miodu na jej strajkujące nerwy, to jedyna rzecz, dzięki której mogę utrzymać ją przy zdrowych zmysłach.

— Przy zdrowych zmysłach — spytał Paul.

— Przy zdrowych zmysłach, powiedziałem, przy zmysłach, nie przy rozumie.

Jeżeli lampka nocna oświetlała nie stosunek, lecz ostatni meldunek w notatniku, pościel powinna umknąć ołówkowi. Nie zapaliłam światła przy wejściu, zniosłam ją do windy jak złodziejka. Kiedy dotarłam z kołdrami na górę, Paul leżał w piżamie na białej poduszce jak papier w linijki. Przyciągnął kolana do brzucha i spytał:

— Czy ktoś cię widział.

Nakryłam go, drugą kołdrę położyłam na moim miejscu i wygładziłam fałdy, jakby na prześcieradle leżała kobieta, którą bym chciała być od jutrzejszego ranka — taka, która nie akceptuje dłużej dzikiego pijaństwa. Paul patrzył na sufit i powiedział:

— Przykro mi.

Czegoś takiego nie usłyszałam praktycznie nigdy. Nawet wtedy, gdy chodziły mu szczęki i trzęsła się broda. Przeprosiny pozostawiał zawsze pod twarzą, nie ustępował sam sobie. W jaki sposób wiązało się to z kłamstwem, które wymyśliłam następnego dnia. Z ulicy ze sklepami weszłam z siatką kartofli w ciszę apteki i powiedziałam:

— Mojemu dziadkowi przy rąbaniu drzewa wpadła w oko drzazga. Stracił prawe oko, mieszka daleko stąd i nie może przyjechać do miasta. Nie wychodzi od tamtego czasu z domu, nawet do kościoła ani do fryzjera. Wstydy się ludzi, chciałabym mu kupić oko.

O zmarłych można kłamać bez obaw, kłamstwa już się nie sprawdzają. Przy dobrych kłamstwach u Albu czuję, że odniosłam sukces, ponieważ sama sobie wierzę od słowa do słowa coraz bardziej. Rąbanie drzewa było kiepskie, kłamałam tak długo ze strachu i dla innych, że nie potrafię już kłamać bez strachu i dla siebie. Aptekarka w prywatnej sukience pod fartuchem stała jak dwie kobiety wetknięte jedna w drugą, jedna starsza, druga młoda. Ta w sukience wiedziała, jak męczy ból, ta w kitlu, jak się go zwalcza. Ale

żadna z nich nie miała miarki na dobre kłamstwa. Mimo to aptekarka spuściła oczy i powiedziała:

— Może je pani kupić bez recepty, będzie pasować, wymienić go jednak nie można. Proszę wziąć jedno z wystawy, może pani dostać i dwa.

Zaśmiała się.

— A nawet trzy, jest ich tu dosyć i tylko zbierają kurz.

Wzięłam ciemnoniebieskie szklane oko, na wystawie powstała luka. Mój dziadek miał brązowe oczy z przyćmionym blaskiem, którego szkło nie odda, ponieważ nie cierpiało. Moje kupione oko upuściło jagodę tarniny do wody, ale woda była lodem. Oko, które chciało się mierzyć z Lilli, ale nie zdołało niczym wprawić w osłupienie. A cóż dopiero jej nos jak kwiat tytoniu, takiego nie zrobiłaby żadna ręka ani żadna maszyna.

Zanim kupiłam kartofle, byłam w spożywczym przy słodyczach. W stojących jeden na drugim szklanych pojemnikach widziałam czerwone cukierki i przyklejone do nich osy, potem zardzewiałe brzytwy, potem połamane ciastka, potem pudełka zapalek, potem posklejane zielone cukierki z osami. A na regale ściennym butelki zmieniały kolor, żółty adwokat, różowy sok z malin, zielonkawy płyn do nacierania, przejrzysty jak woda zmywacz do paznokci. To, co tam stało, nie było pewne, czy nie jest czymś innym. Choćby sprzedawca: jakby z zapalek, brzytw, posklejanych cukierków i ciastek powstał człowiek, który się zaraz rozpadnie.

— Sto gram słodkich brzytw — powiedziałam.

— Spadaj — krzyknął — kup sobie lepiej coś w aptece, szajba ci odbiła.

Odbiło mi, towary przewijały mi się obok rozumu. Poszłam do sklepu z warzywami i byłam szczęśliwa, że kartofle ze skrzynki nie zamieniły się na wadze w buty lub kamienie. Niosłam w ręce dwa kilo kartofli, a w głowie niezaprzeczalność rzeczy. Z tym poszłam do apteki i kupiłam szklane oko. Kiedy nie będę już więcej wzywana, Paul musi przykleić mi do niego małe kółko, będę je nosiła jako wisiołek na szyi, tak wtedy myślałam.

Kiedy na klatce schodowej słychać, jak zjeżdża winda z posłańcami Albu, w mojej głowie brzmi cicho jego głos: wtorek punkt dziesiąta, sobota punkt dziesiąta, czwartek punkt dziesiąta. Jak często po zamknięciu drzwi mówiłam Paulowi:

— Nie pójde więcej.

Paul brał mnie w ramiona:

— Jeżeli nie pójdziesz, przyjdą po ciebie, wtedy będą mieli cię zawsze.

Kiwałam głową.

Teraz Paul kładzie swój ręcznik na ziemi obok motoru, siada na nim i przykręca śruby. A ja stoję za krzakiem, nie chcę odejść, klap, klap po asfalcie, do przesuniętego bloku w kształcie wieży, który znają wszyscy. Poza panią Micu, ona robi najwyżej dziesięć kroków od drzwi mieszkania do windy i dziesięć do wejścia, i ani jednego kroku dalej, bo zapomina drogę. Powiedziała:

— Świat jest wielki, jak mam na zewnątrz wywęszyć, gdzie jest nasze mieszkanie.

O windzie powiedziała:

— Jak możesz wsiadać do takiego samochodu, on jeździ na sznurek, nie na benzynę. Masz bilet, dzisiaj jest pierwszy dzień miesiąca, dzisiaj na pewno przyjdzie kontroler. Tam na górze na dachu umiera się z głodu.

Dała mi morelę, ja wsiadłam do windy. Przez miąższ owocu, nagrzaną w jej ręce, pukała pestka. Na górze wyrzuciłam morelę przez okno, patrzyłam, jak daleko potrafi polecieć. Na jej morelę nie dałam się złapać, teraz jednak chętnie byłabym taka jak pani Micu, która niesłychane rzeczy papla miękkim głosem. Czyż nie powiedziała o przychodzeniu:

— A potem przyszedł znowu Emil, dwa razy...

Kiedy w nocy dwa razy wchodziłam na górę z pościelą, zrozumiałam, że dopada mnie to, o czym ona mi opowiada.

Jeśli wrócę jednak do bloku w kształcie wieży, włożę bluzkę, która jeszcze czeka, i usiądę w kuchni. Gdy ktoś wysiada piętro niżej lub wyżej, drzwi od windy hałasują jak kamienie. A na naszym piętrze jak żelazo. Kiedy usłyszę żelazo, wyjdę na klatkę schodową. Dzisiaj przyjdzie Albu. Kiedy po raz pierwszy zostałam wezwana, pokazał mi swoją legitymację. Zagapiłam się na jego zdjęcie, zamiast przeczytać, jak matka i żona nazywają kogoś, kto rozgniata palce przy pocałunku w rękę. Musiały to być dwa albo trzy imiona, potem było za późno, schował już legitymację. Jeżeli Albu uważa, że powinnam zniknąć, powiem mu prawdę:

— Mój dziadek namalował konia na domu, czekam przed drzwiami.

A jeżeli Paul wyjdzie z windy, powiem to też, z kłamstwem będzie musiał poczekać, aż zapytam:

— Gdzie byłeś.

Tak jak zazwyczaj odpowie:

— W mojej koszuli i przy tobie.

Czerwona jawa błyszczy świeżym lakierem. Z nudów, przez przypadek, stary spogląda na krzak i nachyla się do ucha Paula. Teraz Paul wstaje i widzi mnie. Dlaczego zapina koszulę.

Nie, tylko nie to. Tylko nie zwariować.

Akcja *Sercątka* toczy się w Rumunii w czasach dyktatury Ceausescu, w środowisku mniejszości niemieckiej. Czwooro przybyłych do miasta na studia młodych ludzi zaprzyjaźnia się po (samobójczej?) śmierci Loli, koleżanki z akademika. Żyją ze świadomością, że są śledzeni. Policja przeszukuje ich rzeczy i notatki, kontroluje listy. Wreszcie Securitate zmusza ich, jako Niemców, do opuszczenia kraju. Pierwszy nie wytrzymuje Georg... Herta Müller przedstawia dzieje tragicznej przyjaźni i koszmar życia za dyktatury Ceausescu. Niezwykła forma i poetycki język powodują, że powieść porusza i pozostawia trwałe ślady w pamięci.

*Müller opowiada o codzienności totalitaryzmu, stwarzając niezwykle sugestywny język zbliżony do magicznego realizmu, stanowiący jego specjalną odmianę, pozbawioną niewinności i wszelkich zhidzeń łagodzących ból. Ta książka rani, pokazuje otchłanie ukryte w zwykłych słowach, gestach i otaczających nas rzeczach. I wzywa do patrzenia, myślenia, dawania świadectwa.*

Katarzyna Leszczyńska, „Tygodnik Powszechny”

*Pierwsza na polskim rynku powieść Herty Müller to prawdziwe arcydzieło.*

Michał Witkowski, „Gazeta Wyborcza”

*Sercątka to podróż po komunistycznej Rumunii - duszna, opowiedziana mocnymi słowami wyprawa do piekieł.*

„Frankfurter Allgemeine Zeitung”

*Piękna w swej szorstkości i niemal bezwzględna, nieugięta i czysta w swej kompozycji — taka jest poetyka Herty Müller.*

„Frankfurter Rundschau”